99

JERZY ŻUŁAWSKI

BAJKA O CZŁOWIEKU SZCZĘŚLIWYM

NOWE OPOWIADANIA

YACHT-KLUB POZNAŃSKI

NAKŁAD I DRUK TOW. AKC. S. ORGELBRANDA SYNÓW.
SKŁADY GŁÓWNE: E. WENDE I SPÓŁKA, WARSZAWA,
L. FISZER, W ŁODZI.

1914.

LIBRARY
DEC 21 1972
UNIVERSITY OF TORONTO

PG
7158
Z8B3

TVVM FAC NEC RESPICIAS FINEM

1. BAJKA O CZŁOWIEKU SZCZĘŚLIWYM.
2. ROMEO I JULJETTA.
3. HEGESIAS PEISITHANATOS.
4. JAK DON QUIXOTE POGODZIŁ HAMLETA Z DON JUANEM.
5. VENERI ET ROMAE.
6. DWA DNI W ALPACH.
7. NA GEMMI JESIENIĄ.
8. TARANTELLA.
9. LIST SENEKI DO LUCYLJUSZA.

BAJKA
O CZŁOWIEKU SZCZĘŚLIWYM

1905

Był sobie raz człowiek — zwyczajny, który nie różnił się niczem od innych zwyczajnych ludzi, chyba tem tylko, że był szczęśliwy. Jak się to stało, skąd przyszło, tego nawet nie umiał on sam opowiedzieć. I nie umiał także opisać swego szczęścia. Mimo to wiedziano, że jest szczęśliwy, bo się śmiał często i kochał słońce i małe dzieci,—więc czasem przychodzili do niego ludzie ci, którzy sami nie byli szczęśliwi i prosili go: „Mów nam, jak szczęście wygląda...“

A on za każdym razem chciał mówić, bo nie był zazdrosny, lecz owszem pragnął, ażeby wszyscy, jak on, śmieli się często i kochali słońce i małe dzieci. Nie potrafił jednak nigdy opowiedzieć tak, aby go zrozumiano. Czuł sam, że połowa słów więzgnie mu w sercu, a jeszcze pewna część pozostaje na wargach,

rozlewając się tylko w uśmiech, a reszta dopiero, dziwnie biedna i przekształcona, wydobywa się na zewnątrz — do uszu słuchaczów. Ta reszta była naprawdę uboga, to też ludzie, słuchający szczęśliwego człowieka, kiwali głowami i odchodzili, mrucząc; „Nic nie rozumiemy. Temu człowiekowi zdaje się chyba, że jest szczęśliwy! Bo jeśli to tylko tyle...“

Lecz on czuł, że nie jest to „tylko tyle“, ale „aż tyle“, i jeno dziwno mu było, że nie potrafi wypowiedzieć tego wszystkiego... Więc czasem próbował sam myśleć o swojem szczęściu. I to mu się jednakże nie udawało. Zaledwie zaczął myśleć i rozbierać w pamięci te wszystkie rzeczy i chwile, z których się szczęście jego składało, czuł natychmiast gorący przypływ krwi do serca i wszystkie myśli jego rozpierzchały się naraz, pozostawiając w głowie jakąś ciepłą srebrną mgłę tęczową a w piersi uczucie niewysłowionej błogości. I znowu uśmiechał się tylko i szukał słońca i małych wesołych dzieci, albo też szedł do kobiety, która mu dała szczęście, i kładł głowę na jej kolanach i mówił: „Dziękuję ci“. I czuł wtedy, że jest bardzo, bardzo szczęśliwy, chociaż sam nie znał dokładnie szczęścia swojego.

Aż nareszcie pewnego pięknego dnia, myśląc o swojem szczęściu, posmutniał człowiek szczęśliwy. Zdało mu się, że serce jego jest jakąś skrzynią kosztowną, w której się chowa niezmierzony skarb, ale on nie ma klucza do tej skrzyni i nie może bogactw swoich obejrzeć. „Co mi z tego, że jestem szczęśliwy,—myślał,— kiedy to wszystko jest we mnie tak zamknięte? Są w sercu mojem wspomnienia uniesień dziwnych i żywe, drgające wyobrażenia jej pocałunków, i pamięć jej ciała, i echo jej słów, i tyle jeszcze niepojętych a kosztownych rzeczy, które szczęście moje stanowią... Cieszę się tym skarbem, że go mam, ale chciałbym jeszcze przesypywać czasem przez palce te przenajdroższe klejnoty, oglądać każdy z nich z osobna i pieścić się z każdym jeszcze raz, a nawet ludziom pokazać, aby wiedzieli, że ja jestem naprawdę tak bezgranicznie bogaty! A tymczasem to wszystko jest we mnie tak ukryte! Nie umiem szczęścia swojego wyśpiewać, wyobrazić ani opowiedzieć, nie umiem nawet przeżyć go w myśli jeszcze raz, i drugi, i setny, jakobym pragnął. Stanowczo, marnuję skarb, który posiadam".

Tak myślał człowiek szczęśliwy i był smu-

tny. Spostrzegła to kobieta, którą on kochał, i spytała go o przyczynę. A gdy usłyszała już wszystko, uśmiechnęła się tylko i powiedziała mu: „Jesteś niemądry; poco ci to? Czyż to nie dosyć, gdy czujesz, że jesteś szczęśliwy?“ „Tak, ale...“ — zaczął z wahaniem. Nie dała mu dokończyć. Schyliła się szybko i pocałowała go w usta — jednym z tych pocałunków, które krew jego zamieniały w ogień rozkoszny i jako wino mocne a wonne uderzały mu do głowy. „Oto masz jeszcze jeden klejnot, — rzekła, — schowaj go dobrze i bądź zadowolony!“ A on, pełen jeszcze dreszczu niewysłowionej błogości, pochylił głowę na jej kolana i szepnął: „Dziękuję ci“. I czuł znowu, że jest bardzo, bardzo szczęśliwy i nie pragnął więcej niczego.

I tak było zawsze, gdy był przy niej. Zaledwie jednak odszedł — z powiększonym a zamkniętym wciąż skarbem w swojej duszy, myśli powracały ciągle, a z niemi smutek...

„Dlaczego ja jestem zwyczajnym człowiekiem? — myślał. — Chciałbym być muzykiem. Układałbym wtedy przedziwne symfonje, w których byłaby cała miłość moja i całe szczęście niezmierzone! Wiem na pewno, że znalazłbym dźwięki i akordy i tęcze tonów bajeczne, które

wyrażałyby wszystko, co się dzieje w mojej duszy. I byłaby jedna pieśń — prosta, jasna, niemal dziecięca, w którejby drżały te pierwsze uderzenia mojego serca, kiedy ją zaczynałem kochać. Byłoby tam pełno uśmiechu jej ust; a także, słuchając dźwięków, czułoby się przedziwny zapach jej włosów. I to jeszcze, co ja czułem, kiedy po raz pierwszy dotykałem dłonią, zlekka, zlekka — jej złocistych warkoczy i widziałem, że ona nie cofa głowy przed moją pieszczotą. A w innej pieśni wyśpiewałbym znowu rozkosz jej pocałunku i to szczęście obłędne, które mnie ogarnęło, gdy mówiła do mnie po raz pierwszy: kocham cię... Słońce-by się śmiało w tej pieśni, kwitnęłyby kwiaty i wiosna cała-by w niej była, taka rozkoszna, jakiej nigdy nie widziano na ziemi! I byłaby znowu inna pieśń, która wyobrażałaby moją tęsknotę. Wtedy, kiedy patrzyłem na słońce zachodzące nad morzem, a jej nie było przy mnie, i kiedy błądziłem wśród palm i po wzgórzach obrosłych cyprysami, i usta moje chciały całować, a ona była daleko... A także, kiedy myślałem w bezsenne noce, że śpi nieopodal, w tem samem mieście, a ja nie mogę podesłać ramienia pod głowę jej ukochaną; i wtedy, gdy pa-

trząc na nią wśród ludzi, powstrzymywać musiałem dłonie, co się ku niej wyrywały i żakrywać oczy, całujące ją spojrzeniami... I tę jeszcze tęsknotę pieśń-by wyrażała, kiedy mając ją przy sobie, blizko, na piersi, w obłędnej rozkoszy pocałunków, pieszczot i uściśnień, wołałem nigdy nienasyconą duszą: jeszcze! jeszcze! A potem te pieśni cichych zmierzchów wieczornych, które spędzaliśmy razem, i świtów srebrzystych, na któreśmy patrzyli, przytuleni do siebie głowami. A byłyby też pieśni płomienne, pieśni uniesień najświętszych i upojeń tak wielkich, w których się umrzeć już tylko pragnie!... Dlaczegóż ja nie jestem muzykiem?“

„Chciałbym także bardzo być malarzem, albo umieć rzeźbić w marmurze!—mówił znowu kiedyindziej człowiek szczęśliwy. — Malowałbym wtedy na płótnie kosztownemi farbami jej głowę ukochaną, w złocistej włosów otęczy, albo całą jej postać, smukłą i wiotką, do snu podobną, lub do gałązki różowego krzewu, która się chyli pod ciężarem przepysznego kwiatu... I żal mi tylko, że barwy nie mają woni...

„Malowałbym ją tak, jak ją widziałem oczyma mojemi, pełnemi szczęścia i cudu: w domu, kiedy siedziała, oparłszy głowę o poręcz krze-

a, z włosami prześwietlonemi z tyłu pałającem słońcem i uśmiechała się do mnie. Wi ziałoby się w tym obrazie pocałunek, zrodzo- dopiero przez jej wargi purpurowe, pocałuek, który nie przybiegł jeszcze do mnie, ale już rży na wargach i woła... Albo znowu w ogrozie-bym ją malował, na tle zieleni, pod starei lipami, które długie cienie rzucały na jasną ej suknię. Pamiętam, że świecił wtedy księyc, a ona stała z rękoma skrzyżowanemi na iersi, zalękniona nocą i długiemi cieniami lip upiornem światłem księżyca — i garnęła się nimowolnie do mnie, patrząc szeroko rozwaremi oczyma gdzieś w dal, na łąkę pełną kwiaów i drobnej, jak kurzawa pereł w miesiącu śniącej rosy... Albo znowu tam w górach, kiedy atrzyłem na nią, jak pieszczotą obezwładniona leżała na miękkim mchu, a ponad ukochaną jej głową chwiały się na tle czerwonej i złoej zorzy zachodzącego słońca żywiczne, czarne, szumiące jodeł gałęzie... Ptak tam wtedy, już usypiający, zbudził się i świergotać począł z cicha, dyskretnie, dziwując się wielkiemu szczęściu ludzkiemu... Żałuję tylko, że barwy nie umieją śpiewać, jak ptaki...

„Chciałbym ją także malować tak, jak ją

widywałem oczyma swej duszy: na tle wielkie
go, błękitnego morza z pół zastygłemi w cisz
na niebie palmami, i znowu w przepychu wnę
trza bajecznego pałacu, pod sklepieniami pe
nemi barw i ciężkiemi od złota, wśród kolum
z krwawego porfiru albo starożytnego marmu
ru zielonego i egipskiego albastru, w któreg
wnętrzu świeci zawsze słońce i nadaje mu ko
lor ciała kobiecego, kiedy przez miękką skór
siatka żyłek przegląda. Odziałbym ją na tyn
obrazie złotogłowiem najdroższym, na któreg
tle, tak złotem niemal jak włosy jej nieprze
płacone, kwitnęłyby kwiaty, jedne kolorem d
ust jej podobne, a inne o dziwnej barwie je
świetlistych oczu. Klejnotami wyszukanemi, ja
snemi jak słońce i uśmiech jej, głowę-bym je
przystroił, a drobne białe stopy obułbym w zło
te trzewice, aby deptała po kobiercach wzo
rzystych albo przedziwnych wzorach lśnące
z różnobarwnych marmurów składanej po
sadzki...

„A jeślibym ja był rzeźbiarzem, wybrałbym
głaz marmuru najczystszy wyłupany z Pa
ros albo z Karrary i rzeźbiłym w nim jej cia
ło..., ramiona drobne i sieskazitelne, wieczni
dziewicze piersi — i biodra, cud cudów, któ

ych zazdrościćby jej musiała owa Afrodyta raksytelowa, co duma nad nieporównaną pięnością swą na rzymskim Kapitolu... Wiem, e dzieło moje miałoby miękkość i pieściwość iej dłoni, kiedy ją przesuwałem zwolna po oskich, ukochanych jej członkach, i żar i święą cześć moich ust, gdy całowałem jej białe topy i kolana. I wiem, że stworzyłbym cud, przyszliby ludzie z blizka i z daleka i zbuowaliby białą świątynię memu posągowi i paliby wonne kadzidła i rzucaliby gałęzie palnowe, sławiąc w kamieniu odblask jej pięności...

„Ale ja, niestety, nie jestem rzeźbiarzem i panięć jej ciała najcudniejszego żyje tylko w mych oczach i w sercu mojem zamknięta".

„A znowu, — myślał, — gdybym ja był poetą, nie wyszukiwałbym zdarzeń nadzwyczajnych ani złotych baśni nie składał, ale opisywałbym po prostu to, co z nią przeżyłem, a wiem, że stworzyłbym rzeczy najpiękniejsze ze wszystkich, akie ludzie dotychczas czytali. I nie dziwionoby się już wtedy, że ja jestem szczęśliwy, ecz dziwionoby się już raczej, że tak bardzo można być szczęśliwym. Zazdroszczonoby mi akże pewnie, ale i dziękowano zarazem, że

szczęście swoje opisałem i pozwoliłem biednym
którzy go nie mają, cieszyć się jego echem przy
najmniej... A ja sam byłbym coraz szczęśliwsz
bo przeżywałbym ciągle na nowo przeżyte ju
chwile szczęścia swojego".

„Naprzykład, opisując dzień ów, który z ni
razem spędziłem na morzu... Nie potrzebowa
bym dodać ani jednego zmyślonego słowa; wy
starczyłoby, gdybym umiał napisać wszystko ta
jak było... Opisać słońce na drobnych, łyskl
wych falach zatoki i czarne skały na brz
gu, i gęste zarośla wawrzynów ze sterczącą
i owdzie palmą albo smukłym cyprysem. By
nas dwoje na kołyszącej się łodzi: a z nam
było tylko słońce i to wielkie szczęście właśni
którego opowiedzieć nie umiem. W słońc
i szczęściu przymykała oczy i opierała głow
o moje ramię, a ja bałem się mówić, aby n
spłoszyć snu, bo doprawdy, snem mi się t
dzień wydawał! Albo innym znów razem, gd
śmy się znaleźli oboje w jakiemś wielkiem mi
ście—i wracaliśmy po nocy hucznej do dom
aleją wysadzaną ogromnemi drzewami... Św
już wstawał poranny, perłowy, a ona twarz mia
zadumaną i cichą, i ręce białe, które tulile
w swych dłoniach. Powóz pędził i konie pa

kały raźno w rzeźwem powietrzu — i nagle na topień powozu wskoczył chłopiec jakiś, rzucaąc na jej kolana pęk róż rozkwitnionych i rosą krytych... Uśmiechnęła się do mnie usty i oczyna i wzniosła kwiaty do twarzy, aby zrobić nich zasłonę pocałunkowi naszemu...

„Ale ja tego nie umiem opowiedzieć. Nie dołam też powtórzyć jej słów, które są wonniejsze od kwiatów i więcej upajające, niż wino; nie potrafię złożyć poematów, skądby się udzie dowiedzieli, że ona jest różą i ptakiem złotym i perłą przedziwną, że włosy jej droższe są od promieni słonecznych, a usta rozkoszniejsze od snu i od śmierci. Napróżnobym akże silił się, aby ułożyć piosnki, w którychbym mógł pięknemi słowy powiedzieć, jak ja ją kocham. Gdy myślę o tem i dobieram wyrazów i szukam dźwięku jakiegoś nadziemskiego, który jeszcze w ludzkich ustach nie postał, aby określić nim to, co czuję, nie mogę znaleść innego słowa, jak to jedno biedne „kocham...“ I boję się nawet, że i jej wreszcie znudzi się to słowo wiecznie powtarzane, jak znudziło się go słuchać ludziom, którym, gdy mnie pytają o przyczynę szczęścia mojego, nic więcej ponad to proste „kocham!“ odpowiedzieć

nie umiem. A takbym chciał, tak bardzobym chciał umieć powiedzieć, jak ja kocham jej oczy i usta, każdy palec jej drobnych dłoni i każdą jej stopę z osobna, i słowa jej wszystkie, i włosy, i jej pocałunki, zamyślenia i sny, zamiary nawet suknie, które jej ciała dotykają, kwiaty na które ona patrzy, i słońce, mimo że jestem o nie czasem zazdrosny, gdy widzę, jak je w uśmiechu rozchylone usta całuje...

„Ach, jakaż to wielka szkoda, że ja, człowiek zwyczajny, będąc szczęśliwym, nie jestem poetą!“

Tak mówił pewnego dnia niezadowolony ze szczęścia swojego człowiek szczęśliwy i błądził po lesie, wzdychając. Dziwowały mu się ptaki w zaroślach i na drzewach wysokich, bo dnia poprzedniego widziały go tutaj z kobietą ukochaną i były pewne, że jeżeli przyjdzie tu nazajutrz, choćby sam, to — promieniejąc szczęściem, podobny będzie do słońca, które się przedziera złote przez gęstwinę. Ale on nie zważał na to i szedł wciąż dalej, aż zeszedł do miejsca, gdzie człowiek właściwie zachodzićby nie powinien. Była to bowiem słoneczna polana wśród nieprzebytej puszczy, pełna zieleni i kwiatów, na którą schronił się był jeden z bo

ów starożytnych, kiedy zburzono mu już ostatnią świątynię i ubito ostatniego wiernego kałana. I mieszkał tu teraz — między kolumnami jodeł, jak niegdyś wśród marmurowych koumn, i grywał wieczorami na muzycznem narzędziu o dziwnym, z dawna już zapomnianym kształcie... Słuchały go łanie leśne i ptaki od niego uczyły się śpiewać, a czasem, nad źródłem, co biło nieopodal ze skały ukrytej w gęstwinie, siadał bóg drugi, z koźlemi rogami na głowie, pan tych puszcz, który dał wygnańcowi gościnę, i słuchał również, myśląc o dawnych, przeminionych niepowrotnie czasach.

W takie to miejsce zaszedł człowiek szczęśliwy i przeląkł się też bardzo, zobaczywszy znagła wśród boru boga promienistego przed sobą.

— Kto ty jesteś? — zapytał go bóg.

— Jestem człowiek szczęśliwy, — odrzekł, drżąc jeszcze i patrzył z podziwem na piękną i spokojną choć smutną twarz nieśmiertelnego.

A ten zagadnął go znowu:

— Więc dlaczego wzdychasz, jeśli jesteś szczęśliwy?

— Niedostaje mi wiela, — rzekł człowiek

i opowiedział bogowi wszystko, jak boleje nad tem, że szczęście jego jest w nim ukryte i nieme.

Bóg słuchał, a gdy człowiek skończył mówić, zamyślił się głęboko. Cień jakiś przemknął po twarzy boskiej, ale zaraz usta rozjaśniły się uśmiechem i z oczu trysnął znów dziwny blask...

— Niech ci się stanie wszystko, jako chcesz,— rzekł,—aby się dopełniło szczęście twoje!...

I człowiek szczęśliwy uczuł nagle, jak pękły pieczęcie, które zamykały skarb jego, i zapomniawszy nawet podziękować promienistemu, począł biec do domu, chcąc jak najprędzej ludzi mieć około siebie. Nie dosłyszał też już śmiechu, co wybuchnął za nim z gęstwiny, z miejsca, gdzie nad źródłem bijącem ze skały siadywał czasem bóg z koźlemi rogami na głowie. Śmiech brzmiał długo, nieposkromiony, głośny, aż ptaki przestraszone pokryły się w zaroślach, a bóg promienisty schylił czoło, po którego nieskalanej bieli przebiegło coś, jakby cień smutku czy wstydu.

I odtąd w życiu człowieka szczęśliwego zaszła zmiana ogromna. Coraz rzadziej widywał się z kobietą, która mu szczęście dała, ale zato coraz częściej szedł między ludzi, aby im szczę-

ście swoje pokazać. Układał melodje i symfonje, które zachwyt i podziw wzbudzały w słuchaczach, tyle w nich bowiem było wyrazu szczęścia i blasku wielkiej miłości... Słuchając ich, czuło się wszystko, co on czuł w najrozkoszniejszych dniach swojego życia: i błogość, i uniesienie najwyższe, i tęsknotę, a także zapach jej włosów przedziwny i niewypowiedzianą słodycz jej warg. Przed obrazami jego stawali ludzie z zapartym oddechem i chłonęli oczyma szczęście, którego one były pełne. I widzieli ją tak, jak on ją widział, w domu, na tle zieleni i morza, i tak, jak on śnił o niej, na tle nieba i krajobrazów bajecznych i wśród pałaców niesłychanego przepychu. Widziano wyraz jej oczu i myśli jej wszystkie, a nawet pocałunki niezrodzone jeszcze, ale drgające dopiero jak słońce na ust rozchylonej róży. Jednemu z posągów zaś, które on wyrzeźbił, postawiono rzeczywiście białą świątynię nad brzegiem morza, i schodzili się ludzie z blizka i z daleka, aby oglądać cud i bić czołem przed pięknością, zaklętą w marmurze.

Pisał też książki i układał poematy nieśmiertelne, które drukowano potem w różnych miastach i przekładano na wszystkie języki. A ludzie, czytając opis chwil i dni, które on z nią

przeżył, i te słowa wonne, które on słyszał od niej, i znowu te, w których on jej piękność wysławiał albo mówił jej o swej wielkiej miłości i szczęściu niezmierzonem, drżeli jakimś dreszczem wewnętrznym, tajemniczym a nader rozkosznym, jak ci, co raz pierwszy wjeżdżają na drobnej łódce do onej groty lazurowej na wyspie i widzą nagle, że morze jest pełne błękitnego słońca i wszystko świeci nieziemskim blaskiem błębitnym, którego dotychczas nie zaznały ich oczy. I nikt już nie wątpił o szczęściu człowieka szczęśliwego, owszem, dziwiono się tylko, że może być szczęście tak wielkie i takie niezmącone...

Tylko on sam... Dziwne rzeczy dziać się z nim zaczęły. Widział szczęście swe dokoła siebie, odbite w dźwiękach, barwach, kształtach i słowach, przechadzał się wśród niego, jakby pośród ogrodu bajecznsgo, w którym rosną drzewa najpiękniejsze i najwonniejsze kwitną kwiaty, ale nie czuł wewnątrz siebie owej błogości, jak wówczas, kiedy jeszcze tylko w sobie miał ten ogród przedziwny, o którym powiada Pieśń, że pełen jest mirrhy, szafranu i aloesu i wszystkiego ziela najprzedniejszego, jakie tylko zrodziły święte stoki Libanu.

Przeląkł się bardzo, gdy to spostrzegł i poszedł co prędzej do kobiety ukochanej, której dawno już był nie widział, zbyt zajęty swemi dziełami. „Daj mi znowu trochę szczęścia, — rzekł do niej,—bo obawiam się, że wydałem już to wszystko, com miał...“ A ona wówczas schyliła się nad nim, jak dawniej, i pocałowała go w usta i uśmiechając się, poczęła pieścić białemi dłoniami bujne włosy jego głowy i układać je, rozrzucone bowiem były od wieńca wawrzynowego, który nosił był od pewnego czasu. On patrzył na nią i widział znowu, że jest piękna, i pomyślał mimowoli, że trzeba będzie namalować obraz, na którym taki właśnie wyraz będą miały jej oczy. Uczuł, że tęskni za jej słodkiemi ustami, i przyszła mu zaraz na myśl melodja przedziwna i nowa, która wypowie tę całą jego tęsknotę. A kiedy ona—rada, że ma go znów przy sobie (kochała go bowiem), zatarłszy ślady wieńca wawrzynowego na skroni, mówić do niego poczęła szeptem upajającym i pieściwym, pełnym czułości niewysłowionej i bezbrzeżnego oddania, pełnym zwrotów jakichś dziwnych, które są podobne do snów o kwiatach a tylko w ustach kobiety bardzo kochającej czasem się jawią,—on, przymknąwszy oczy, z głową

opartą na jej kolanach, układał sobie bezwiednie te słowa przenajdroższe w cudny poemat miłości, jakiego dotychczas jeszcze nie słyszano...

I gdy po pewnym czasie odchodził od niej, uczuł nagle w drodze, że niesie ludziom nowy obraz, poemat nowy i nową pieśń, ale szczęścia nie niesie dla siebie. Myślał, że zapomniał wziąć je z sobą i chciał zawrócić, ale przeląkł się, że uroni tymczasem żywe w nim już i narodzin chciwe pomysły, więc poszedł do domu i zamknął się, aby pracować nad nowemi dziełami, obiecując sobie po szczęście wrócić nazajutrz.

Ale nazajutrz było tak samo i wszystkich dni następnych także. Stracił zdolność zachowywania skarbu i zdawało mu się czasem, że dusza jego jest teraz podobna do sita, na które wylana woda ze źródła rozpryskuje się w perły i tęczami na słońcu połyska, ale go nie napełnia... Posmutniał tedy naprawdę, — trawiła go dziwna gorączka, przestał się śmiać, unikał słońca i nie kochał już małych igrających dzieci. A ludzie tymczasem, których on słońce kochać nauczył, sławili go i dziwili się z każdym dniem więcej szczęściu jego niezmierzonemu, które jest tak wielkie, że odblaskiem swoim tylu nasycić może!

I stało się raz, że ten człowiek szczęśliwy, spędziwszy długie godziny w milczeniu obok ukochanej kobiety, która posmutniała też była od pewnego czasu, rozpłakał się nareszcie gorzko i powiedział: „Znam szczęście moje i umiem je opisać, ale go już nie mam! Powiedz mi, co się stało z mojem szczęściem?“ — A ona mu odrzekła: „Darowałeś je ludziom,—ludziom darowałeś szczęście nasze, o ukochany!“—I także płakać zaczęła...

ROMEO I JULJETTA

1905

Wyszedłem z Piazza delle Erbe, niegdyś rzymskiego forum w Weronie, a dziś jednego z najbardziej malowniczych placów we Włoszech a może i na ziemi całej, z cudnym Palazzo Maffei w głębi i smukłą Torre civica, patrzącą z góry, z za muru pałacu della Ragione, na stare domy na podcieniach oparte o dziwnych, fantastycznych facjatach średniowiecznych, pokrytych resztkami pobladłych fresków, — na barwną casa dei Mercanti o smukłych kolumnach, na słup granitowy z lwem św. Marka u szczytu i na wiecznie szemrzącą fontannę, uwieńczoną postacią wolnej Werony, na kamienną trybunę z czasów rzeczypospolitej i na ten cały tłum, gwarny i barwny, wijący się dookoła kramów, na placu rozstawionych... Minąwszy marmurową kolumienkę w końcu długiego a wązkiego placu sto-

jącą, z maleńką, do gotyckiej latarni podobną kapliczką na wierzchu, zapuściłem się w ulicę św. Sebastjana, zmierzając zwolna w stronę Adygi i mostu Navi. Nie uszedłem jeszcze kilkudziesięciu kroków, gdy zatrzymało mnie wołanie: Signore! ecco la casa di Gulietta! przede mną stał mały oberwus i pokazując jedną ręką stary, wysoki dom z czerwonej cegły, drugą wyciągał z przyjaznym uśmiechem: Un soldino, signore!

A więc to tutaj—sześć wieków temu... kiedy to dumnym patrycjuszom Werony, właścicielom pałaców, winnic i gajów oliwnych na poblizkich wzgórzach, panował z grodu św. Piotra, co się wzniósł na ruinach Teodorykowego ongi zamczyska, mądry i szczodry książę Bartłomiej della Scala... Sześć wieków! Dom stoi jeszcze krzepki, wyniosły, ponury, postarzał się tylko i wygląda teraz, jakby był rówieśnikiem tej rzymskiej Areny opodal, która przecież w gruz się już pewno i wówczas rozpadała, kiedy zakładano pierwszy jego kamień węgielny... A kiedy szczęście przyszło do tego domu, aby w nim przez jedną, krótką, letnią noc zamieszkać, kiedy tam wysoko, na balkonie kamiennym otwierały się słodkie, białe ramiona Juljetty i do

wezbranej, od nocnego chłodu czy uczuć nieznanych drżącej piersi dziewczęcej tuliły czarną głowę Romea: wówczas, jak dzisiaj, biegały już w dni słoneczne po rozpalonych, zielskiem obrosłych głazach opustoszałej Areny drobne, zwinne jaszczurki, które są pośmiertnem życiem ruin na Południu. Dni jeszcze kilka, kilka lat czy wieków, a i tutaj biegać będą tak samo — po zwaliskach domu Kapuletów...

* * *

Ma się już ku zachodowi. Słońce czerwone wyjrzało na chwilę z pomiędzy dachów strzelistych i krwawi cegły górnych piąter domu i błyszczy w mętnych szybach okien. Dołem mrok się już ściele wieczorny.

Przechodzę na drugą stronę ulicy, ażeby przyjrzeć się lepiej... Wązka, wysoka, zaniedbana fasada, w długi szereg nowszych domów wciśnięta; okna różnej wielkości i kształtów, o okrągłych romańskich łukach; na dole, nad szeroką bramą wmurowana tablica: „TU MIESZKAŁA NIEGDYŚ JULJETTA...“ — Obok szyld owocarza czy też przekupnia wina i oliwy, a tam, u okna na trzeciem piętrze, co rozpłonęło od

ostatnich słonecznych promieni, uczepiony balkon drewniany... Kwiaty na nim są jakieś.

Więc to tutaj może? Nie, nie! to nie w tem oknie. Obok jest okienko, mniejsze nieco, od narożnej izdebki, w której zapewne dziewczęta zazwyczaj mieszkały... I tutaj niegdyś był balkon: sterczą jeszcze z czerwonego muru trzy szare wyszczerbione kamienne podpory.

Usiadłem naprzeciw w szeroko rozwartych drzwiach winiarni i patrzę. Blady księżyc po nowiu jest na niebie i zaledwie słońce zaszło, zaczyna błyskać w szybach okna i malować na niem dziwne, upiorne, srebrno-białe zjawiska. Szemrze fontanna na pobliskim placu delle Erbe; zapach bzów skądeś dolatuje, a czerwone, płomienne, czarodziejskie wino mam przed sobą...

„Wilt thou be gone? it is not yet near day:
it was the nightingale, and not the lark,
that pierc'd the fearful hollow of thine ear:
nightly she sings on you pomegranate-tree:
believe me, love, it was the nightingale!...“

* * *

Tutaj miał być ogród. Szekspir mówi, że był tutaj ogród, murem zamknięty wysokim, ogród,

w którym kwitnęły pomarańczowe drzewa, pełne śpiewających słowików. Nie wspomina o tem wprawdzie dalla Corte, pierwszy historyk tych dziejów; nie widać też zgoła nigdzie śladów, aby dom, w wązką ulicę dzisiaj wciśnięty, mógł być niegdyś otoczony ogrodem, ale... cóż to szkodzi? Więcej wierzę Szekspirowi, choć nie był tu nigdy, niż wszystkim historykom świata, niźli własnym oczom nawet. A zresztą— przecież noc jest majowa i wino się pieni czerwone, — więc cóż łatwiejszego, niż przenieść tu sobie kilka najpiękniejszych cyprysów z giardino Giusti, który wisi tam rozśpiewany słowikami — na skalnych urwiskach po przeciwnym brzegu Adygi! Są między niemi takie, co przed sześciu wiekami, za czasów Juljetty, już po sto lat miały i śmiało mogły były ocieniać w księżycu balkon ten, u okienka uczepiony i drzeć, jak teraz, słowiczym śpiewem z nastaniem nocy majowych. A pod cyprysami kwitnęły róże. Przenieśmy tu sobie wszystkie róże, które rosną i pachną po ogrodach willi i winnicach pobliskich pagórków, wszystkie róże wzgórz i nadpadańskich nizin — nie! więcej! całe morze, otchłań całą przewonnych róż: wszystkie, jakie tylko zakwitają i śmieją się do słońca na obu stokach Apeninu, od Alp

aż po brzeg Sycylji, róże białe jak śnieg i lekko spłonione dziewczęcym, wśród listków ukrytym rumieńcem, te jak świt i młodość różowe i te purpurowe jak krew, i te, od zbyt rozkosznej woni własnej mdlejące, jak miłość upojne — i polne róże gwiaździste, i te królewskie, w przepychu barw ciężkie głowy złocisto płomienne ku ziemi kłoniące...

Niechaj mi kwitną tutaj, niechaj biją woniami niewypowiedzianemi i poją, poją, mocniej niż wino, mocniej niżeli wspomnienie minionej młodości i chwil szczęścia przebrzmiałych, tak mocno prawie jak miłość, która dech w piersiach zapiera i rozhukane serce wstrzymuje na chwilę,— jak usta jedne, mnie znane, stracone... Przymykam oczy... Duszący, obłędny, czarodziejski zapach. Słowiki, pijane tą wonią, opadają z czarnych wysmukłych cyprysów na nizkie, lśniące liściem w księżycu drzewa pomarańczowe i zanoszą się od śpiewu, tak podobnego do łkań, wydzierających się z przepełnionej piersi w chwilach takiego szczęścia, którego już słowa ani śmiech nie są zdolne wyrazić... Wtóruje im namiętnie perlista, wśród kwiecia ukryta fontanna...

Tak, tutaj był ogród—tutaj j e s t ogród...

A teraz niech wstaną dawno pomarłych nie-

śmiertelne cienie!... Jakiś szelest... Ktoś lekko mur przesadził, zadrżały bzy pod ogrodzeniem, kłonią się róże i rosę wonną strząsają na męską, młodzieńczą dłoń, która je zwolna rozsuwa... Księżyc wypłynął z za najwyższego cyprysu i pada teraz na balkon...

„Lecz cicho! Cóż to zabłysło mi w oknie?
To świt się budzi,—zorzą jest Julietta!
Wzejdź, jasne słońce!..."

„Tyś jest Romeo? Ty jesteś Montecchi?"...

— Nie! Ja jestem miłość! Nie mam imienia ani nazwiska innego. Miłość jestem i przychodzę dlatego, że maj jest na świecie, że róże pachną w twoim ogrodzie i jęczą słowiki na cyprysowych drzewach. Przychodzę, aby ci powiedzieć, że jesteś piękna, bo żywy jestem i młody i wiosnę mam w sobie! I jeszcze dlatego przychodzę, żeś ty mnie wołała... dziś, wczoraj, ciągle, od chwili kiedy po raz pierwszy serce twoje żywiej zabiło, gdy zadumałaś się po raz pierwszy, słuchając słowików i oddychając wonią róż i pomyślałaś, że róże są wonne i że słodki śpiew słowiczy wieści jakąś rzecz najsłodszą! I przychodzę ja, posłuszny twemu wołaniu, i przynoszę ci tę rzecz najsłodszą na ziemi i w niebie: miłość ci przynoszę!...

„Dobrze, iż nocny cień twarz mi osłania,
bobyś na licu mem dostrzegł rumieniec,
żeś ty to słyszał, com ja w noc szeptała...
Próżno udawać i próżno mi przeczyć
swym własnym słowom: precz wszelkie wykręty!
Czy ty mnie kochasz? Wiem, że: Tak — odpowiesz;
ja ci uwierzę... Lecz choć ty przysięgniesz,
możesz fałszywie przysiąc! Z klątw kochanków
sam Bóg się śmieje podobno... Romeo,
czy ty mnie kochasz?—powiedz mi to szczerze...
Lecz, gdybyś myślał, że jestem zbyt płocha,
to ja się zaprę j skłamię i powiem,
że nie chcę ciebie!—lecz ty nie wierz temu...“

*
*   *

Jest więc ogród, róże są, słowiki i jest znów rozkoszna włoska noc majowa... Z balkonu trzeciego piętra zwiesza się drabina ze sznurów spleciona: Juljetta czeka na przybycie męża. „Męża, męża“ — powtarza i ciśnie rękoma tak dziwnie, tak niespokojnie bijące serce pod rozsznurowaną, pachnącą piersią dziewczęcą. „To mąż...“ — mówi i przesuwa dłonie drobne po czole, po licu, jakby zetrzeć z nich chciała ten palący rumieniec, co na każdy szelest w ogrodowych zaroślach krwią na twarz jej się rzuca.

„Mąż“...—powtarza, ale czuje przez ten roz-

koszny, dech jej zapierający dreszcz, że to nie jest „mąż“, ani „wróg“, ani nikt, ktoby jakiekolwiek nosił miano, — oprócz tego jednego, najsłodszego: „kochany... kochany... mój...“

Myśli: „Oto przyjdzie za chwilę... weźmie mnie... Cóż ja mu mam powiedzieć? jak go powitać? Nie chcę, aby pomyślał o mnie, żem się niestosownie zachowała... Oby jeszcze nie przychodził... Nie, nie! niech przyjdzie!...“

A teraz krok lekki słychać: zaskrzypiały sznury... Juljetta, jak ptak spłoszony, w tył się rzuca... nie! już jest na balkonie, wychyla się przez poręcz i wyciąga ręce ku tej czarnej, ukochanej głowie, coraz bliższej, coraz bliższej jej ramion, ust, piersi zalękłej a stęsknionej...

Oto są już przy sobie. Nie mówią ani słowa, tylko patrzą sobie w oczy i śmieją się pod cyprysami cicho i długo do siebie tym błogosławionym śmiechem dziecięcym, który jest najświętszym darem miłości i najwyższem szczęściem kochanków na ziemi. Tak się śmiać ongi musiała złota Sulamith do czarnego kochanka swojego, leżąc w jego ramieniu na wonnych ziołach pod gałęziami drzew cedrowych.

Ach! ale to są jeszcze dzieci naprawdę i nie umieją przeto ocenić szczęścia dziecięcego śmie-

chu! Więc żal im czasu, żal każdej straconej chwili przelotnej!... Jeszcze na poręczy balkonu zwieszony, Romeo chwyta dłońmi tę jasną, błogosławioną głowę i mając palce pełne przenajdroższego złota jej włosów, nachyla się i szuka wargami oczu, patrzących weń z pod wpółprzymkniętych powiek, i ust, co drżą, rozchylając się bezwiednie do pocałunków. I ona czuje na włosach, na oczach, na licu i na skroniach pocałunki częste, szybkie, dorywcze, płomienne; tchu jej brak; czy to śmierć, czy szczęście przybywa?

. . . .

„Ty chcesz już odejść? dzień jeszcze daleki!
to słowik śpiewa, to nie był skowronek!...“

*
* *

Nie mogę się rozstać z tą parą jasną, słodką, umiłowaną; nie mogę się rozstać z tą małą izdebką na trzeciem piętrze ceglanego pałacu, którą sobie wymarzyłem — tak pełną szczęścia niewypowiedzianego...

Teraz już ogród niepotrzebny, słowiki, cyprysy ni róże, teraz już wszystko jedno, cokolwiek jest tam—za oknem, bo świat cały zamknął

się w tych czterech ścianach; tutaj — na jedną krótką noc majową streściła się cała wiosna jego i wszystko piękno ziemi.

Lampa oliwna płonie na okapie kominka,— a może nawet niema lampy; księżyc się tylko wlewa szeroką falą przez okno rozwarte i srebrzy jasną postać Juljetty. Do szczupłych, białych kolan odkrytych ciśnie ona małemi dłońmi głowę klęczącego przed nią Romea i mówi, chyląc się z lekka piersią nad tą ukochaną głową:

— Dziękuję ci, że przyszedłeś. Dziękuję ci za to, że dzisiaj przyszedłeś, w chwili, kiedym ja po raz pierwszy zapragnęła kochać i być kochaną i wziąłeś mnie taką, jaka jestem: jasną, nietkniętą jeszcze niczyjemi usty. Dziękuję ci za to, żeś ty pierwszy usta moje całował i że oprócz ciebie nikt ich już nigdy całować nie będzie! I za to ci dziękuję, że nie potrzebowałam czekać na ciebie i szukać, i błądzić, i mylić się, i ronić niepowrotnie najpiękniejszych, bezcennych kwiatów pierwszych moich tęsknot dziewiczych. Dziękuję ci, że mogłam cię uczynić dzisiaj tak bezgranicznie szczęśliwym, że mogłam oddać ci wszystko, co tylko szczęście stanowi na ziemi!...

A on ręką objął jej nogi i, wznosząc twarz

rozpłonioną od kolan jej białych, mówi z cicha nawzajem:

— Dziękuję ci, że jesteś moja i że ja kocham ciebie! To ja dziękuję ci za to, że nikt jeszcze przede mną ust twoich nie całował, że krom matki, niczyje oko jeszcze twej białej piersi nie widziało, niczyja dłoń nie dotknęła złotych włosów twoich! Dziękuję ci za to, że usta twoje najczystszą jeno rozkoszą mnie poją! że mogę cię kochać miłością niewypowiedzianą, w której wszystko światłem jeno jest i radością, że myśląc o tobie, myśleć mogę tak święcie, bez bólu i goryczy, i tej najstraszniejszej, złej i głupiej a zabójczej zazdrości o dzień wczorajszy, który się już nie wróci... Dziękuję ci za to, że jesteś tak biała i żem ja jest tak szczęśliwy, ty moja, ty moja! moja!

Czy tak oni sobie dziękowali? czy tak mówili do siebie ci dwoje—w małej, szczęścia pełnej izdebce na trzeciem piętrze ceglanego domu? Nie, z pewnością nie mówili tak: zbyt młodzi jeszcze byli i zbyt niewinni, aby odczuć i zrozumieć to bezgraniczne, jedyne szczęście niezrównane młodości i niewinności. I nigdy tego nie mieli zrozumieć, Los litościwy ustrzegł ich od świadomości tej, która wówczas dopiero przy-

chodzi, gdy się człowiek z tęsknoty za tem szczęściem, co nigdy nie było jemu przysądzone, w bólu krwawi niewypowiedzianym...

Błogosławione są dzieci...

*
* *

Wpadła mi w rękę przypadkiem mała książeczka pewnego literata z Werony (oby imię jego na wieki było zapomniane!), w której stara się udowodnić, że miłość Juljetty dlatego jest „wyższa“ od wszystkich tragicznych i romantycznych miłości, jakie nam przekazała historja, ponieważ była wynikiem... poczucia obowiązku wobec ojczystego miasta!!... Dziwny ów mędrzec baje, że Juljetta wtedy dopiero pokochała Romea, kiedy się dowiedziała, że jest to jeden z Montecchich, a pokochała go w tym jedynie „celu“ i z tym zamiarem, aby, doprowadziwszy do małżeństwa, pogodzić w ten sposób z dawna zwaśnione rody i zapewnić nareszcie spokój wewnętrzną rozterką targanej Weronie!

Bluźnierstwo jedyne w swoim rodzaju, naiwne i nieludzkie jednocześnie, całą cudowną legiendę, a więc dzisiejszą żywą prawdę faktu, stawiające po prostu do góry nogami!

Być może zresztą, że historycy, — a wiedli przecież o dzieje Romea i Juljetty zażarte spory Filip Scolari i profesor Todeschini, Aleksander Torri i opat Ventori!—otóż być może, że historycy doszli wreszcie do takiego poglądu, ale to bynajmniej rzeczy nie zmienia: pogląd ten, choćby nawet poparty był dokumentami (które zresztą nie istnieją), będzie i tak zawsze fałszywy.

Jedyną nieprzemijającą prawdą w każdym wypadku, choćby rzeczywistym, który stał się już legiendą, jest jego piękno, to jest to, czemu właśnie zawdzięcza swą nieśmiertelność.—Juljetta, dziecię piętnastoletnie, które pokochało młodzieńca, niespodziewanie jawiącego się na wieczornicy w domu jej rodziców, a dowiedziawszy się o imieniu nieznajomego — wroga swej rodziny, czując jeszcze na ustach pierwszy, gorący jego pocałunek, przez który z dziecka stała się kobietą, woła z przerażeniem i rozpaczą:

„My only love sprung from my only hate!
Too early seen unknown, and known too late!
Prodigious birth of love it is to me,
that I must love a loathed enemy!"

— ta Juljetta, która następnie, nie walcząc już i nie opierając się przemożnej miłości, skarży się tylko w ogrodzie:

„O, mój Romeo! czemuś ty—Romeo?
Wyrzecz się ojca, odrzuć swoje imię,
lub jeśli nie chcesz, kochać mnie przysięgnij,
a ja nie będę odtąd Kapuletką!“

— i dotrzymuje tych słów, spełnia tę ofiarę i nie waha się ani na chwilę wyrzec nazwiska i rodziny i oddać się duszą i ciałem ukochanemu człowiekowi i... żywa, w grób iść nawet dla niego, po prostu dlatego tylko, że go kocha: ta Juljetta jest piękna właśnie przez ową miłość zwycięską, nieopatrzną i ślepą na wszystkie rzeczy świata! Ale jakże ohydna byłaby Juljetta, udająca miłość dla wroga, albo bez miłości wychodząca za niego „przez poświęcenie“, aby małżeństwem załagodzić jakieś tam spory rodzinne lub zapewnić pomyślność ojczystemu miastu! A przecież to takby tylko można pojmować, gdyby to wogóle pojąć można było!

Tak, ta jasna Juljetta byłaby wówczas tem, czem są wszystkie kobiety sprzedajne, dziewki, żony czy królowe, które z rzeczy bezcennej, jaką jest miłość, robią cenę rzeczy... pożytecznych i za pokalanie, za bezmiłosne oddanie swego ciała, kupują chleb, spokój czy cześć, dobre imię dla swoich dzieci, czy życie dla ojców swoich

i braci, władzę dla siebie, czy szczęście dla swoich narodów,—to jest: nierządnicą!

Nie, mój literacie z Werony, nie kalaj mi Juljetty, która naprawdę kochała i śmiercią zapłaciła za miłość, za nic więcej ani mniej—za samą miłość tylko! Zapomnij o historykach, porzuć mądre i uczone swoje badania, a weź w rękę książkę jasnowidza Szekspira i pójdź wieczorem razem ze mną, dzikim barbarzyńcą z Północy, i Jego duchem nieśmiertelnym przed ten stary dom, patrzeć, jak wyrastają w księżycowym obrzasku cyprysy, jego potężną fantazją tutaj sadzone, i słuchać słowików, zanoszących się w ciszy gdzieś w zielonych krzewach nad brzegiem Adygi! Czyż dopiero ja, cudzoziemiec, mówić ci potrzebuję, że jeśli miłość Juljetty w czem jest „wyższa" od wszystkich, o jakich tylko słuch nas doszedł, to przez to jedynie, że to była miłość dziecka, która się zaczęła tak, bez dnia wczorajszego, i tak skończyła, bez jutra! Rozumiesz mnie? Miłość dziecka, które jeszcze nigdy, nigdy! nigdy dotychczas nikogo nie kochało i potem już nigdy nikogo kochać nie miało?

Ale to nie jest ocena „etyczna", to jeno miara szczęśliwości... i piękna...

*
* *

Za kilka soldów pokazują w Weronie grób Juljetty. A nawet nie grób; sarkofag jeno, w którym wedle podania miano złożyć ciała obojga kochanków,—prosty, wyżłobiony głaz czerwonego marmuru, obłupany i pokaleczony zewsząd czasem i bezbożnemi rękami „forestjerów“, którzy „na pamiątkę“ zabierają po okruszynie kamienia, rzucając nawzajem do środka... swoje cenne bilety wizytowe z imionami współczesnych europejskich filistrów, sentymentalnych barbarzyńców, z których żaden jednak nie miałby ochoty umrzeć dla rzeczy tak drobnej, jak miłość!

Sarkofag ten stał dawniej pod murem starego cmentarza kapucynów, otoczony szczątkami kolumienek, które niegdyś podtrzymywały snadź zwalone sklepienie grobowca. Ale to widzi się tylko na fotografjach. Cmentarz zniknął już obecnie; zamieniono go na podwórze koszarowe, przez które trzeba przejść, aby się dostać do miejsca, gdzie się teraz sarkofag znajduje. Wystawiono nad nim nową, kamienną altanę, rodzaj kapliczki, wśród której dziwnie odbija stary, poszczerbiony głaz...

I o to sprzeczają się historycy, czy to jest

naprawdę ten sam sarkofag, w którym złożono ciało Juljetty. A przecież to jest rzecz tak obojętna! Legienda ten właśnie kamień uświęciła, a zresztą dość, że na tem miejscu rozegrał się ostatni akt tragedji... nie! dośpiewał się ostatni akord cudownego poematu miłości Romea i Juljetty! Tak, bo to był poemat i piękniej nie mógł się zakończyć. Sentymentalne niemki i angielki ocierają łzy i przewracają oczyma, stojąc nad grobowcem i żałują „nieszczęśliwej“ pary kochanków! Mój Boże! żałują, zamiast zazdrościć im: tej złotej, co tak była kochana, i czarnemu jej kochankowi, który po nocy szczęścia niewysłowionego i po nocy bolu i rozpaczy, miał śmierć tak cudowną i błogą!

A jak to było?

Ów pan z Werony, o którym już wspomniałem, pisze: „Disgraziato, tre volte disgraziato Romeo! Fossi tu almeno morto di spada, che chiusi piu presto gli occhi per sempre, non avresti assistito, nell'impotenza dell'agonia, alla orribile scena che si sta preparando...“ I w dalszym ciągu opowiada barwnie, jak Romeo w ostatniej chwili, walcząc już z ogarniającą go śmiercią po zażyciu trucizny, widzi bu-

dzącą się z letargu Juljettę, widzi szczęście swoje przedwczesnym czynem zniweczone i kona w rozpaczy, której uśmierzyć nie zdołał nawet ostatni, pożegnalny pocałunek umierającej dobrowolnie z nim razem kochanki.

Tak napisał ów pan z Werony, a przecież należałoby raczej zawołać: „Szczęśliwy, po trzykroć szczęśliwy Romeo! Gdybyś był umarł od miecza, który zbyt szybko oczy na wieki przymyka, nie byłbyś dożył w ostatniej chwili agonji— rozkosznej sceny, która się właśnie zaczyna...“ Bo oto Juljetta, skrzepiona powiewem świeżego powietrza, wznosi powieki... Przed oczyma walczącego ze śmiercią Romea staje się cud: ta, za umarłą już miana, podnosi się zwolna z kamiennej pościeli i idzie ku niemu jasna, nowem życiem zarumieniona, w złotym płaszczu swych włosów, które, zda się, drżą jeszcze od jego przedwczorajszych namiętnych pocałunków, idzie jak sen, jak zjawienie, jak szczęście ostatnie, najsłodsze, wieczne... Romeo ostatnim wysiłkiem dłonie ku niej wyciąga, ale ręce opadają mu bezwładnie, więc tylko zamierającemi oczyma śmieje się do tej ukochanej i błogosławi ją, że przyszła, że zmartwychwstała, aby pokazać drogę do raju, gdzie będzie już

miłość niezamącona i szczęście wielkie, nieskończone...

Lecz i ona zrozumiała, co się stało: oto ten ukochany nie chciał żyć bez niej i zabił się, sądząc, że naprawdę umarła — i teraz śmierć, śmierć przychodzi, aby ich rozdzielić! Ale nie! ona i śmierć przemoże! ich nie rozłączy już nic, nic! Oto leży porzucony sztylet Romea, którym podważał wieko sarkofagu, aby na nią spojrzeć raz ostatni, ostry, błyszczący w księżycu sztylet stalowy!—„Krwią teraz moją piję do ciebie, kochanku mój słodki, najmilszy, jedyny!...“

A teraz ta chwila ostatnia... Pada na niego, tuli się do niego miłośnie, obejmuje rękoma jego głowę, usta do ust stygnących mu ciśnie, a z pod jej białej, od wspomnienia pocałunków wzdętej jeszcze piersi, płynie z rany otwartej gorąca, czerwona krew... Romeo czuje tę żywą, ciepłą falę, co, zda się, żyły jego przenika, czuje na wargach jej usta najdroższe... Czy to zorza już wstaje? Nie, to błyszczą złote jej włosy... Jak róże najsłodsze, tak pachną usta jej młode... Śpiew ptasząt się odzywa, ale to nie skowronek,—to słowik śpiewa, bo jest noc... i będzie już zawsze... noc — nieprzespana... błogosławiona... szczęśliwa... noc...

*
* *

Czyż ten poemat miłości mógł się inaczej zakończyć? pomyślniej? Czyż nie najwyższe szczęście spotkało tych dwoje, którzy, przemógłszy nienawiść rodową, przemógłszy życie szare i codzienne, i śmierć samą wreszcie przemogli, wzywając tę niszczycielkę na obronę swemu kochaniu i odeszli razem, w najrozkoszniejszym, ostatnim uścisku złączeni, zanim życie zdążyło ich pokalać i miłość ich młodą pierwszych, tęczowych barw pozbawić? Wszak szczęście nie długością trwania się mierzy, lecz natężeniem, a największe to jest pono, które jak pożar pochłania i nie gaśnie, nie rozprasza się w odbiciach bladych i w żrących, bolesnych wspomnieniach słońca wśród szarych dni jesiennych...

HEGESIAS PEISITHANATOS

1905

HEGESIAS PEISITHANATOS, „Namawiający do śmierci" — przydomek nadany filozofowi ze szkoły kyrenejskich „chwalców życia", który kazał w Aleksandrji za czasów króla Ptolomeusza.

Dzień był piękny, pogodny i ciepły i wybrzeże Wielkiego Portu w Aleksandrji roiło się od barwnych i gwarnych tłumów. Niektórzy spieszyli za sprawami dziennemi, inni podążali w stronę królewskiego pałacu, gdzie mądry i potężny władca, Ptolomeusz Lagi, wydawał był właśnie ucztę dla najprzedniejszych w mieście; ale największą część przechodniów stanowili tacy, co wyszli z domów tylko dla tego, aby patrzeć na błyszczące, ludne place, na słońce i na rojną żaglami przystań błękitną,—aby odetchnąć słonym powiewem morza, który chłodził zbytnią upalność dnia, albo upatrywać wśród mnóstwa snujących się kobiet jednodziennych towarzyszek, darzących chętnie wzamian za kosztowne poda-

runki jeszcze kosztowniejszą i wyszukaną i nadewszystko cenną miłością. Ci przechadzali się zwolna, jako ludzie, którym się nie spieszy, gdyż nie mają nic innego do roboty, a wiedzą, że znajdą wkońcu to, czego szukają. Tu i ówdzie tworzyły się w cieniu murów i pod rzadkiemi palmami grupy rozmawiających o wypadkach dnia, o cenach pszenicy, kobiet i oliwy, o pogodzie i o najsławniejszych w tym tygodniu filozofach i tancerkach.

Największa grupa utworzyła się przed gmachem Bibljoteki. Tutaj, na szerokich marmurowych schodach ogromnego budynku stał w bogate szaty przyodziany Grek i żywo coś rozprawiał. Wiatr od morza rzucał jego dźwięczne słowa na głowy skupionej rzeszy, a wraz ze słowami roznosił słodki zapach jego czarnych, rozwianych, wonnościami przepojonych włosów i ciskał połyski purpurą i złotem przetykanej szaty.

Ciekawych zbierało się coraz więcej, przywabionych snadź tem, co mówił, a jeszcze więcej może wspaniałą, bogom iście podobną jego postacią. Kobiety zwłaszcza, niewiela słuchając, wpatrywały się weń omdlałemi oczyma, których spojrzenie zdało się mówić: O, piękny

Greczynie! z ochotą miłość ci damy, najwyszukańszą i najsłodszą, jeśli tylko równie, jak słowo—dźwięcznie i obficie — pada twe złoto!

Wśród mężczyzn podawano sobie z ust do ust wieść, że jest to mistrz Hegesias, który wczoraj wieczorem przybył na skrzydlatym statku z Kyreny, aby tutaj w rozkosznem mieście kazać o rozkoszach żywota. Tłoczono się tedy i starano się pochwycić lotne słowa mówcy, aby je móc powtórzyć przy wieczornej biesiadzie, gdy się już znudzą żarty, kobiety i śpiewy.

A bogom podobny mistrz Hegesias mówił:

„Azaż potrzebuję, o Aleksandryjczycy, powtarzać wam jeszcze, iż dobre jest życie? Czyż nie jestem w mieście, którego mieszkańcy wiedzą o tem przepysznie, w mieście najbogatszem i najszczęśliwszem na całym świata okręgu? Zaiste! tutaj-bym owszem posłał, kogobym chciał nauczyć tej wielkiej prawdy, o tyle lepszej nad inne, o ile Aleksandrja jest lepsza od miast licznych, położonych na wschód i zachód słońca...“

Wiatr szeroko słowa jego roznosił, na miasto rozkoszne i ku jezioru Mareotis, poza którem ciągnęły się zielone, żyzne, sztucznie kanałami nawodnione łany delty nilowej — spichlerz

i ogród z pian morskich wykwitłej, marmurowej i białej Aleksandrji. A gdy lekki powiew przycichł na chwilę, wtedy słowa mistrza, od ścian i kolumn bibljoteki odbite, biegły ku morzu, ujętemu kamiennemi tamami w przystań ogromną i wygodną, gdzie drobna, łyskliwa fala wtór im dawała, uderzając z pluskiem białą piersią o granitowe ocembrowania.

Dwóch ludzi, przechadzających się wzdłuż wybrzeża, przystanęło na dźwięk głosu mistrza. Młodszy patrzył przez chwilę na słońcem oblane mury gmachu, a potem odezwał się do towarzysza:

— Przybysz z Kyreny naucza dzisiaj; czy chcesz się przybliżyć i posłuchać, o, Arystoklesie? Cień jest pod filarami, a widzę tam także wiele kobiet i zdaje mi się, że rozróżniam wśród nich najpiękniejsze i najdroższe w całej Aleksandrji!

Arystokles zwolna poruszył głową przecząco:

— Dobrze mi tu jest na wybrzeżu oddychać słonym powiewem morza i pławić się w słońcu. Nie jestem dość młody, aby biec za kobietami, gdy wiem, że same, nieproszone nawet, przyjdą pod dach mój i do mego złota, — nauki filozo-

fów zaś najmilsze mi są, kiedy ich słowa przytłumione i złagodzone odległością, jak przypływ i odpływ morza, lekko w me uszy uderzają, wiążąc się harmonijnie ze śpiewem majtków i szczebiotem głupich, lecz pięknych zalotnic. Wtedy tylko nie obciążają umysłu, lecz bawią i podniecają apetyt przed ucztą wieczorną, przy której dzisiaj—mam nadzieję—będę cię miał za towarzysza, cny Tymonie!

Tymon zawahał się nieco. Przyszło mu na myśl, że dzisiejszy wieczór mógłby spędzić z pewną dziewczyną, poznaną niedawno, która nieświadoma jest wprawdzie arkanów wyszukanej miłości, ale ma oczy zadziwiające, co patrzą gdzieś w głąb, aż w duszę — i usta, co dziwnie szczerze i świeżo i zgoła odmiennie umieją mówić to, w liczman już zresztą zamienione słowo: kocham. Lekki a przejmujący dreszcz przeszedł go na to wspomnienie, ale wstydził się przyznać do tego przed wytwornym Arystoklesem.

Ten jadnak spostrzegł jego wahanie i uśmiechnął się ironicznie, domyślając się snadź czegoś.

— Będzie także kilka kobiet, — rzekł — wybrałem największe mistrzynie wśród wychowanek Astartejonu; nie godzi się niemi pogardzać. Czy przyjdziesz? —

Tymon skłonił z lekka głową potakująco, ale Arystokles nie zauważył już tego. Zajęło go w tej chwili jakieś głośniejsze czy ciekawsze zdanie Kyrenejczyka, nadlatujące od Bibljoteki, lub może postać jego wyniosła, coraz barwniejsza i coraz więcej bogom podobna w promieniach zachodniego słońca,—dość, że jął patrzeć pilnie ku tej stronie, przystanąwszy nawet mimowolnie.

A Greczyn mówił tymczasem, rzucając słowa czyste, dźwięczne, pięknie utoczone, jak kule z kryształu:

„Na okręcie o białych żaglach przybyłem tu z zachodu, o Aleksandryjczycy! aby was życia nauczać, a oto widzę was i pragnę stać się raczej waszym uczniem! Pozwólcie mi tedy mówić o rzeczy dobrze wam znanej, a niechaj się wam zdaje, że opowiadam, czegom się wśród was dowiedział, prosząc abyście byli sędziami słów moich i wspierali moją niedostateczną wymowę, gdy się zająknę, głosząc pochwały życia. A jeśli mi przyklaśniecie, pójdę na wschód i zachód słońca, mając się za mistrza, iżem w Aleksandrji znalazł posłuch i łaskę!“

— Pochlebia nam ten Kyrenejczyk, — odezwał się Tymon.

— Filozofowie,—odparł Arystokles, — skończywszy wykład mądrości, zbierają grosze na talerz cynowy, podobnie jak linoskoczki i syryjskie tancerki; słuszna jest tedy, aby wpierw słowami swemi otwarli kieszenie słuchaczy. Ale ten zdaje mi się być mowcą niepoślednim i wspaniale się odziewa. Przygotowałem już sztukę złota dla niego, jeśli mnie zbyt nie znudzi...

To rzekłszy, przybliżył się nieco, pociągając za ramię młodego Tymona, który oglądał się był właśnie za przechodzącą nubijką o wyniosłych piersiach i wargach namiętnie nabrzmiałych.

„Godzi się pięknie i dobrze mówić o dobrych rzeczach, a zwłaszcza o najlepszej, jaką jest życie,—prawił Kyrenejczyk. — Nadto w porządku, aby mowa była, jak uczta doskonała, gdzie potrawy kolejno tak po sobie następują— w zieleń a nie rzadko i w kwiaty przybrane, — iżby smak jednej nie psował biesiadnikom rozkoszy, jaką z drugiej język ich wyciągnąć jest zdolny. Otóż i ja radbym w porządku zastawić przed wami, smakosze mądrzy i niezrównani, oną biesiadę słów, którą oby nie pogardziły wybredne podniebienia wasze! — radbym z ładem i składem wysławiać życie wobec was!

„Ale jakoż mi to uczynić, o Aleksandryjczy-

cy? Drga to życie i płynie, szumi, umyka i błyska, goni i znów ucieka — zaprawdę! zbyt żywe jest to, o czem chcę mówić i zbyt nieuchwytne! Darujcie więc, jeśli i słowa moje rozpryskać się czasem będą, jak to życie dokoła, srebrnej kaskadzie podobne.

„O jakże rad je sławię, to święte, to jasne, to błogie i umiłowane życie! Czyż nie jest ono jak światło dnia wschodzącego, które z czarnej nicości nocy stwarza cuda niewypowiedziene i najpiękniejsze czary wydobywa? Czyż nie jest owszem samo jasnością, bez której słońce byłoby ciemne i dzień ślepy? Wszak z życiem naszem dopiero świat się poczyna...

„Bo nie wiem, czy istniał przede mną, o Aleksandryjczycy, jak nie wiem, czy istnieją w tej chwili miasta, których nie widzę, okolice, gdzie mnie niema. O tem nikt się jeszcze snadź nie przekonał, i wierzyć w to tylko można, tak jak wierzymy zazwyczaj, że przedmioty i w ciemności zachowują swe barwy, choć nikt tego nie widział, gdyż, z chwilą, kiedy się ukazują, ciemność już niknie".

„Ale pocóż troskać mi was zagadnieniami, które nie dość są ucieszne, aby mogły zająć was, którzyście byli przez dzień rybakami i po-

ławiaczami pereł na rozkołysanej fali życia, a myślicie w tej chwili (co słuszna jest, zaiste), jaką rozkoszą wypełnić wieczór nadchodzący? Czyż nie dość, jeśli wymienię błogosławione imiona życia, abyście mieli zapas mian słodkich, gdy się z niem pieścić zechcecie? Bo zaiste światem je mienię być i potokiem srebrzystym i wzrastającem drzewem, jabłonią, która ma kwiat przewonny i słodkie owoce. A zaś je nazywam czarą drogocenną, sztucznie po bokach malowaną, albo zgoła ze złota wykutą i kosztownym zdobną kamieniem; nie próżną jednakże, owszem, nalaną winem po brzegi, które moc ma w sobie przedziwną i boską. I jeszcze pieśnią doskonałą ucztą i niezrównaną i gmachem marmurowym o słupach rzezanych i złocistym dachu nazwę życie, o Aleksandryjczycy! Ukochaniem naszem jest ono i rozkoszą, śmiechem ust naszych i szczęściem!

„Bogdajbym mógł je godnie wysławić! O potoku dwakroć już wspomniałem, mówiąc o życiu, i zaiste obraz ten wydaje mi się być dlań najodpowiedniejszym. Jako strumień, co z nieznacznych wypływa początków, gdzieś z łąki kwietnej u stóp gór śnieżystych, a w moc i wodę srebrzystą wzbierając, toczy się po łanach

i skały w kaskadach przesadza, a kiedy się w rzekę rozleje wspaniałą, odbija w sobie miasta stubramne, kraje rozkoszne i nieba najpiękniejsze a błękitne, aż wreszcie w morza niezgłębione rozpływa się toni: tak jest i życie, od dziecińistwa swego przez młodość i męskość, aż po kres śmierci!"

Tu mówca urwał nagle, jakby dźwiękiem słowa przestraszony. Przez chwilę patrzył n tłum zasłuchany, w milczeniu, aż wreszcie, po wiódłszy ręką po czole, uśmiechnął się dziwni i podjął znów, rzucając słowa dobitnie i powol

„Jakimże to wyrazem, niebaczny, obraziłem uszy wasze, o Aleksandryjczycy! Jakież to w dmo wywołałem lekkomyślnie przed oczy wa sze? Czyż godzi się wspominać bodaj o śmierc sławiąc życie? Strofujcie mnie albo odbieżc zgoła, bo ciężko zawiniłem przed wami, dając d wód jedynie, iż początkującym jestem i nie dos mistrzem, aby panować nad słowami i myślą

Smutek—rzeczywisty, czy udany—zawładn jego głosem i przyćmił mu oczy płomienne. Sł chacze poczynali szemrać, nie rozumiejąc jeszcz co znaczy ten zwrot niespodziewany; dalsi, któr nie wszystkie słowa dobrze słyszeli, zbliżali s teraz, dopytując bliżej stojących, o co rzecz idzi

Mistrz Hegesias mówił zasię dalej:

„Zdaje mi się, jakobym był szybkobiegaczem, który chciał rychło dojść do celu krokiem tanecznym i zaledwie palcami nóg ziemi tykając, a potknął się na głazie i upadł na początku drogi. Czy zdołam się poprawić? Rozglądam się wkoło i widzę, że jakąkolwiek drogę wybiorę, zawsze spotkam na niej ów głaz, o który muszę się roztrącić! Dopóki bowiem chwalić będę życie, jako rzecz dobrą w samej sobie, nie podobna mi nie myśleć o tem, że to życie się skończy, że kończy się świat, który ono w sobie streszcza! I lęk mnie ogarnia, o Aleksandryjczycy, zalim nie do zbyt kruchej rzeczy przywiązał miłość moją? Wszak życie samo w sobie, choćbyśmy mu najpiękniejsze nawet nadali imiona, jest trwaniem tylko, — cóż zasię warte jest trwanie, jeśli skończyć się musi?

„Znałem ja w Atenach mędrca niepośledniego, wyśmiewanego przez jednych, boską niemal cześć gwoli swym naukom odbierającego od innych, który wręcz utrzymywał, że życie ludzkie jest ową mocą niepojętą, która świat z nicości wydobywa i jasnością oną, bez której słońce byłoby ciemne i dzień ślepy!—Ale pocóż mi w tej chwili podnosić dumę waszą, powtarzając za

mędrcem tym doskonałym, że człowiek jest miarą rzeczy istniejących i nieistniejących i że każdy z was swem życiem stworzył ten świat, na który patrzy? — Czyż nie większe upokorzenie, że stwórcami będąc, czasowi i śmierci poddani nie zdołamy być dzierżycielami? czyż nie gorszy przestrach i ból, że ze zgonem naszym cały jeden świat w nicość zapada?“

— Ten przybysz nie dla pieniędzy mówi, — odezwał się Arystokles, wsparty wciąż na ramieniu Tymona i posunął się mimowolnie ku Bibljotece, zapomniawszy snadź, co mówił przec niedawnym czasem, że zdala najchętniej słucha mów filozofów.

Ten zaś, poprawiwszy białą dłonią złotą we włosach opaskę, począł znów, rozmysłem zapa miarkując;

„Zbyt szybko biegłem zaiste i mało ziem tykając stopami! Wrócić mi się pono trzeba i nie w próżnych słowach wychwalać życie, nie trwaniem się radować, lecz szukać w treści jego jakiejś rzeczy, dla której w istocie dobrem się je nazwać godzi i która nie zblednie ani się rozchwieje wobec niszczącego podmuchu owe światy walącej, tajemniczej mocy — śmierci!

„Mnóstwo jest mędrców w Grecji, a zdaje

się jeszcze więcej na dalekim Wschodzie, wśród ludów odmiennego języka i odmiennej twarzy, których zaiste nie godzi się nazwać barbarzyńskimi, choć obcy im jest przesłodki dźwięk helleńskiej mowy. Mędrcy ci nader różnie piszą o życiu, a nawet, aby prawdę powiedzieć, większa ich część zgoła w niem nic dobrego znaleść nie umie. Pocóż mi powtarzać słowa mędrców rozlicznych?—czyż nie jestem w Aleksandrji i czyż nie stoję pod portykiem Bibljoteki, gotowej każdej chwili przemówić do ciekawego dziesięcioma językami świata?

„Niech jednak milczą te głosy — martwe i przeważnie ponure. Gdyby się rozjęczały nad nami, (gdyż śmiać się bardzo rzadkie tylko wśród nich umieją), nie wiem doprawdy, czyby nam smakowała uczta wieczorna, — tyle bowiem jest w nich goryczy i skargi, utyskiwania i pogardy życia. A zwłaszcza w tych, któremi Azja przemawia...

„Nie warto ich budzić, — cokolwiekby nam bowiem powiedziały o marności życia, choćby to było nawet, jeśli możliwa, rozumne, sprzeciwiałoby się tej wielkiej i najlepszej prawdzie, którą z nas każdy w sercu swem nosi głęboko wyrytą: iż dobre jest życie! Cóż więc warte być mogą

wszelkie dowodzenia, jeśli taki żywy głos w duszy naszej z góry kłam im zadaje?

„Ale dlaczego dobre? i co w niem jest dobre, jeśli samo trwanie jego, zbyt kruche i nieuchwytne i zbyt nagle się kończące, dobrem nazwać się nie może?...“

Odetchnął nieco mistrz i powiódł okiem po swoich słuchaczach. Niecierpliwili się jedni, nie radzi zbyt mądrych słuchać wywodów, inni z zapartym oddechem słowa jego chwytali. Mówca przeliczył ich szybko i snadź dosyć ich znalazł, bo jął znowu mówić, swobodny jak dotąd:

„Oto powiadają niektórzy, a nawet najlepsi, iż dobra jest — cnota! Dzieckiem byłem-ci ja jeszcze, kiedy mi mówiono, że ona jedna cenna jest nadewszystko i niezniszczalna i życiu wagę dająca. Słuchałem tych słów i wierzyłem im, ponieważ ich nie rozumiałem. A kiedym, stawszy się młodzieńcem, tunikę już przewdziewał, słyszałem to z ust wielu mędrców i w wielu księgach pochwałę cnoty czytałem. Ale przewrotnym stał się z wiekiem umysł mój, o Aleksandryjczycy, bo oto pewnego dnia zapragnąłem wiedzieć, co to jest owa cnota? Pytałem nauczycieli, a oni odpowiadali mi, wymieniając cnót różnych rozliczne rodzaje, a gdym niezadowolo-

ny tem, o odkrycie mi jej istoty nalegał, odpowiadano mi słowami, które treści zgoła były pozbawione, jako to naprzykład mieniąc ją być umiejętnością, albo też wypełnieniem woli bogów, nieznanych mi i niewiadomo zresztą dlaczego to, a nie co innego ludziom nakazujących.

„Więc tedy sam szukać począłem i przekonałem się—nie bez zdziwienia, że cnotą nazywa się zawsze takie postępowanie, które innym ludziom przyjemność sprawia albo-li przynosi pożytek. Sprawiedliwość i męstwo, roztropność i miłosierdzie i umiarkowanie ono, które się na tem zasadza, aby wszystkiego nie pragnąć dla siebie, — czyż nie są to rzeczy raczej ludziom wokół mnie żyjącym, niźli mnie samemu potrzebne i miłe? Jać ich potrzebuję także, ale u innych, nie u siebie!—a jeśli je sam wykonuję, to czyż nie czynię przez to ofiary w nadziei, że i inni tak postępować względem mnie będą?

„Jakoż więc wagę życia, które jest moje, kłaść mam w to, co leży poza mną i cudzego raczej dobra dotyczy? Ja ten świat, który znam i widzę, dla siebie stworzyłem—i ja chcę w nim być szczęśliwym! — jeśli chwalić mam życie...

„Zdarzyło się, iż rozmawiałem był o tem z mędrcem pewnym niepośledniej sławy, jednym

z uczni Zenona, którego zwą Stoikiem. Gdym mu powiedział, co myślę, skarcił mnie srodze, jako że oni wszyscy cnotę za największą rzecz mają i głoszą, że ona jedna życiu godność, wagę i cenę nadaje.

„On to, gdym dalej nalegał, aby mi cnoty rzeczywistą istotę pokazał, którąby sama dla siebie miała znaczenie i wartość, nie zasię w odniesieniu dopiero do bóstw jakichś lub ludzi: rzekł mi, iż w mądrości ją widzi. Tak tedy patrzyć począłem, zali mądrość jest w życiu ową rzeczą dobrą w samej sobie? I skłonny już byłem, o Aleksandryjczycy, przyznać, że tak jest w istocie. Czyż nie mądrość bowiem uczy nas korzystać z wszelkiego dobra na ziemi i czyż owo korzystanie nie jest właśnie mądrością? Sąć wprawdzie mądrości różne: i takie, które głoszą zaparcie się i wyrzeczenie i pogardę dobra wszystkiego, krom samych siebie, ale te nie nazbyt rozumnemi mi się wydają, a i wy, o Aleksandryjczycy, zgodzicie się zapewne ze mną pod tym względem! Zwłaszcza, że podejrzywam je, owe mądrości ponure, że gardzić każą rzeczami dobremi przeto jedynie, iż nie umieją wskazać sposobu, jakby je osiągnąć!

„Ale oto w tej chwili, kiedym chciał sławić

mądrość jako dobro prawdziwe i szukałem w myśli porównania, aby w obrazie pięknym wartość jej uczcić—w tej oto chwili zdało mi się, że mądrość jest podobna do klucza złotego, który zamczysty skarbiec otwiera... I przeląkłem się. Czyż bowiem nie jestem znów na fałszywej drodze, jeśli klucz chwalę, miasto skarbu, który za jego pomocą osiągam? Czyż nie ten skarb właśnie kluczowi wartość nadaje i cenniejszym robi z szarego żelaza wykuty, ale zdolny odewrzeć zapory, od złotego nawet i ozdobnie wyrobionego, który jednak nie trafia do zamku? A ileż takich złotych, lśniących a bezużytecznych kluczy w ręku ludzkich widziałem? Niezdolne są one otworzyć posiadaczom swym skarbu życia i przeto same natomiast się stawiają i mówią: Oto ja, klucz, skarbem jestem prawdziwym, a za temi drzwiami, które słuchać mnie nie chcą, niema już nic! — Ale i klucz właściwy kluczem jest jeno. Jakoż szalony jestem, jeżeli klucz cenię, miast szukać skarbu!“

Tu przerwał mistrz na chwilę i smutek udając wyrazistą twarzą, pojrzał nieco po zgromadzonych, którzy z małym wyjątkiem już naprawdę niecierpliwić się teraz poczynali, znudzeni mową zbyt mądrą i pozbawioną dźwięcznych

zwrotów krasomówczych, tak obficie z początku z ust Greczyna padających. On to spostrzegł, ale miast mieszać się lub zmartwić istotnie, uśmiechnął się jeno chytrze i począł znów mówić, wodząc wokół oczyma:

„Widziałem ludzi, którzy spokój sobie chwalili i w dziwnem zaiste opętaniu w tem usiłowali szukać wartości życia, co jest samem jego zaprzeczeniem! Nie musieliżbyśmy przyznać, iż złe jest życie, jeśliby spokój w niem miał być dobrem jedynem? I nie musieliżbyśmy wyrzec się życia, aby spokój osiągnąć? zamknąć oczy i uszy i ducha zawrzeć przed wszystkiem, co z zewnątrz przychodzi? A jeszcze potem z wnętrza własnego wyprzeć to wszystko, co żywe w nas jest, co myśli, pragnie i odczuwa? Kto mi to zrobić potrafi wobec tej burzy zdarzeń, która go otacza—i drugiej, co z wnętrza echem jej odpowiada? A jeśliby się znalazł taki i pokój uzyskał i chwalił go sobie: zaprawdę, iż śmierćby on chwalił, nie życie, umarł już bowiem, nim na stos go złożono!

„Prędzej już gotówbym przyznać słuszność tym, którzy pragną radości i wysławiają cichą i umiarkowaną, ceniąc przyjemności, a zwłaszcza sielskie, i mówią o słodyczy zajęć codzien-

nych w kole rodziny i dobrych przyjaciół, o piękności nieba i słońca promiennego i pól i morza i gajów zielonych! Aleć to wszystko są rzeczy wielce niepewne! Trudno je osiągnąć a trudniej jeszcze utrzymać.

„Jest-ci to bowiem dobro, które na braku przeciwności się zasadza, a nie jest tak silne, aby przeciwnościom oprzeć się mogło! Straty i dolegliwości, zawiść i złość i choroba czyhają na człowieka, zawsze gotowe wydrzeć mu tę radość cichą, dla której życie swe cenił. I niemasz tak bogatego, któryby nie mógł jutro stać się nędzarzem, ani tak zdrowego, iżby był pewien, że nie zwali go jutro boleść na łoże, ani tak wesołego zasię, coby mógł rzec, iż jutro płakać nie będzie! I gdzież jest to dobro życia? mówcie mi, o, Aleksandryjczycy!

„Zwątpiłem już był i zaiste szaleństwo poczęło mnie ogarniać i gotów byłem bluźnić życiu i przeklinać je, za mądrość to sobie smutną lecz ostatnią poczytując! Lecz oto bóg jakiś dobrotliwy zlitował się nade mną i przywiódł mnie do was, byście mnie z obłędu mego wyleczyli, nauczyciele dobrzy, słuchacze moi aż nazbyt łaskawi! W was jest mądrość prawdziwa! u was jest klucz, co skarby życia otwiera!“

Przerwał mówca i pojrzał zaś po słuchaczach, pochlebstwem jego zadowolonych. Przytakiwano głowami, uśmiechano się z ulgą i czyniono szmer, gdy on zaczął znów mówić:

„Przybyłem do was zaledwie wczora, kiedy słońce się miało ku zachodowi, a dzisiaj, patrząc znów na czerwoną zorzę ponad falą, już stoję przed wami, aby wam dziękować. Spędziłem wśród was noc jedną i jeden dzień,—a nie wiem nawet, które z nich lepszem mam mienić!—tak słodka była noc owa i dzień tak rozkoszny! Wyście mnie prawdziwej mądrości nauczyli! Widziałem was przy uczcie wieczornej, na łożach wygodnych, w kwieciu róż i w szatach drogocennych, kiedy niewolnicy stawiali przed wami wybredne i wyszukane potrawy a inni zasię ogniste wina pachnące ze złotych stągwi w kryształowe czary nalewali! Widziałem was, jak pląsały przed wami tancerki o nagich biodrach, Kryprydy godnych zaiste; widziałem, jak słuchaliście śpiewu płomiennookich dziewcząt indyjskich alboli żydowskich i pobrzęku sprawnych lutnistów, z dalekich ziem sprowadzonych! Byłem w mieszkaniach waszych i patrzyłem na kolumny alabastrowe i sprzęty z marmuru, bronzu, lub zgoła ze złota szczerego, oglądałem bogate ma-

lowidła na ścianach i przypatrywałem się posągom przez bogów zda się raczej niźli przez ludzi zdziałanych! A cóż mam mówić dopiero o pocałunkach waszych niewolnic i o uściskach dostojnych heter waszych, najumiejętniejszych zaiste na świata okręgu i godnych, aby im za miłość złotem trzykrotną wagę ich boskiego ciała płacono!

„Łaskawi byliście dla mnie, gościa, poznać was żądnego i gdy róże zwiędły o świtaniu dnia, w złotą obręcz przystroiliście czoło moje i daliście mi okręt, ażebym rano, wonną kąpielą odświeżony, mógł odpoczywać po rozkoszach nocy, kołysząc się z lekka w cieniu purpurowych żagli. A kiedym się zbudził, gdy upał mimo słony powiew morza począł już doskwierać, niewolnica naga, od Charyt snadź piękniejsza choć smagłej skóry, strusim wachlarzem znój z mego czoła odpędzała, podczas gdy rzezaniec dźwięcznousty czytał mi w głos przesłodkie strofy jońskich pieśniarzy...

„Dzięki wam czynię, łaskawcy, dzięki, nauczyciele moi niezrównani! Oto już wiem, że dobre jest to wszystko, co cieszy, dobre jest użycie i dostatek jest dobry, który pozwala kupić wino i sztukę i piękne kobiety. Wyście mnie nau-

czyli cenić rozkosz, jedyne dobro na świecie! Wiem-ci ja teraz, że nie o miarę idzie, nie o spokój martwy i radość niepewną, ale o użycie, o wyrwanie chwili wszystkiego, co ona dać może, bez pamięci dnia wczorajszego i bez myśli o jutrze, które nadchodzi! Oby bogowie, jeśli jacy istnieją, w świętej was mieli opiece, oby wszelkie błogosławieństwa na was zsyłali, ciesząc się widokiem waszym, którzy z tak wielu względów do nich jesteście podobni, o Aleksandryjczycy!“

Szmer zadowolenia przeszedł znowu po tłumie, który raczej zgromadzeniem dostojnych nazwaćby należało, tak przedni bowiem i doskonali a majętni mężowie byli w ten dzień zebrani u portyków Bibljoteki...

— Zawiódł mnie ten mówca,—odezwał się Arystokles do Tymona, — spodziewałem się, że powie rzecz jaką ciekawą, ale on znowu tylko pochlebia i na tem już snadź zakończy. A przytem nowicjusz to jest, zda się, i człowiek życia nie znający, kiedy z takim zapałem mówi o drobnych naszych przyjemnościach, które powtarzając się codziennie, nudnemi stają się w końcu...

To mówiąc, spojrzał na Greka z lekkiem szyderstwem w oczach i przelotnym na twarzy

uśmiechem i odwrócił się, jakby pragnął już odejść.

Mistrz Hegesias spostrzegł ten uśmiech na licu Arystoklesa, a snadź i u innych musiał podobny zauważyć, gdyż złożywszy ręce na piersi i cofając się nieco w głąb, począł mówić głosem zupełnie zmienionym:

„Śmiejecie się ze mnie, o Aleksandryjczycy! Cóżem ja rzekł tak nieprzystojnego? Czyż przeto tak wam się zabawnym wydaję, iż nie umiem powściągać zachwytu z powodu rozkoszy tej jednej doby w waszem mieście spędzonej? Tak-to snadź jest rzeczywiście. Śmiejecie się ze mnie i szydzicie w duchu, prostakiem zwąc mnie może, iż tak chciwemi usty i z takiem pragnieniem czerpałem ze studni, z której wy, mistrze życia doskonali, co dnia pijąc, już się czerpać nazbyt nie kwapicie!

„Teraz przypominam sobie istotnie pewne rzeczy z dziejów dnia ubiegłego, o których zapomniałem był na razie, nie przywiązując do nich zbytniej wagi. A przecież powinny mnie one były lepszej nauczyć mądrości...

„Widziałem was wczoraj wesołych i przy rozkosznej biesiadzie, a przecież były chwile, kiedy mi się zdawało, że ja jeden, który po raz

pierwszy wśród was tak ucztuję, zadowolony jestem naprawdę! Wśród wybuchów śmiechu waszego brzmiała mi niekiedy nuta dziwna, która mrozem serce moje przejmowała. Znać było, iż się codziennie tak śmiejecie i dziś już więcej z przyzwyczajenia, niźli z prawdziwej uciechy!

„Potrawy wyszukane, które podniebienie moje zachwycały, wyście zaledwie usty raczyli dotykać,—najsłodsze i najognistsze wina cypryjskie piliście ze złotych puharów niebacznie, z mniejszem zadowoleniem, niż robotnik znużony glinianą czarę kwasu wychyla: snadź wy codziennie tak biesiadujecie!

„Obojętnem okiem patrzyliście na wijące się przed wami nagie ciała doskonałych tancerek i nie zachwycał was śpiew dziewcząt syryjskich, wonnych jak kwiaty — a i w tem jeszcze kwiatom podobnych, że je nietknięte dla uciechy waszej od matek kupiono! Snadź wy codziennie tak się bawicie!

„Aż oto nadeszła godzina świtania. I była chwila, gdy zobaczyłem, jak z oparów wina, z kadzidlanych ambry obłoków wykwitły wśród was w szarym dnia obrzasku trzy nieuchwytne, a potężne i straszne bóstwa, których ja nawet przez pochlebstwo Eumenidami nieśmiałbym nazwać,

tak są bowiem ludziom mało przychylne... I szły dwa z nich i dotykały waszych czół i zimne ręce swoje kładły na piersi waszej i serc w niej szukały, serc, które doprawdy tak niewiele zażyły rozkoszy! I widziałem twarze wasze pobladłe i wargi drżące — i osłupiałe, tępego przerażenia pełne źrenice wasze i jakby szukające uporczywie tego trzeciego widma, najstraszniejszego, które niewidzialne krążyło nad wami...

„Czyż mam nazwać tych bóstw złośliwych a znanych wam tak dobrze straszne imiona? Oto naszły was: Przesyt i Nuda — a Myśl o śmierci była za niemi..."

Setka szeroko rozwartych oczu wpatrywała się teraz w mówcę, który znużony zamilkł na chwilę, aby piersiom dać nieco swobodnego oddechu. Arystokles, który poprzednio miał się już był ku odejściu, stał także zasłuchany i patrzył na Greczyna, niemal ze zdumieniem, tak mu się prawdziwem być wydało to, co tenże powiedział. A on, odetchnąwszy niewiela, mówić znów jął głosem mocnym i pewnym siebie, bez śladu już owej chęci przypodobania się słuchaczom, na co początkowo tak baczną zwracał był uwagę.

„Takież-to więc, — mówił, — o Aleksandryj-

czycy, jest owo dobro życia jedyne, taka jest rozkosz, ku której osiągnięciu zmierza cała mądrość nasza? Każdy dzień nowy dobro nam to psuje, Nuda i Przesyt wartość mu odbierają, a ono mizerne, nie potrafi nas od tej najstraszniejszej zmory wybawić, jaką jest Myśl o śmierci! Zaiste, przekląłbym życie albobym się zgoła do szalonego cechu zaprzeczycieli jego na Wschodzie zapisał, jeśliby nic nad tę rozkosz i to użycie większego w treści swojej nie miało, nic, coby nam o okresie jego, o śmierci kazało zapomnieć, albo — pozór strachu jej odebrać!

„Dajcie mi, dajcie dobro takie, co wzmoże do tego stopnia wszystkie żywotne potęgi w człowieku, iż zaiste nie będzie pamiętał, że śmierć istnieje, a jeśli nawet o niej wspomnieć raczy, to z uśmiechem, jako o rzeczy, co słabsza jest, niż jego bujna szczęśliwość! Dajcie mi taką moc!...“

Jak spiż zadźwięczało to ostatnie słowo w ustach mówcy. Drgnęli słuchacze—i on sam drgnął, jak gdyby w wyrazie — mimowoli wypowiedzianym—nalazł był jakieś nowe objawienie.

„A! czyż nie wypowiedziałem—przypadkiem—słowa czarodziejskiego, za którem szukałem?—zawołał radośnie. — O moc mi właśnie idzie,

o Aleksandryjczycy! o tak wypotężniałe życia uczucie, iż przeciwważy siłę nieszczęścia i bólu, przesytu, nudy i śmierci! Nie małych nam rzeczy szukać zaiste, ale sięgnąć po największe!— nie godzinami i lat długością mierzyć szczęśliwość! ale potęgą chwili, w której się życie objawia! Zła była mądrość wasza, której mnie uczyliście,—więc oto ja was chcę lepszej nauczyć! Bądźcie potężni! umiejcie spalać się w czynie i konać w nadmiarze zachwytu, boć to jest życie prawdziwe i jego jedyna szczęśliwość, co śmierć przezwycięża i obraz jej z myśli usuwa nawet w chwili, gdy ona już w chłodne nas tuli ramiona!

„Bo patrzcie! któryż z władnych tego świata w godzinie najwyższej swojej potęgi raczył myśleć o kresie? kto się go obawiał? Czyż nie jest nawet przeciwnie? czyż się śmierci wprost nie wyzywa, aby w jej obliczu władzę swą uczuć tem potężniej? Spytajcie mowcy, który nad rozhukanym tłumem zapanował i tych, co go przed chwilą ukamienować może chcieli, uczynił na jedną godzinę niewolnikami głosu i skinienia swego i stoi tak, trzymając dumne dłonie na dzikim zwierzu okiełzanym, posłusznym mu teraz, a jednak gotowym rozedrzeć go zaraz w na-

stępnej chwili, jeśli jeden fałszywy ruch jeno uczyni! Króla zapytajcie, co zgiął do nóg nieprzyjacioły swoje i rękę żelazną na dziesięciu ludach i na stu miastach położył! Oto stanął na tarasie swego pałacu i patrzy na kraj ujarzmiony, patrzy na lud i wie, że go nienawidzą, bo jest potężny—i dobrze mu z tem, że dzisiaj jest potężny. A jutro...? czyż jutro dlań istnieje!—Czyż myśli o jutrze wódz, który dzisiaj bitwę wygrał przeważną? Oto w zorzy wieczornej ociera z krwi miecz swój żarłoczny i patrzy, jak powiązanych jeńców wiodą mu do nóg a zaś rzucają zdobyte znaki pułkowe,—słyszy radosne okrzyki żołnierstwa, sławiące jego, zwycięzcę, mocarza, dzikie serce się w nim weseli, przepełnione uczuciem władzy i potęgi!—Czyż po stokroć on dzisiaj życia nie narażał, aby dożyć tej jednej chwili? czyż nie byłby gotów jutro życiem za tę chwałę zapłacić? Znacież wy rozkosz podobną alboli równą na ziemi szczęśliwość?

„A przecież większa jest jeszcze z podniesienia ducha w chwili nadzwyczajnego czynu płynąca!—A ja wam powiadam, iż nie dla sławy wielkie czyny się spełnia, lecz przeto, iż szczęściem są one dla pełniącego!—Otoście wszyscy wraz ze mną czytali o maratońskiej bitwie na

szumiącego morza wybrzeżu; i któż jest, kto nie zazdrościł w potrzebie onej poległym, nie zazdrościł tej jednej chwili, gdy trąb miedzianych zagrzmiały spiże i serce w piersi zagrzmiało: na bój! za wolność! na wroga!—Któż nie zazdrościł losu nawet gońcowi onemu, co pierwszy przybiegł i krzyknął: Zwycięstwo!—i martwy padł na ateńskim bruku! Nie znużenie go tam zabiło, ale mu pękło męskie serce z rozkoszy! — Czyż za chwilę śmierci takiej nie dalibyście chętnie życia całego? Chwalą ludzie tych, co się poświęcili, a przecież tylko zazdrościć im winni, bo oni byli szczęśliwi—i stokroć szczęśliwsi od tych, co z poświęcenia ich korzystają...

„Lecz oto znam jeszcze jedno ducha podniesienie i jedną nad wszystkie inne większą i doskonalszą szczęśliwość...“

Tu mistrz Hegesias zniżył głos, jakby tajemnicę zwierzał ludowi; wzniesione czoło i w dal gdzieś zapatrzone oczy dziwnym mu blaskiem rozbłysły—i drżały wargi purpurowe, gdy mówił:

„Miłość mienię być tą rozkoszą, tem dobrem najwyższem i szczęśliwością nad wszystkie inne na ziemi...!“

Szmer się rozległ wśród słuchaczy. Nie rozumiano dobrze, co ma na myśli mędrzec ten

wymowny i gorszono się nawet, że przy wielkich rzeczach o drobnych wspomina. Wszak wszyscy, zgromadzeni tu dzisiaj o wieczornym mroku, znali miłość, cenili ją i złotem płacili bogato, i wszyscy zarówno wiedzieli, że nuda i przesyt to rzecz jedyna, którą ta miłość, drogo kupiona, niesie ze sobą... Wiedzieli, że uprzykrzyć się muszą najpiękniejsze ciała niewieście, że rychło, zbyt rychło niestety! przychodzi czas, kiedy słabną już siły i gaśnie boska pożądliwość krwi i człek z pustką w sercu patrzeć poczyna okiem obojętnem zarówno na niewinne, dziecięce niemal jeszcze piersi dziewcząt, jak i na pełne, lubieżne biodra doświadczonych w kunszcie Astarty rozkosznic. I wiedziano także, iż przestrach śmierci człowiekowi wtenczas w oczy zagląda. Dziwiono się tedy, że mistrz oną miłość nadewszystko inne wysławia i wstręt budzi im w sercach, wzniesionych poprzedniemi słowami na chwilę.

Poznał Hegesias myśli swoich słuchaczy i gorzko, niemal z pogardą uśmiechnął się, szmeru zdumionych głosów słuchając.

„Nie o tej ja wam miłości chcę kazać, o Aleksandryjczycy!—mówił,—która dla was codzienną i umierżoną stała się strawą“...

Zamilkł i zdawało się, że tym razem prawdziwe zakłopotanie głos mu odjęło. Po chwili dopiero zaczął znowu:

„Władzę chwaliłem i wielkich czynów radosne wesele — i widziałem rozpłonione oczy wasze i czułem, że mnie rozumiecie, choć żaden z was nie władał naprawdę, za trud to sobie zbyt wielki mając, ani o czyn się całopalny pokusił. A oto chcę ja teraz sławić miłość prawdziwą i nie wiem doprawdy, jak mi mówić przystoi, abyście wy mnie pojęli! Ta rzecz bowiem największa to ma do siebie, że ci tylko świętość jej mogą zrozumieć, którzy ją znają. A patrzę na was i zdaje mi się, że to słowo, które wypowiadam, jest dla was pustym dźwiękiem jedynie, jeśli nie nazwą rzeczy plugawej i tak od miłości różnej, jak różny jest nędzarz pijany od człowieka boskim obłędem natchnionego — i wstyd mi nawet mówić przed wami i obawiam się, że gdy będę mówił, świętokradztwo popełnię, jak kapłan, który swoje bóstwo tajemnicze oczom niewiernych na pastwę wydaje. Ale niech będzie! może owszem cudu stanę się świadkiem? może obaczę, iż mocniejsza jest bóstwa mojego świetlaność, niźli niedowiarstwo wasze!

„Słuchajcież mnie tedy, o Aleksandryjczycy, wy, którzyście wczoraj na białych łonach kobiet napróżno zapomnienia szukali—i dziś go znowu napróżno szukać będziecie, — jeśli to, co wam powiem, zgoła wam ochoty do marnych uciech waszych nie odbierze! Słuchajcie mnie wy, którzyście ze wszystkich źródeł życia rozkosz czerpali, a prawdziwej pono nigdy nie znaleźli! Słuchajcie, a ja wam powiem, że jest uczucie — najpotężniejsze — którebym nazwał rozkoszą jedną, gdyby nie było większe od rozkoszy! którebym zapomnieniem życia nazwał, gdyby nie było najwyższem życia spotęgowaniem! — uczucie zachwytu, wobec którego niczem jest bujna władcy szczęśliwość i zabijająca rozkosz spełnionego czynu!

„Miłość je tylko daje prawdziwa! z miłości ono tylko się rodzi — i tak w sobie stapia całą istność człowieczą, tak wszystko na jedną chwilę z życia ludzkiego bierze, jakby to życie gwoli jemu tylko istniało!

„Nie martwego pokoju, nie radości niepewnych ani marnych rozkoszy, ale ZACHWYTU ja was tutaj uczyć przyszedłem! — Co mówię! nie — uczyć! — ale w pierś waszą słowami uderzyć i zatrząść serce pod piersią i zbudzić, a jeśli

się ocknie i poczuje, że zdolne jest do zachwytu: zaprawdę, że mu nie potrzeba nauczyciela! Jeśli jest zdolne...

Plato już ongi w Helladzie nauczał, że dusze ludzkie parami przez stwórcę uczynione zostały, a wcieliwszy się tutaj, w ciągłem za sobą są poszukiwaniu. I zdarza się czasami, że najdą się te dusze bliźniacze. A wtedy się łączą ze sobą i chłoną wzajemnie z uczuciem rozkoszy tak doskonałej i niewysłowionej, że śmiesznością i smutnem kłamstwem wobec niej się być wydają wszystkie inne ziemskie uciechy. Nie wiem ja, o Aleksandryjczycy, jak stwarzał duszę świata budowniczy; nie wiem nawet, aby prawdę powiedzieć, czy w istocie są jakie—nieśmiertelne—w tej ciała naszego powłoce, owszem, skłonny jestem raczej mieć to za dowiedzioną, że z życiem naszem wszystko się zaczyna i kończy wszystko wraz z życiem,—ale to wiem napewno, że są ludzie dla siebie stworzeni i oni tylko wzajem dać sobie mogą szczęście zupełne i w chwili zachwytu bogom wydrzeć dobro ich najwyższe!...

„Czy znacie to pożądanie, tę tęsknotę, w której się wszystkie życia pragnienia streszczają? Oto człowiek, aby posiąść ukochaną kobietę, sto

razy idzie przez śmierć, gotów opuścić dostatki, władzy się wyrzec i wszystko zdobyć, wszystko porzucić — bez żalu, bo to „wszystko“ niczem mu jest wobec tego jednego słowa: kocham, które on chce z ust jej usłyszeć. Wiecież wy, czem jest to słowo? wiecie wy, że gdyby można zań było światem całym zapłacić, wszystkiemi jego rozkoszami i złotem wszystkiem, które ziemia żywicielka w łonie swem chowa, całym przepychem, który ludzie stworzyli i pięknem, które snadź boską jakaś uczyniła ręka: to jeszcze ono tanio byłoby kupione, ba! co ja mówię! byłoby jeszcze dane zgoła za darmo, tak jest bowiem w istocie swojej bezcenne!

„Czy znacie wy te spojrzenia, które jak dwa płomienie wzajem się ogarniają i są wymowniejsze od słów najbardziej kwiecistych? Znacie ten uśmiech cichy, co w chwili szczęścia najwyższego na ustach wykwita i człowieka, który już ręce może ma krwią zbroczone i przez wszystek ból i brud tego świata już przeszedł, czyni napowrót dzieckiem niewinnem i równocześnie w boga go zamienia!

„Nie dość wymowne są usta moje i słów mi już brakować poczyna, bo zaiste niczem są słowa wobec rzeczy, którą chciałbym opisać.

Przeto jak przed świętą tajemnicą cofam się przed skreśleniem onej chwili, kiedy się ręce ukochanych wiążą i usta spragnione w jeden grom stapiają.

„Bo jakoż nawet mówić mi o tem? Oto ciało swoje uczuwasz przez to już tylko, że jest miejscem rozkoszy. Dreszczem jeno niewysłowionym, wszystkie tajniki żył przechodzącym, mówi ono nadludzko szczęśliwemu duchowi, że żyje i dążyć chce za nim w tę otchłań, w to niebo... Jak gdyby łkanie jakieś ściska cię za pierś, opadają powieki, ustom tchu już brakuje, a pragną jeszcze bez końca, bez końca...

„A potem ta chwila jeszcze nadmiernego zachwytu, kiedy dwa duchy łączą się ze sobą i z dwóch ciał człowieczych jeden najświętszy przybytek bogu się staje! Oto świat cały w otchłań zapada, a wszystkie gwiazdy nieba szerokiego krążą nurtami krwi i w uderzeniu tętna się iskrzą—a życie całe, wzmożone, do takiego natężenia dochodzi, że już się jeno umrzeć pragnie w tej chwili!“

Tu Grek, na którego licu jakiś nieziemski płomień się rozpalił, wzniół ręce i cały iście do boga raczej podobny, zapominając prawie, iż ma słuchaczy przed sobą i sztucznem już gardząc

krasomówstwem, wołać począł wysoko, wysoko ponad głowy tłumu, ku gwiazdom gdzieś na stropie nieb właśnie błyskającym, jakby modlitwę jakąś świętą odmawiał:

„Błogosławione niech będzie Życie, iż dać nam może godzinę takiego zachwytu!

„Błogosławiony Człowiek, iż zdolny doznać go swą duszą!

„I Śmierć niech będzie błogosławiona, iż się staje szczytem jego i koroną!...“

Głuche milczenie zaległo pośród słuchaczy i choć mistrz przestał mówić, nikt się nie ruszył ani oczu nie spuścił z natchnionej jego postaci... On zaś, jakby zwolna z boskiego obłędu do przytomności wracając, powiódł okiem po rzeszy i mówił znowu dumny i pewny już władzy swojej nad tym ludem:

„Tak jest, o Aleksandryjczycy! ja życia chwalca niezmordowany, myśliwiec niestrudzony wszelkiej rozkoszy jego, śmierć tutaj wysławiam przed wami, ponieważ w chwili, kiedym poznał dobro prawdziwe, przestała mi ona być zmorą i postrachem, stając się owszem rozkoszy najwyższej koniecznem dopełnieniem!

„A to mówi mądrość moja, którą znalazłem: Człowiek umrzeć powinien w godzinie

największego szczęścia swojego! Wódz po zwycięzkiej bitwie niech śmierć, która śpi w jego mieczu, k'sobie przywoła i król w godzinie, kiedy potęga jego najwyższy stopień osiągła, pierś mu rozkoszą mocy wzdymając! W chwili najwyższego podniesienia ducha i w chwili boskiego zachwytu miłosnego powinniśmy dopełnić to, czego przyroda snadź przez złośliwość uczynić omieszkała, nie dając szczęściu mocy zabijania; powinniśmy własnowolnie kres położyć życiu naszemu! I na cóż nam czekać jeszcze? Dlaczegoż w bólu, w nędzy i we łzach stąd odchodzić, gdy można odejść w weselu i całym młodego życia przepychu? I cóż tracimy? świat ten, który w onej chwili niczem jest dla nas! Mało-ć to jest zaiste!

„Zachwyt wszelki i wszelkie uczucie szczęścia potężne—krótkie jest, jak błyskawica; niechże więc i gromem dla człeka się staje, bo biada temu, kto przeżył swoją godzinę!

„Nie przeto szczęściem gardzić się godzi lub wartość jego obniżać, iż krótkie jest i przelotne: wszakże nie trwaniem ono jest, jak życie, lecz natężeniem życia samego i w potędze jest dlań miara jedyna!—ale bać nam się tego trzeba zaiste, co ono pozostawia po sobie, jeśli już przeszło!

„Dobrze i miło wspominać jest drobne życia przyjemności i bawić się niemi w myśli powtórnie, lecz niech nas bogowie raczą zachować od pamięci szczęścia minionego! Nie nasyca ono nigdy, tak go bowiem człek jest spragniony, a przeto pamięć jego tęsknotą jeno jest przerażającą i bólem strasznym a wiecznym! Nie był ten naprawdę szczęśliwy, kto z uśmiechem wspominać zdoła godzinę, którą szczęśliwą nazywa! Spytajcie króla, co wczoraj był potężny, spytajcie człeka lub raczej boga, bo tak go nazwać się godzi, co wczoraj czarę świętego miłości zachwytu wychylił! I przeto powtarzam: umrzeć powinien, kto dzień swój już przeżył!

„I oto śmierć, która była dla nas postrachem, dobrodziejką naszą się staje, dobrem najwyższem, szczęściu naszemu świętą opiekunką! Ona jemu kończyć się nie daje, ona nas chroni przed jutrem! Bo wierzcie mi, bracia, niema jutra dla tego, kto dzisiaj był szczęśliwy! Dzień każdy odmienny jest i nowy, a życie się toczy i nie staje, a kto był już na szczycie, ten dalej w dół tylko iść może!

„Dwie są możliwości, że człowiek jutra jeszcze oczekuje: Albo nie zaznał dotąd prawdziwego dobra, nie był jeszcze szczęśliwy a czuje

w sobie moc osiągnięcia tej boskiej chwili zachwytu—a wtedy, zaprawdę powiadam wam! nie do życia on dąży, ale do śmierci! Nie czyni bowiem nic innego, jak to, iż z całym wysiłkiem życie swoje skupia i natęża i jako muzyk strunę na złotej formindze z takim zapałem napina, ażeby prysła nareszcie, najwyższy ton swój wydawszy!

„Lecz są też ludzie, którzy dlatego jutra oczekują, iż zapomnieli umrzeć w chwili należnej i łudzą się teraz, broniąc się rozpaczy, iż dzień następny jeszcze to samo, co wczoraj, im przyniesie! Najbardziej gorzkie i najstraszniejsze życia złudzenie! Raz tylko człowiek może być szczęśliwym, tak dalece bowiem w chwili szczęścia płomiennej cała moc jego czucia się spala. Każdy dzień następny bólem jeno musi być i goryczą, bo każdy cieniem będzie się kładł na życiu naszem wobec onej jasności nieporównanej dnia wczorajszego! To jakby w słońce kto wpadł i, ostawszy żywym, oślepł od blasku zbytniego i w wiecznej teraz tęsknocie szukał jeszcze światła ślepemi oczyma! Biada tym, którzy dzień swój przeżyli!

„I dlatego to druga mądrość moja radzi: Umiej, człowiecze, poznać dzień, w któ-

rym masz umrzeć! A jeśliś, nieszczęśniku przez bogów snadź przeklęty, tę wielką swoją godzinę przeoczył i ostał żywym, życia szczyt już mając po za sobą: to umrzej, umrzej, mówię, co prędzej, aby bolesnej drogi swej nie przedłużać! Nie będzie ci ta śmierć wprawdzie onem pożądanem życia dopełnieniem, nie przywołasz jej w różach na głowie ani z jasnym na twarzy uśmiechem, bo w takiej błogosławionej postaci szczęśliwym się ona tylko pojawia, ale jej wołaj, chociażby przyjść ku tobie w czarnej miała opończy, boć ona jedna jeszcze dla ciebie jest wybawicielką! Tchórzami są nieszczęśliwi i trudno zbolałym umierać, ale dlatego, nędzy ich się litując, wołam ja właśnie: miejcie odwagę!...“

I znowu podniósł ręce Hegesias i mówił w cieniach zapadającego wieczora:

„O, śmierci, przybywaj! miłośnicy życia wołają ciebie!

„Wołają ciebie, gdyż życie jest dobre, a oni nie chcą, aby złem się im stało!

„Oto, którzy dążą do szczęścia, pragną cię, śmierci.

„Oto szczęśliwi w chwili zachwytu na łono twoje błogosławione chylą głowy promienne!

„Pragnących tęsknoto, opiekunko szczęśliwych, smutnych wybawicielko, — przybywaj!

„Oto jak łan w wietrze, głowy się nasze chylą przed tobą: przybywaj! bo nazbyt życie kochamy!“

Przebrzmiał potężny głos mowcy, do grzmotu niebieskiego iście podobny i głucha w okrąg cisza zaległa.—Słuchacze, nie śmiejąc ozwać się słowem, cofali się jeno zdumieni i przerażeni, jakby łopot szerokich śmierci skrzydeł tam od puszczy libijskiej albo z nad morza gdzieś bezkreśnego nadlatującej usłyszeli już byli nad sobą... I dreszcz nagły przejął wszystkich, którzy słów mistrza słuchali.—A on zobaczył to i naraz gorzkim śmiechem wybuchnął:

„Ha! wy się cofacie i strach widzę na licach waszych, o Aleksandryjczycy! Zaiste! nie do właściwych ja uszu mądrość moją rzucałem, nie przed dobrymi ja dzisiaj kazałem słuchaczami! W tej chwili jam was dopiero pojął i zrozumiał!— Wy się śmierci boicie, boście naprawdę nigdy nie żyli! Żaden z was nigdy nie był szczęśliwy, żaden nigdy szczęśliwy nie będzie, bo mocy ku temu nawet nie macie, nędzarze, którzy za bogaczy chcecie uchodzić!

Śmiechem mi są wasze życia rozkosze!

Dostatek wasz marny, o który drżycie każdego dnia i godziny, by go snadź nie utracić, — jeśli z was który choć pozór władzy osięgnął, to drży przed wyższymi, a gdy ci są zdaleka, to własnych sług się obawia, aby mu nie zajrzeli! Do miłości prawdziwej niezdolni, na wagę złota sobie piękne ciała kupujecie, które was nudą jeno darzą i przesytem! A cóż wam mówić o czynach wielkich, o ducha wzniesieniu, wam, którzy już duchów zgoła nie macie? Wyście, zaiste, żyć nie umiejąc, życie pokalali i niczego odeń spodziewać się nie macie prawa. Zwłaszcza, że ono to tylko daje, co człowiek sam wziąć sobie jest zdolny; ale wy do niczego zdolni nie jesteście, nędzarze, nędzarze, po trzykroć nędzarze! marni, bezsilni i głupi!

„Czyż nie widzicie, że i dla was jedno jest tylko jeszcze zbawienie? i jeden sposób poczucia się jeszcze na chwilę panami życia samowładnymi? Nie cofać wam się przed śmiercią, lecz modlić się do niej przystało, aby wam raczyła moc dać ostatnią i poślednią piękną zgonu odwagę! Jeśli już niemożliwe, abyście pięknie żyli, umiejcież przynajmniej pięknie umierać! — Oto jest morze przed wami; czy nie słyszycie, jak lubieżnie i słodko fale jego szeleszczą? W domach wa-

szych gorące i wonne kąpiele dla was przygotowano,—czyż braknie wam noży ostrych, które żyły cicho otwierać umieją? Czyż szczypta mocnej trucizny nie podniesie raczej smaku ostatniej czary wina płomiennego?...

„Oto jedyna droga przed wami, byście się stali szczęśliwym podobni, lecz jeśli, nadto spodleni, jej się boicie, to ja was najgorszą klątwą przeklinam: na wieczne życie skazuję, które wam nie da nic, kromia pragnienia niespełnionego— i proszę zaś bogów wysokich, aby wam, postrachem śmierci obłąkanym, nigdy umrzeć nie dali!"

Jeszcze te słowa nie przebrzmiały, a mistrz, w głąb ciemnego portyku snadź się cofnąwszy, zniknął tak nagle, iż niektórzy z obawą myśleć poczęli, czy to nie bóg był jaki zjawiony, który do nich przemawiał? Większość jednakże wiedziała, że to był człowiek, tak ludzkie bowiem było to, co mówił.

Noc już zapadła, kiedy zwolna poczęto się rozchodzić... A w milczeniu rozchodzili się ci, którzy gwarnie przed słońca zachodem zeszli się byli tutaj. Kobiety jeno — nieliczne, które cierpliwie końca dosłuchały, biegły wesołe i zalotne jak przedtem, nie unosząc w drobnych swych główkach z długiej mowy Greczyna nic, ponad

wspomnienie kształtnej jego postaci i głosu, mile ucho łechcącego. Ze zdziwieniem też spoglądały na mężczyzn, co szli zadumani ku domom, z rzadka z mowy szydzić usiłując, alboli zwracali kroki w stronę morza, nad którem właśnie księżyc wstawał ogromny i czerwony...

Tymon i Arystokles stali jeszcze długo w milczeniu i plac był już pusty, kiedy starszy z przyjaciół wzniósł nagle głowę i wyrzekł, jakby mimowoli myślom swym odpowiadając: „Ja już dzień swój przeżyłem!“

Tymon nie odparł ani słowa, uścisnął tylko szybko dłoń towarzyszowi i zapomniawszy o zaproszeniu na ucztę, zwrócił się ku miastu, w stronę rozległych ogrodów. Szedł tak w blasku księżyca i myślał z uśmiechem na ustach, że młody jest jeszcze i że zna dom pośród drzew pachnących, gdzie mieszka młoda dziewczyna, która go kocha... I o tem myślał jeszcze, że ma ostry, stalowy i krwi głodny puginał przy sobie...

* * *

Następnego rana mnóstwo ciał morze na brzeg wyrzuciło, a także po mieście coraz nowe wieści rozchodzić się poczęły, że ten i ów żyły sobie w nocy otworzył. Doniesiono o tem mą-

dremu i potężnemu królowi Ptolomeuszowi, a on zaciekawiony, kazał sobie słowa Greczyna powtórzyć. Gdy jeden z dworaków, który był wczora przed Bibljoteką, wiernie mowę jego przytoczył, zadumał się król, a potem rzekł: „Jeśli się tego człowieka z miasta nie wydali, wkrótce nie będę miał nad kim panować... (tu spojrzał na dworzan i na dostojników obok stojących, na kobiety półnagie u stóp tronu jego rozesłane i dokończył ciszej, przenosząc wzrok na pierścień, w którym podobno nosił truciznę:) ...tak wielką bowiem prawdę on powiada!“

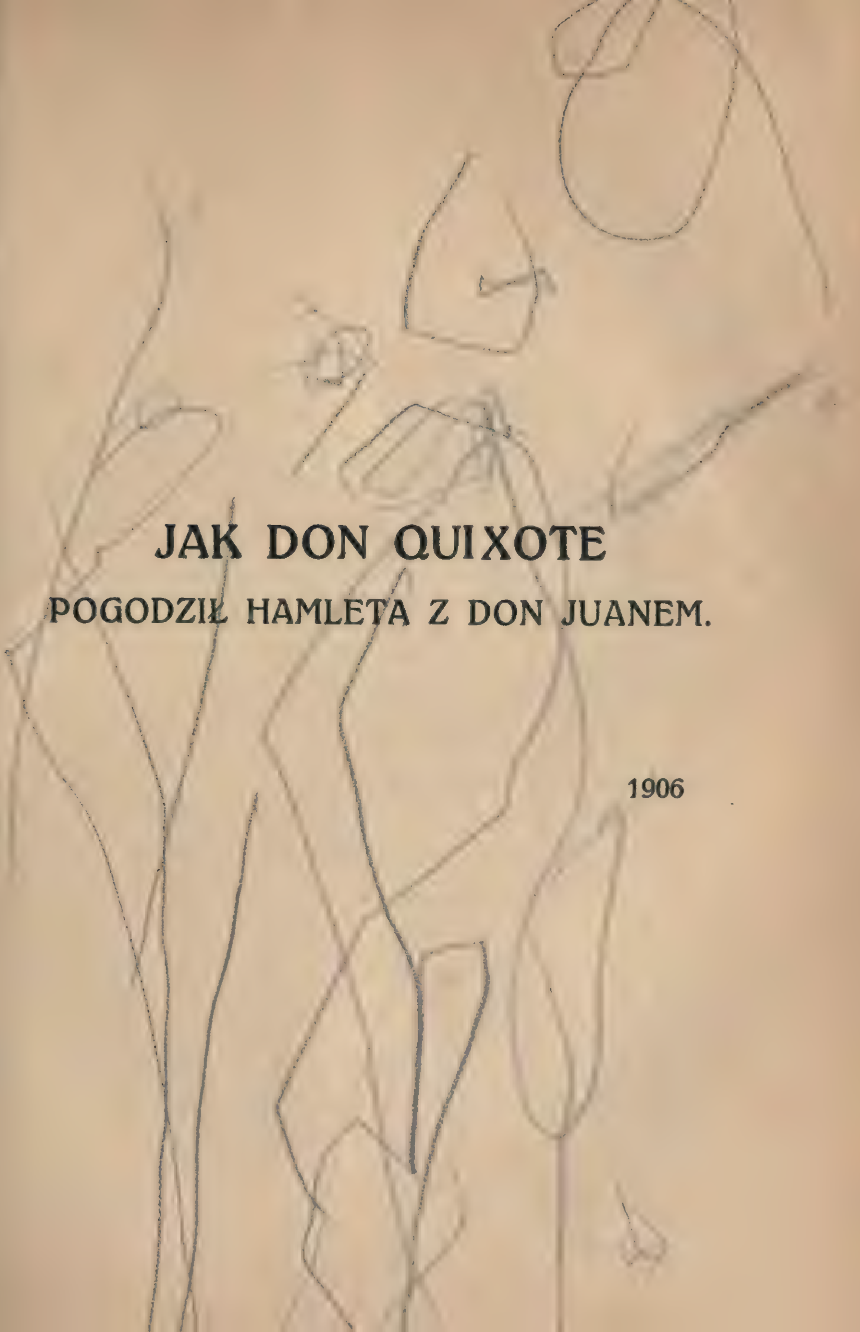

JAK DON QUIXOTE

POGODZIŁ HAMLETA Z DON JUANEM.

1906

W upalnem słońcu popołudniowem, przez błoń szeroką i kwiecistą, drogą rzadkiemi kępami dębów wytyczoną na koniach znużonych długą podróżą jechali we trzech: Don Juan, Hamlet i Don Quixote.

Królewic duński jechał w pośrodku. Wolno puszczone cugle zawiesił na łęgu i wsparł na nich dłoń wązką i białą, której nie zdołało opalić żarkie słońce tego kraju, gdzie tułał się z nierozumną dolą swoją po opuszczeniu ojczyzny i tronu. Koń jego, nie czując wodzów, wyciągał szyję ku zapylonym kępom ziół przydrożnych i poruszał miarowo żuchwami, chcąc się uwolnić od wędzidła. Hamlet nie zważał na to. Przygasłe i resztkami gorączkowego ognia już tylko tlejące oczy wytężył w dal nieokreślną, ku stronie, kędy snadź przed zajściem słońca miały im zabłysnąć mury Saragossy, dokąd, przez rycerza

z La Manchy namówieni, zdążali wszyscy trzej na turniej wielki, od dawna po świecie obwołany. Zbierały się tam, w tym białym grodzie kamiennym, wojska krzyżowe, ze wszystkich końców ziemi spływające, aby wyruszyć pod wodzą królów do Ziemi Świętej dla pokonania niewiernych i wykupienia krwią z żelazem Grobu Chrystusa. Lecz nimby pociągnąć miano na wojnę zbawienną i pogan nieczystych zabijać, postanowiono odwiecznym rycerzy zwyczajem walczyć wprzód między sobą krzepką bronią za cześć, piękność i cnotę niewiast wybranych—i zawezwano wszystkich, co czcili i kochali kobietę, aby w potyczkach na udeptanej ziemi dowiedli, iż godni są świętego miasta dobywać. Jechali tedy skwapliwie ci wszyscy, a także i tacy, co czcili jeno ramię swoje mocarne i gromką sławę zwycięzców kochali,—tak, iż w końcu odróżnić nie było można, kto dla czci sercem umiłowanej damy, a kto dla turnieju tylko i pokazania krwawej swojej przewagi.

Królewic jednak nie myślał w tej chwili o celu podróży. Lekki wiatr popołudniowy odgarniał mu długi, przedwcześnie siwizną przetkany płowy włos z nad zwiędłych skroni i z czoła wysokiego pod czarnym beretem, a on uśmie-

chał się tylko smutno pobladłemi, namiętnemi wargami i przymykał niekiedy powieki pod owo pieszczotliwe dotknięcie wiatru, tak jak się je przymyka pod drogą dłoń kobiecą albo wspomnienie przepadłego szczęścia.

Drgnął wreszcie i zwrócił się do towarzyszy.

— To nie tak było, — odezwał się, nawiązując snadź do przerwanej przed jakimś czasem rozmowy, — nie tak, jak wy myślicie. Opowiadają o mnie wiele rzeczy nieprawdziwych...

Rycerz z La Manchy słów tych nie dosłyszał. Jechał cokolwiek naprzód wysunięty na ogromnym, kościstym koniu, kościsty sam i długi, w żelazną, zardzewiałą zbroję swą zakuty cały krom głowy, nakrytej jeno mosiężną miską balwierza, którą on poczytywał za czarodziejski hełm Mambryna.

Don Juan zdarł potykającego się konia cuglami i zawrócił na Hamleta żywe a jak stal zimne i ciosu źrenic swych pewne oczy.

— Nieprawdziwych? — powtórzył z mimowolnym drwiącym uśmiechem, który przyrósł już był do jego warg purpurowych i odsłaniał za każdym razem zdrowe białe zęby, błyskające

wśród smagłej i ciemnym zarostem okolonej twarzy.

— A tak, — odparł północny królewic. — Wszak mówią także, iż zginąłem niewytłumaczenie w walce z Laertesem, a ja przecież żyję...

— Żyjesz...—rzekł znów Don Juan i obrzucił towarzysza szybkiem, pogardliwem spojrzeniem.

Dostrzegł je snadź Hamlet, czy też pochwycił tylko ton wypowiedzianego słowa, bo uśmiechnął się smutno i jakby sennie, a gdy po chwili milczenia zaczął znów mówić, głos mu drgał gorzką ironją:

— Przynajmniej wiele pozorów przemawia za tem, że żyję. Zresztą do pojedynku owego nie doszło zgoła. Nie było nawet powodu. Nie zabiłem bowiem Polonjusa ani też nie pomściłem śmierci ojcowskiej na stryju... Wogóle nie stało się nic, krom tego właśnie, że nic się nie stało.

— A Ofelja? — rzucił Don Juan tonem zapytania.

Po czole Hamleta przemknął cień, spłynął szybko po wychudłych licach i rozwiał się, zostawiając jeno lekki ślad na drgających w dziwnym półuśmiechu zmarszczkach dokoła ust.

— Dziękuję. Jest zdrowa. Wyszła za mąż Dogląda majętności i rodzi dzieci Rosenkrantzowi, który, nawiasem powiedziawszy, starszy jest od niej dwa razy i ma ustawicznie trzęsącą się głowę. Mówiono mi jednak we Francji, że jest przykładną i wierną małżonką. Cieszę się z tego, bo jestem jej szczerze życzliwy, mimo że przez nią opuściłem dom i królestwo i zemsty poniechałem...

— Więc ona to jest winna...?

— Nie. Winna nie jest. To tylko przez nią się stało. Ja jestem winien. Kochałem ją.

Don Juan uśmiechnął się znowu. Spojrzał na Don Quixota, który jechał wciąż naprzód, pochylony nieco w kulbace i wzdychał niekiedy w myślach swych zatopiony. Wzruszył ramionami i wydął pogardliwie piękne usta. Wspomnienie jakieś przez myśl mu przebiegło, zaświeciło w oczach i rozdęło nozdrza ruchliwe. Strząsnął je szybko, jak rzecz niepotrzebną, i przesuwając muskularną dłoń po włosach, które mimo czterdziestki gęste były i czarne, zwrócił się znów do Hamleta.

— A ona ciebie nie kochała?

— Owszem. Kochała mnie.

— Ale cię zdradziła?

— Nie. Ja ją porzuciłem.

— Słuszna. Nie należy zbyt długo bawić się jedną kobietą.

— Nie myślę tak. Nie bawiłem się nią. Kochałem ją i kocham.

— Żałujesz więc dzisiaj tego, żeś ją porzucił?

— Nie. Nie żałuję wogóle niczego w mem życiu. Niczego, choć za wiele rzeczy już płaciłem gorzko i krwawo. Ale wszystko, co się staje, nieuchronne jest i konieczne. Smutno mi tylko, gdy pomyślę, że tak często płaciłem z góry i drogo za nic i że życie moje ostatecznie się zmarnowało.

Don Juan poruszył się niecierpliwie w siodle.

— Życie po to jest dane, ażeby człowiek miał co marnować...

— Śmieszne zdanie.

— Być może. Dla ciebie i dla tych wszystkich, którzy nadają słowom dziwne znaczenia, jakich one nigdy nie miały — a żyć nie umieją. Życie trzeba przeżyć; — oto wszystko! Przeżyć, to znaczy każdy dzień, każdą godzinę i chwilę wypełnić sobą, szczęściem swojem i swoją rozkoszą, bez oglądania się na to, co ona w skutkach przyniesie. Wielu ludzi nazywa to właśnie

marnowaniem życia, chcą bowiem, aby za rozumnie i cnotliwie—w ich pojęciu—spędzone „dzisiaj“, kupować sobie „jutro“, które może nigdy nie przyjdzie, albo, gdy nadejdzie, będzie znowu owem dzisiaj, które dla dalszego jutra trzeba spędzić cnotliwie i rozumnie. I tak aż do końca. Jabym to właśnie nazwał marnowaniem... Ludzie zapominają, że od losu nie kupuje się nic,—płaci się tylko drogo za to, co się wzięło, albo co on dał — na pozór dobrowolnie i za darmo. Ale to później przychodzi. Zapłata z góry dana zawsze jest stracona.

Hamlet uśmiechnął się blado.

— Zarzucają mnie, że jestem filozofem — rzekł—a tymczasem widzę, że i ty to potrafisz, ty sam, Don Juan!

Rycerz portugalski rzucił dumnie głową.

— Jest różnica. Filozofja Don Juana idzie po czynach i z czynów, a twoja, Hamlecie, życie wyprzedza i przeto...

— Co?—zapytał Hamlet.

— Jesteś w życiu niedołęgą, — dokończył rycerz czarnowłosy.

Don Quixote usłyszał to obelżywe słowo i odwrócił się raźno, pewny, że wywoła ono sprzeczkę a może i rozprawę orężną, której za-

pobiec jego będzie rzeczą — ale Hamlet, miasto brwi namarszczyć lub rękojeści szpady się imać, podniósł jeno na towarzysza blade oczy i zapytał z dziwnym uśmiechem:

— A ty?

— Ja? — oburzył się Don Juan,—ja! Czyż ja porzuciłem kiedy kobietę, póki ona miała dla mnie pocałunki palące i rozkosz, tę rzecz jedyną...

— A jednak odchodziłeś podobno od kobiet nazajutrz, kiedy jeszcze stęsknione ramiona wyciągały za tobą...

— Nie moja wina, że po nocy szalonej przestały mieć wartość dla mnie o świcie. A zresztą, zresztą...

Przerwał i wzniół oczy na Hamleta. Palił się w nich ogień jakiejś zawziętości, nienawiści prawie, gdy począł znów mówić:

— Nie należy nigdy puharu do dna wypijać! Lepiej go odjąć od ust w chwili, kiedy wargi jeszcze pragną, kiedy wino jeszcze upaja—i chwytać znów za inny, pełny,—i rzucać znów, i znowu... Niech puhar nie sądzi, że ma wartość dla ust krom tego, co one zeń w pierwszym wyssą hauście!

— I dobrze ci tak?

— Zapewne, — odparł rycerz. — Dobrze mi jest.

Hamlet patrzył mu w twarz spokojnie i badawczo.

— Szukasz i ty wciąż rzeczy, której znaleść nie możesz i gonisz dalej, bo jej nie znajdujesz.

— Nie szukam. Nie gonię. Chwytam to, co mi życie daje.

— Puhary od ust odrzucasz, bo się mętów na ich dnie obawiasz; uciekasz wiecznie przed przesytem — a to widmo idzie za tobą i — kto wie? może nawet wciąż przy tobie jest, za rękę cię trzyma i pogląda w oczy — — ?

Don Juan słuchał tych słów niechętnie, z pochyloną głową i chmurnie namarszczonemi brwiami. Zdało się, że budzą one w nim jakąś myśl, która rzeczywiście jak czarny ptak krążyła często około jego czoła i odganiana znów powracała—czasem w samotności, a często wśród biesiad przy dźwięku kielichów i podczas zachwytów obłędnych na łonie kobiet, których pragnął wczora, a posiadając dzisiaj czuł, że jutro niczem mu już będą... I teraz na rozłogu obszernym przed murami Saragossy usłyszał nagle łopotanie skrzydeł tego czarnego ptaka — i zląkł się a zawstydził, czując, że widzą go

także przenikliwe blade źrenice Hamleta.—Krwawy rumieniec wystąpił mu na smagłe czoło.

— Nie mówmy o tem,—rzekł.—Przed wieczorem do bram Saragossy dojedziem i wy tam będziecie jutro kopje na cześć niewiast kruszyli, a ja przeciwko czci wszelkiej.

— Niesłuszna, niesłuszna!—ozwał się Don Quixote, potrząsając groźnie głową, balwierskim talerzem nakrytą.—Są świętoście na świecie!

— Ofelja!—rzucił Don Juan wyzywająco poglądając na królewica.

Hamlet wzruszył ramionami.

— Jedna z tysiąca. Z setki tysięcy może. Człowiek walczy za swą wiarę. Ja walczyć zaś będę za sen swój tylko. Choć w sny nie wierzy nawet ten, co śni...

— A rzeczywistość?

— Czyś jej ciekawy?

— Tak. Opowiedz nam swoją historję.

— Jak chcesz,—uśmiechnął się królewic.—Mogę ci ją opowiedzieć, chociaż to rzecz taka głupia i mało w istocie zajmująca. Ale od czegóż jestem Hamletem, jak nie po to, aby przeżywać wciąż w myśli od nowa to, co raz już bolało i na co już niema lekarstwa?

— Była dla mnie wszystkiem, i to całe nieszczęście, — począł po chwili, zapatrzony znów przed siebie, w stronę, gdzie w złotym pyle zachodzącego słońca majaczyły już sinawo warowne wieże grodu.

— Tak, wszystkiem,—powtórzył z bolesnym półuśmiechem, co jak ptak w przelocie muskał jego młode i namiętne blade usta.

— Poznałem ją... nie pamiętam już: może to było na dworze, podczas zabawy hucznej, strojnej, kiedy to światła jarzących świec skrzą się w kielichach pełnych wina i w pełnych upojenia oczach kobiet, a może nad jakiem cichem jeziorem, pod smrekami czarnemi, pod bladem niebem naszego lata północnego... Co na tem zależy?—dość, że pewnego dnia zbudziłem się z dziwnie radosną świadomością, że ją znam. Nie kochałem był do owego dnia jeszcze żadnej kobiety...

Uśmiechnął się znowu.

— Nie byłem wówczas Hamletem, to jest nie byłem tem, co dzisiaj wy tem imieniem mianujecie. Byłem jednym z tych ludzi, co mają przyszłość przed sobą, to znaczy jednym z tych, co budząc się rankiem myślą: oto dzisiaj wiela mam zrobić, i na jutro jeszcze pracy zostanie

i na lata całe — a myśląc tak, czują; że serce w nich jest mocne i dusza krzepka zarówno jak mięśnie—i dlatego śmieją się radośnie wstającemu słońcu każdego nowego dnia.

„Tak było ze mną. Z odległej wieży, w której mieszkałem, patrzyłem często na okna królewskiego pałacu stryja mojego i wiedziałem, że gdy przyjdzie godzina, zabiję go i będę tam mieszkał, trzymając w ręku losy rwącego się w przyszłość ludu, tak jak się trzyma wodze wyrywających się do biegu a skinieniu mądrego woźnicy posłusznych rumaków...

„Wychodziłem także na brzeg morza i patrzyłem ku czarnym skałom Norwegji lub ku owej stronie zachodniej, gdzie za wielką wodą błękitną Anglja zielona leży — i wiedziałem, że runę na te kraje, jak sęp, i podbiję je i dam je dumie mojej młodej, ażeby mogła szczodrze lud swój obdarować... Przygotowywałem się do czynu i zbierałem stronników, gotowych pójść za mną na koniec świata,—i każdy dzień mi był piękny dzisiejszem słońcem i każdy wieczór drogi zadumaniem o słońcu, które jutro zaświeci.

„Tak było ze mną aż do dnia, kiedy zbudziwszy się, pomyślałem, że znam Ofelję. Była

piękna i złota i włosy miała takie, że można w nich było ukryć twarz i widzieć jeszcze przez przymknięte powieki blask ich przedziwny i śnić, że się ma głowę w promieniach słonecznych zatopioną i dziwić się tylko, że słoneczne promienie tak pachną...

„Ale po cóż ci ją mam opisywać? Trudnoby mi to nawet było dzisiaj, bo nie wiem już, co z tego, co w pamięci mojej w przedziwny, smutny kryształ wspomnienia się ścięło, było rzeczywistością a co tylko mojem marzeniem".

Zamilkł na chwilę i powiódł znów wązką, białą dłonią po wysokiem czole. I znowu jechali przez pewien czas w milczeniu, tak że słychyć tylko było uderzenia leniwych kopyt końskich o kamień, w nadrożnym pyle zbłąkany i suchy chrzęst donkiszotowej zbroi, poruszanej częstemi westchnieniami piersi rycerza o smutnem obliczu.

Ciszę przerwał wreszcie głos Don Juana.

— Mów dalej, — rzekł, — chcę usłyszeć, jak ci te włosy słoneczne świat zasnuły.

Mówił to prawie szyderczo, ale w głosie zadrgało coś, niby żal, niby smutek jakiś, przemocą nad drwiący uśmiech się wydobywający...

— Masz słuszność,—odparł Hamlet, budząc się z zamyślenia, — zasnuły mi one świat, ale przez ich mgłę złocistą i niebo i ziemia piękniejszemi zrazu mi się wydały... Odtąd patrząc na czarne turnie nadbrzeżnych skał norweskich, rąbałem z nich w myśli tron dla tej jasnej mojej i rozpalałem nad jej królewską głową różnobarwne zorze północne i wielki, szumiący, pianą zbryzgany ocean słałem pokornie pod jej małe stopy... A czasem znowu, kiedy w kwieciu chciałem ją widzieć, to myślałem o Anglji zielonej, jak o dywanie, po którym ona stąpać będzie, białej, słońcem ozłoconej mgle podobna...

„Ale tymczasem nie zebrałem rycerzy, nie napełniłem nimi czarnych barek o wydętych żaglach, nie jąłem nawet miecza, aby go wrazić w podłe serce stryja i zdobyć okrwawiony tron... Nic nie zrobiłem: zbyt dobrze mi było. Miałem wrażenie, że stał się dla mnie jeden dzień ciszy, — że serce moje, bijące bezustannie w puklerz kowany, wypocznie teraz na jeden dzień, ażeby jutro bluzgnąć znów krwią i przeć do czynu, do boju, zwycięstwa—do sławy... A to jutro nigdy nadejść nie miało...

— Zbyt dobrze ci było,—powtórzył szeptem Don Juan.

— Początkowo — tak. Miała usta takie, o których się śni tylko czasami, a gdy się ich dotknie w rzeczywistości, to się myśli, zali to nie sen jedynie... Pocałunek ich był podobny do chłodnych narcyzów, sypanych na rozognioną twarz i szedł potem nurtami żył i rozpalał krew, aż poczynała bić obłędem i targać żyły i oddech w piersi tamować.

„Ale nie o to idzie. Były chwile, kiedy trzymając jej dłonie, ja nie myślałem nawet o pocałunku jej ust. Patrzyłem na nią tylko, jak gdyby ze światła samego była stworzona. I wszystko, co w duszy mojej było światłego, szło na nią przez oczy moje. Zapomniałem o tem, jaka jest; widziałem ją taką, jaką ja mieć ją chciałem. Piękna była, ale ja ustroiłem ją jeszcze we wszystko, co jest już nieziemskie — tak, ażebym uklęknąć mógł przed nią i modlić się do niej, jak do Marji, na tęczy jakiejś nad szerokiemi wodami zjawionej!...

— Szaleńcze! szaleńcze!

— Zapewne, ale gorszem jeszcze szaleństwem było to, żem począł w niej szukać potwierdzenia swojego o niej snu, żem wyciągnął ręce i chciałem dotknąć tęczy i mgły, z własnego serca wysnutej i całą moc swą wysi-

łałem na to, ażeby mgła i tęcza rzeczywistością się stały. A ona przecież była z ciała i z krwi...

„I zaczęła się walka, dziwna, zajadła walka między nami, równie dla niej niepojęta, jak straszna i bolesna dla mnie. *Kochaj mnie taką, jaka jestem,* — mówiła ona. — *Bądź taka, jaką ja cię kocham!* — wołałem ja całą swą istotą. I oto wyszedłem z tej walki zwycięzcą, bo żyję tu samotny, a ona jest daleko, lecz takim zwycięzcą, który nic już nie ma...

„Przyszło mi naprzód na myśl, że ona mnie kocha przeto, iż jam jest królewic i przyszłość sławną mam przed sobą. Podeptałem tedy królewskość swoją nogami, pozwoliłem dworakom śmiać się ze siebie i czyny swoje naprzód jak ptaki spłoszyłem, aby mi głowy nie wieńczyły przed jej oczyma... I tak, zrazu udając się tylko za lichego, chciałem, aby mnie ona bez wartości mojej kochała, jakby człowieka można było oddzielić od tego, co znaczy!

„A gdy przetrwała tę próbę zwycięzko, nic mi ze serca swego nie ujmując, obawiać się począłem, że podstęp mój spostrzegła i dlatego

tylko nie odwróciła się ode mnie. Któż to opowie, jakich ja używałem środków, aby się przekonać, czy ona mnie kocha bez względu na to, jaki ja jestem — a przecież wymagałem równocześnie, aby ona była—cudem. Obłędne samolubstwo miłości!

„A potem straciłem naprawdę w tym codziennym wysiłku całą moc czynu. Rzeczy, których pragnąłem dawniej gwoli im samym, zrosły mi się z nią tak, że nie umiałem ich już chcieć poza nią. Bo mimo wszystko, mimo wszystko, ona stała mi się rzeczą pierwszą i najważniejszą a wreszcie jedyną. Kochałem ją.

„A każdy dzień przekonywał mnie tymczasem, że ona nie jest taka, jaką ja sobie wymarzyłem. Nie znaczy to, aby były w niej niedostatki: takiej kobiety, jaką ja sobie w niej wymarzyłem, niema wogóle i nie może być. — Rozumiałem to dobrze, a przecież nie mogłem się z tem pogodzić. Gdybym ją był przestał kochać, gdybym ją był mniej kochał wreszcie!— ale to było niemożliwe. Sen o niej wrósł mi już w duszę i w krew, a im jaśniej widziałem, że sen to tylko był i nieziszczalny, tem bardziej wszystkie siły wytężałem, aby zrobić rzecz niepodobną: aby ona była ciałem mojego

snu. Nie istniało już dla mnie nic poza tem strasznem, nierozumnem pragnieniem, którem broniłem się jeszcze przed utratą wiary jakiejś najświętszej, jakiegoś ukochania jedynego...

„Nie byłem dla niej dobry; zamęczałem ją i dręczyłem, smagałem ją czasem ironją straszną, gorzką, kłułem szyderstwami, które mnie samemu serce rozkrwawiały, albo gnębiłem pozorną obojętnością wtedy, kiedy wszystko we mnie rwało się ku niej, ku ustom jej, ku jej dłoniom i kolanom.

„Dlaczego to robiłem — bo ja wiem? Zdawało mi się może, iż przez to umęczenie zmuszę ją do objawienia przede mną jakiejś najwyższej, nieludzkiej już iście strony duszy, przed którą ja olśniony padnę na kolana, a w rzeczy zabijałem w niej tylko wszystko, co było śmiechem, pogodą i radością życia.

„Cierpiałem ja sam, to prawda, ale dzisiaj, gdy myślę o tem, to dziwię się, jak ona mnie kochać musiała, że znosiła to wszystko... I były nawet chwile, kiedy dłonią dobrą i słowem anielskiem uspokajała we mnie tę dziwnie złą rozterkę i wtedy — na jedno mgnienie oka zapominałem znowu o wszystkiem, kromia tego jednego, że ją kocham i przypadałem stęsknio-

nymi usty do jej kolan błogosławionych i śniłem napowrót rozkoszny a tak rozpaczliwie mi drogi sen upojenia i złudy, aby za chwilę powstać z tem większą nierozumną goryczą w sercu i mścić się na niej, niewinnej — za to, że śniłem raz jeszcze—i lękać się zarazem, że sen to już może był ostatni...

„Ona nie rozumiała tego wszystkiego i kładła to na karb choroby... Ha, ha! wszak sądzono już wówczas powszechnie, że jestem chory, że mam melancholję, zmysłów dusznych pomieszanie, podczas gdy ja byłem jeno szalony pragnieniem doskonałości, jakiej pono niemasz na ziemi. A jej nieszczęściem było, że na nią właśnie padł mój wybór, że w niej zapragnąłem to wszystko zobaczyć, za czem dusza moja tęskniła...

Odetchnął głęboko, a po chwili zaczął znów mówić dalej—głosem bezdźwięcznym i jak gdyby pod przymusem tylko wspomnieniu echo dającym:

— Unikał mnie cały dwór; służalcy zwracali się do mnie z obłudnem politowaniem, — stryj mój zaprzestał się mnie obawiać; odbiegli mnie wierni towarzysze, oglądając się za innym junakiem, coby ich powiódł w te kraje i ku sła-

wie onej, którą ja przecież niegdyś oczom ich pokazałem.

„A Ofelja widziała już teraz naprawdę, że moc moja karleje, że marnieją siły i łamie się duch i pragnęła zagrzać do dawnych zamysłów, do czynów — i pokazywała czasem ręką odległe wybrzeża Norwegji i mówiła o skrzydlatych zwycięskich łodziach, pełnych ciężaru zbroic na mocarnych ramionach, jak gdybym ja jeszcze naprawdę mógł je tam powieść i zwyciężać!—„Weź się do czynu!“—mówiła—i miała słuszność, jeno że ja już do czynu nie byłem zdolny...

„Wreszcie posmutniała i zauważyłem, że poczyna mnie unikać. Sądziła widocznie, że to jej miłość mnie zabijać, a może przejrzawszy ostatecznie moją nicość, straciła nadzieję, abym ja, duma niegdyś całego królestwa, mógł mieć jeszcze jakąkolwiek wartość dla niej, córki mojego dworaka... A nawet z pewnością tak było, bo pamiętam, że raz, gdym ją zaszedł był w jakiejś pałacowej galerji i spytał z nienacka, dlaczego mnie unika, mówić naprzód jęła — w zamieszaniu — że nieszczęściem pono jest mojem i że się cofa dla mojego dobra, ale kocha mnie zawsze, i jeżeli ja ocknę się napowrót i stanę

znowu tem, czem być obiecywałem, to ona pójdzie za mną wszędzie — (to znaczy na tron! Don Juanie) — lecz teraz ze mną widywać się nie może, bo to wszystko jest tak beznadziejne i ostatecznie... psuje tylko w oczach dworu jej dobrą sławę i cześć dziewczęcą!

„Odpowiedziałem jej coś niezmiernie gorzkiego, nie pomnę już co, ale to pamiętam, że gdy przyszła ku mnie nazajutrz, oczy miała zapłakane i dłoń jej drżała, w której podawała mi pamiątki drobne, w ostatnich czasach ode mnie otrzymane.

— Nie kochasz mnie już, książę — powiedziała, — a więc weź napowrót to wszystko, co miałam od ciebie i zapomnij...—Mówiła jeszcze długo, różne rzeczy, aż w końcu przyznała się, że przed kilku dniami prosił ojca o jej rękę baron Rosencrantz, który znał ją już pono dawniej, nim ja zwróciłem był na nią uwagę.

„Nie wiem jakiej odpowiedzi ode mnie czekała; zdaje mi się dzisiaj, że był to tylko wybieg, którym mnie chciała skłonić do zmiany postępowania, ale ja uśmiechnąłem się tylko (Bóg mi ten uśmiech kiedyś za karę win moich poczyta) i szczęścia jej życzyłem w związku małżeńskim, dostatku i licznego potomstwa.

Bo to nieprawda, abym jej radził wstąpić do klasztoru: owszem, grzesznicy muszą być płodzeni. —

„Zbladła i odeszła ode mnie. Tak się skończyło“.

Rzekł to Hamlet i trwał przez chwilę w milczeniu. Potem nagłym ruchem rzucił w tył głowę, aż koń się pod nim żachnął przestraszony.

— Niczem dzisiaj jestem, — odezwał się znów z odcieniem jakiejś bolesnej dumy w głosie, — najświętszej zemsty poniechałem, straciłem królestwo i te wszystkie niespełnionych czynów moich owoce, — a jednak, choć dzisiaj tułam się tutaj wzgardzony, jestem czysty i zwycięzcą jestem, bom nie uległ i nie obniżył swego pragnienia i raczej tronu się wyrzec wolałem, niż zadowolić się wbrew wymarzonemu ideałowi tem, co życie dać mi było gotowe!

Pochylił znów głowę i powtórzył z cicha, jakby wstydliwie tym razem:

— Tak, jestem zwycięzcą...

Don Juan słuchał. — Pogardliwy, drwiący uśmiech w miarę opowiadania duńskiego królewica znikał mu z purpurowych warg i teraz, gdy ów mówić skończył, zadumanie tylko leżało

mu na smagłem i od zachodzącego słońca złotem obliczu.

Wzniósł powoli głowę i patrzył przed siebie, gdzieś w dal, a gdy począł mówić, nie wiadomo było, czy komu, czy też tylko myślom swoim odpowiada.

— Niema ideału, — rzekł, — i szaleństwem jest doprawdy szukać go gdziekolwiek. Szaleństwem i zbrodnią jest wymagać od kobiety tego, czego ona dać nie może nigdy—bo kobietą jest tylko, i marnować życie na walkę nierozumną, z której w razie zwycięstwa—nędzarzem się wychodzi...

Wstrząsnął się i zwrócił oczy na Hamleta.

— Dziwisz się zapewne moim słowom, ale czy ty myślisz, że ja...

Roześmiał się gorzko, szeroko.

— Tak, tak! Może i mnie śniła się jakaś świętość, którejby życie oddać było warto, może i we mnie — tam w głębi — były anielskie pragnienia, ale to dawno! Byłem wówczas może chłopięciem i pierwsza kobieta nieświadomy, czysty mój poryw dla chuci swojej wyzyskując, zbrudziła we mnie to wszystko i otrzeźwiła mnie i pokazała, czem jest w istocie życie...

„I widzisz, ja nie szukam ideałów, bo wiem,

że ich niema, lecz biorę zato pełnemi garściami wszystko, co życie mi daje. A jeśli zbudzi się czasem w piersi jaka dawna, żrąca tęsknota, to zabijam ją co prędzej obłędną rozkoszą, a wierz mi, że dość jej jest na świecie! A jeśli mi przesyt w oczy zagląda, to uciekam przed nim dalej i dalej i wiem, że ucieknę zawsze, bo są przecież wreszcie żelaza, które życiu wrota otwierają...

— I czy ci lepiej jest przez to? — odezwał sią Hamlet.

Don Juan namarszczył brwi.

— Już po raz drugi pytasz mnie dzisiaj o to, i po raz drugi odpowiem ci: tak. Zresztą — ja życia przynajmniej nie marnuję w tem istotnem znaczeniu!

— Owszem, marnujesz je, bo mizerną miedź bierzesz wciąż za złoto...

— A jeśli tego złota niema? A wiemy obaj, że niema go wcale...

— W takim razie trzeba zachować ręce próżne, lecz czyste!

— Ha, ha! — zaśmiał się Don Juan — i być jak ty — Hamletem!...

— Tak lepiej. Opowiedziałem ci moją historję — historję smutną i dla wielu zgoła nie-

zrozumiałą, i wiesz teraz, jakim jestem nędzarzem, a przecież zdaje mi się, żem jest szczęśliwszy od ciebie, któryś jest Don Juanem, bo zachowałem w sobie pamięć boskiego snu, żadnemi układami z życiem nieskalaną, a ty...

— Ach! daj mi pokój — obruszył się rycerz portugalski, — to doprawdy wszystko jest śmieszne, co mówisz! Melancholję i niemoc obwozisz ze sobą po świecie i mnie nawet zaraziłeś niemi na chwilę... Poco mi szukać doskonałości, kiedy jej niema, poco się dręczyć myślą, że mogłaby być? — Cała mądrość w tem, aby w codziennem upojeniu zapominać o snach nieziszczalnych — i jeśli jest co podobnego do szczęścia na świecie, to ta rzecz jedynie! Bodaj cię jutro w turnieju zabito, żeś mi popsuł jeden dzień życia melancholją swoją!

— Bodajś ty zdołał zabić w turnieju tych wszystkich, którzy są szczęśliwsi od ciebie i którym ty w istocie zazdrościsz! — odparł Hamlet ze smutnym uśmiechem.

— Nie zazdroszczę nikomu, — rzucił Don Juan wyniośle, — a najmniej już szaleńcom, którzy od losu niemożliwych rzeczy wymagają!

— Don Juanie! Don Juanie! wszyscy wy-

magają rzeczy nieziszczalnych, jeno nie wszyscy mają odwagę przyznać się do tego.

Czarne oczy rycerza zapłonęły gniewem.

— Zalibyś mi zarzucał tchórzostwo?!

— Mówię tylko, że się zadawalniasz ochłapami, które rzuca ci życie i chcesz wmówić w siebie i innych, że to jest właśnie ambrozja! Inni ci może uwierzą, ale ty sam nie wierzysz sobie, Don Juanie biedny! Gorączka ci piecze twarz, gorsza od tej, która mnie trawi—mścisz się na kobietach, gardząc niemi, za to, że nie możesz ich czcić na kolanach! Jedziesz oto na turniej, aby walczyć przeciwko każdemu, kto broni niewiasty imienia, ale jakżebyś ty był rad, gdyby cię pokonano!

— Zamilcz!—krzyknął groźnie portugalczyk.

— I cóż ci z tego przyjdzie, chociaż ja zamilknę, kiedy nie zamilkną twoje własne myśli i pragnienia? Każ im ucichnąć, rycerzu!

— Ha, ha! Hamlecie! królewicu duński nieszczęśliwy, mnie słuchają myśli i życie mnie słucha moje! Jestem ich panem, nie tak, ja ty! Ja rządzę nimi!

— Nieprawda!

Don Juan rzucił się na siodle.

— Coś rzekł?!

— Mówię, że kłamiesz.

Rycerz zsunął groźnie brwi nad błyszczącemi oczyma i mimowolnie dotknął nerwową dłonią rękojeści miecza. Duński królewic na ten ruch towarzysza ściągnął wodze rumaka i zwrócił się doń spokojną ale stanowczą i zimną twarzą.—I patrzyli tak obaj, gotowi się za chwilę rzucić na siebie, — dwaj biedni szaleńcy, prześladowani zarówno, choć każdy na inny sposób nieziszczalnym snem o ideale.

Don Quixote, którego Rosynant, długą drogą snadź znużony, potykając się co chwila ostawać już począł w tyle, na ukłucia rycerskich ostróg nawet niebaczny,—przysłuchiwał się już oddawna rozmowie i z coraz to większym a politowania pełnym podziwem patrzył na swych towarzyszy. Teraz zaś, gdy sprzeczka się zaostrzyła, odezwał się wreszcie, kiwając poważnie głową, na której dźwięczał posępnie o sprzączkę uderzając, mosiężny „hełm Mambryna“:

— Dajcie pokój, bo obaj zarówno biedni jesteście, nie spotkawszy w życiu istotnej doskonałości. Stąd gorzkie sądy wasze i sprzeczne zdania, mało co z prawdą mające wspólnego. Czemuż Opatrzność nie była dla was łaskawą tak, jako dla mnie, a bylibyście jako ja

szczęśliwi! Szlachetna księżniczka Dulcyneja z Tobozo, której ja służę do śmierci, jest najpiękniejszą i najczystszą z niewiast pod słońcem i kocha mnie czule ponad wszelką miarę,— a ktoby śmiał o tem wątpić, tego przekona moje rycerskie ramię tam—w Saragossie—nim jeden dzień upłynie!

To mówiąc wyciągnął chudą, drżącą i ciężarem zardzewiałej blaszanej zbroi obezwładnioną rękę przed siebie, ku bramom miasta, które właśnie zjawiały się przed nimi, całe złote i rubinowe od ostatniej przedwieczornej zorzy, dając tło postaci niespodziewanie jawiącego się rycerza z tarczą księżyca na srebrnym puklerzu.

Hamlet i Don Juan, zapomniawszy sporu, ze zdumieniem spojrzeli na mówiącego, — wiedzieli bowiem dobrze obaj, że ta, którą on księżniczką Dulcyneją nazywa, jest dziewką stajenną, ma krzywe nogi i kaprawe oczy i niezbyt się pono skromnie prowadzi a za ostatnim widzeniem obiła widłami od nawozu nudzącego ją rycerza, ale na obliczu Don Quixota była taka powaga i moc przekonania i tyle niewymownej błogości się malowało, że szyderczy uśmiech zamarł im na ustach.

Zrozumieli obaj, że najwyższą mądrością

jedynem prawdziwem szczęściem na ziemi jest mieć w sobie taką potęgę stwarzania złudzeń, iżby ich żadna rzeczywistość, choćby najbrutalniejsza, zniweczyć nie mogła.

Ze wstydem na pierś obaj głowy pochylili...

A zbliżał się ku nim zwolna, śledząc Don Quixota oczyma, rycerz Tarczy Księżycowej.

VENERI ET ROMAE

1905

I.

Jestem więc znowu w Rzymie, mimo że, odjeżdżając ostatni raz, zapomniałem był wrzucić wedle obyczaju miedzianego solda do szumnej fontanny na placu Trevi... Powróciłem w listopadzie, właśnie w miesiącu, w którym przed rokiem Rzym opuściłem, i czasem zdaje mi się, żem nie wyjeżdżał stąd wcale, że ten ostatni rok w różnych dalekich miastach spędzony, na północy i na błękitnem wybrzeżu nicejskiem, w Alpach i w górach tatrzańskich — ze wszystkiem dobrem i złem, które mi przyniósł, to tylko niespokojny sen jakiejś jednej nocy jesiennej... Wszystko tu jest tak, jak było: takie same ciche są ruiny i palmy i cyprysy nad niemi, rzeka gwarnego tłumu tak samo faluje wieczorami na jasno oświetlonem Corso i te same dzieci jeszcze igrają w słońcu na dległych pla-

cach, pod fontanną jaką perlistą lub na stopniach kościołów.

Dostałem nawet moje dawne ulubione mieszkanie, uwieszone jak gniazdo jaskólcze na stoku Kapitolu, tuż obok starego Tabularium i naprzeciw szeroko rozsiadłych poniżej ruin Forum rzymskiego.

Jedno z okien mojego pokoju wychodzi właśnie na te zwaliska, takie jedyne na świecie, gdzie każdy głaz ma swego ducha i swój język, a każda złamana kolumna opowiada o jakiejś w wiekach zamierzchłej wielkości, sławie czy zbrodni. Dziwne umarłe miasto, wyłonione w pośrodku żywego z pod ziemi, z pod trawników zielonych, pod którymi zapomniane spało przez stulecia i jeszcze dzisiaj zdumiewające Rzym, ogromnych budowli pełen, ogromem gruzów swych, a tak majestatyczne i malownicze zarazem w tej na proch rozsypującej się dawnej chwale swojej. Ze świątyń, w których niegdyś marmurowi bogowie mieszkali, kolumn już tylko samotnych niewiela zostało; stoją jeszcze trzy łuki tryumfatorów, ale z innych już nic, okrom fundamentów potężnych, które dawne miejsce ich znaczą, lub wieści przekazanej, że były... Trawa bujna dawną rzymską mownicę

porasta, trawa się puszcza ze szczelin w marmurowych posadzkach bazylik zwalonych, trawa na miejscu, gdzie niegdyś gorzał Westy ogień wieczysty; młody krzew laurowy pnie się po rozsypanych w gruz piedestałach, co ongi niewiadomo czyją marmurową lub bronzową sławę dźwigały.

Lubię tu siedzieć w otwartem oknie i błądzić okiem swobodnie wśród tych pamiątek dawnej wielkości i mocy. Oto tuż przede mną resztka rzeźbionego architrawu na ośmiu granitowych kolumnach, pozostałych ze świątyni Saturna, a za niemi ciężkie, wiekiem poszczerbione marmurowe cielsko tryumfalnej bramy Sewera i ceglany mur w kościół zamienionej kurji Juljusza Cezara... A dalej, tak się z góry wydaje, jakoby łoże jakiegoś wyschłego potoku tatrzańskiego, jeno że każdy złom głazu to granit jakiś lub marmur, z czoła nieistniejącej już świątyni opadły, ze zrównanej z ziemią bazyliki, z pomnika jakiegoś albo też ołtarza... Resztki murów sterczą tu i ówdzie wśród tego piargu, co oblewa osamotnione, do olbrzymich, odartych pni starych drzew podobne trzy marmurowe kolumny świątyni Kastora i, od czarnej ściany palatyńskiego wzgórza odbity, płynie—aż tam

pod gigantyczne, ciemnemi otworami rozdartych sklepień podziurawione ruiny bazyliki Konstantyna i dalej, po grzbiet Velji, olśniewająco białym marmurem łuku cesarza Tytusa, za kościołem św. Franciszki, przytulonym do ostatniej i górującej nad nim ściany dawnej świątyni Wenery i Romy—bliższą dzwonicą kościelną przekreślona zatacza się na niebie nieprawdopodobnie olbrzymim półkręgiem potężna ruina amfiteatru Flawjusza... Między nim a zczerniałym murem, podtrzymującym stok Palatynu, widno jeszcze wśród ciemnych sylwetek pinji białe szczyty odległej katedry św. Jana Laterańskiego, pierwszej papieskiej stolicy — i sine pasmo Albańskich gór na widnokręgu. A za forum, za kościołami, w kolumny pogańskich świątyń wmurowanemi, piętrzą się domy Eskwilinu, przecięte szeroką via Cavour, która wieczorem, za ciemną otchłanią ruin, rozbłyskami elektrycznemi lampami, jakby daleko wyciągnięty sznur świetlistych pereł. We dnie wygląda jak rzeka pośród skał, do których podobna jest naprawdę ta masa domów, wspinająca się wyżej i wyżej, porywana zielenią ogrodów, kopułami kościołów sfalowana — aż tam po widną na niebie bazylikę Santa Maria Maggiore, po

królewski zamek na szczycie Kwirynału i średniowieczną wieżę z czerwonej cegły na skręcie via Nazionale... W pośrodku, na ciemnem tle błękitu chwieje się samotna palma, strzelająca z za murów jakiegoś dalekiego ogrodu. A gdy się zwrócę na lewo, to widzę za Tabularjum w perspektywie wązkiej uliczki kawałek sąsiedniego placu na szczycie Kapitolu i zrąb przez Michała Anioła rysowanej fasady pałacu Konserwatorów... i jeszcze kopułę wspaniałego kościoła del Gesù w oddali.

Drugie okno mojego pokoju otwiera się wprost na Palatyn. Na ogromnem, czarnem, ślepemi oczyma arkad patrzącem podmurowaniu, które ongi kazał wznieść Kaligula, aby dźwigało złoty dom jego, gdy mu na szerokim Palatynie miejsca już nie stało, nad bibljoteką Augusta i dachami współczesnych kamienic, ponad kościołkiem świetego Teodora: oaza drzew, wiecznie zielone dęby dawnych farnezyjskich ogrodów, sadzonych na ruinach tyberjuszowego pałacu, czarne, smukłe cyprysy i palmy, strzelające z gęstwiny wawrzynów i drzew pomarańczowych, ze zwałów cegły, trawertynu i marmuru... A ponad tem wszystkiem lekka, zalotna, o niebem przepełnionych otworach loggietta

willi Mils, czekającej samotnie wśród ruin, rychło ją rozburzą, aby z pod jej fundamentów wydobywać dalej na słońce resztki pogrzebanego domostwa cezarów...

Pomarańcze zaczynają już dojrzewać, nabierają już jasnej, złotej barwy, która z każdym dniem mocniej się płoni i kiedy popołudniowe słońce padnie na farnezyjskie ogrody, widzę stąd z daleka, jak się lśnią całą masą na tle ciemnych, połyskujących liści. Pod pomarańczami rosną tam róże. Nie widzę ich, ale wiem o tem. Rwałem je tam niegdyś na ruinach, rok czy dwa lata temu, w grudniu, aby świeżych, wonnych płatków czerwonych nasypać do jakiegoś listu, który wysyłałem na północ...

Ale i bliżej, pod samem oknem, z tej strony mam dwa drzewa pomarańczowe, złotem owoców ciężkie i róże w maleńkim, do spadzistości wzgórza przyczepionym ogródku. A jeszcze niżej jest podwórze sąsiedniego domu. Gdy się wychylę z okna, patrzę na nie z góry i widzę wszystko, co się tam dzieje. Pod ścianą domu siedzi tam zwykle jakiś tapicer i od rana do wieczora jednostajnym ruchem ramienia mędli białą wełnę, opadającą całemi zwałami puchu dookoła niego. W bramie stary szewc roz-

łożył skromny warsztat, a obok niego przekupka ma stragan ze staremi książkami do modlenia, kawałkami pozieleniałych bronzów i okruchami marmurów ze ścian i posadzek dawnych rzymskich budowli. Cudowny, prawie czarnemi na perłowo-zielonem tle plamami znaczony „verde antico“, miękki, ciepły, w płomień czasem przechodzący „giallo“, krwawy albo znów chmurny, jak zsunięte Jowisza brwi „africano“ i barwą subtelną dziewczęce ciało przypominający, siecią ciemno-czerwonych żył pokryty „porta santa“ — straciwszy z wiekiem połysk i kolorów wyrazistość, leżą na zapylonych deskach, do szarych kamyków podobne i czekają nabywcy, który, kupiwszy taki okruch za parę groszy, da go wygładzić na nowo i potem może bogate biurko swe nim ozdobi... A na podwórzu, na długich sznurach, przeciągniętych od domu do domu, kobiety rozwieszają wypraną bieliznę i cała chmara dzieci biega około nich i śmieje się i krzyczy. Znam je wszystkie, nawet z imienia, bo słyszę często, jak matki na nie wołają. Niektóre są bardzo ładne, szczególnie jedna, pięcioletnia może dziewczynka, o złotych włoskach z czarnemi oczyma, która się Teresina nazywa.

Podwórze jest murem oddzielone od ulicy, biegnącej wzdłuż nizkiego lecz szeroko zabudowanego przytułku i szpitala ku kościołowi Najświętszej Panny Pocieszycielki. Wczesnym rankiem przeciągają tędy ogrodnicy i przekupnie jarzyn z małemi, przez osły ciągnionemi wózkami, nawołując przeraźliwym krzykiem gospodynie; za dnia, wśród zwykłych, codziennych przechodni zabłąka się czasem jaki cudzoziemiec, który tu zboczył, powracając z Forum albo z Palatynu; wieczorami, po zamknięciu warsztatów snują się robotnicy, zdążając do poblizkiej winiarni, kupiwszy sobie po drodze za solda pieczonych kasztanów na przekąskę.

I to jest zwykłe, powszednie życie w tych domach i na tej ulicy między Kapitolem a skałą Tarpejską z jednej a palatyńskiem wzgórzem z drugiej strony. Siedząc w oknie przyglądam mu się często z zajęciem, biorę w niem udział prawie, udział widza samolubnego, który każdej chwili, kiedy się znudzi, może zapuścić firanki swej loży... Bo gdy zamknę okna, pozostaję sam, zupełnie sam w swoim pokoju.

Ach, nie!—byłbym zapomniał prawie: mam towarzysza. Kupiłem go sobie raz, wychodząc

z jakiejś osterji około mostu Świętego Anioła, gdzie głupi, włóczący się za mną po świecie niepotrzebnie smutek topiłem w złotem i jak słońce upojnem winie di Grottaferrata. Poczciwiec niewiele kosztował, kilka franków zaledwie, a jest takim dobrym i wiernym towarzyszem! Grajek z zawodu, ma około sześciu cali wysokości i jest cały z wypalonej gliny. Zimno mu snadź było niegdyś, nim zastygł (szedł może o głodzie w dżdżysty dzień po ulicach wielkiego miasta?), bo na uszy nacisnął stary kapelusz, postawił kołnierz od łatanego surduta i zatknął dłoń w zanadrze. Pod pachą ma gitarę, taką sobie starą gitarę bez strun, a na nogach naturalnie buty dziurawe. Ale największą jego zaletą jest, że się zawsze śmieje.

Przymrużył stare oczy, rozwarł szeroko usta, aż zęby połamane w nich widno, i śmieje się! Może być głodny, może marznąć w dziurawych buch i łatanym surducie, może nie mieć komu grać, — co to go wszystko obchodzi! — przytulił do siebie gitarę, z której struny pozrywał mu jakiś złośliwy przechodzień, i śmieje się, tak serdecznie, szeroko się śmieje! Czyżby i on pił złote wino di Grottaferrata, co jak

pył słoneczny po żyłach się rozchodzi i bije razem z krwią do serca, do mózgu?

Niegdyś miałem inną ukochaną figurkę: mały szkic z gliny, młodą nagą dziewczynę z rozpuszczonemi włosami, która usiadła na ziemi i objąwszy kolana, smutkiem obłędny, uporczywy wzrok gdzieś w dal wytężyła... Nie mam jej już, tej figurki. Lata całe stała u mnie na biurku, a potem dałem ją komuś, nie pamiętam... jakiejś kobiecie o białych dłoniach, co ją postawiła może gdzieś w salonie na półce, albo na stoliku, przy którym nigdy nie siada...

Co tam! Teraz mam grajka, który się śmieje,

I dobrze mi z nim.

Jest pewna godzina po zachodzie słońca, kiedy szary zmierzch poczyna już padać, że na jedną chwilę rozpłonią się jeszcze obłoki i zażegnięte złotem i krwią staną nad ziemią, rzucając jej dziwny blask, pożegnanie słońca, którego już nie widno. Ta godzina jest pośmiertnem życiem dnia. Domy, na których zagasł już był ostatni czerwony blask zachodzącego słońca, które pociemniały już były i zszarzały, rozpalają się przez chwilę na nowo, ale dzi-

wną, upiorną niemal zorzą, światłem różowem, bez przejść, bez cieniów, które niewiadomo skąd przybywa i czego jeszcze chce. Księżyc tam już zwolna wypływa z cyprysów na Palatynie, jasny, ogromny, spokojny, ale stoki Eskwilinu i Kwirynału nic jeszcze o nim nie wiedzą, palą się jeszcze jakąś gorączką, jakiemś nierzeczywistem przypomnieniem dnia, przez krwawe, przepływające obłoki im rzuconem. Jak gdyby różowa mgła wypełnia wtedy olbrzymie łuki zwalonych bazylik rzymskich cezarów — spiętrzone w oddali domy stają się podobne jakiemuś zaczarowanemu miastu z różowego alabastru czy z rozpalonego metalu, który już stygnie i przez lekkie tony popiołu gorącym różem prześwieca, a tam nad niemi, na tle nieba o barwie morskiej wody w dzień słoneczny, pod krwawemi obłokami błyszczą nieprawdopodobnie dwie wyniosłe kopuły kościoła Matki Boskiej Śnieżnej, jakby w istocie nie z marmuru, ale z zakrzepłego snu były zbudowane... Jeszcze jedna chwila, a gaśnie wszystko i szarzeje, i na zczerniałe mury, na pociemniałą masę domów poczyna kłaść się księżyc upiornemi światłami i rzeźbić w nich ostre cienie.

Męczy mnie zawsze ta godzina, gnębi mnie

to pośmiertne życie dnia, które jednak jest takie piękne, od dnia samego zda się piękniejsze, iż nie mogę nigdy oprzeć się pokusie, aby— ilekroć jestem w domu — nie siąść przy oknie i nie patrzeć na te ostatnie blaski, gasnące nad Rzymem. Dopiero gdy noc zapadnie i na via Cavour rozbłysną elektryczne latarnie, zamykam okno, zapuszczam szczelnie firanki i zapaliwszy lampę, zaczynam rozmowę ze swoim grajkiem glinianym.

Biorę go z półki, gdzie na dzień obrał sobie szczególne miejsce wśród książek, pomiędzy Donkichotem Cervantesa z jednej a czerwonemi tomami Baedekera i... Zarathustrą Nietzschego z drugiej strony,—stawiam go na stole w pełnem świetle lampy, na szkatułce z jakiemiś dawnemi listami, obok wazonu, w którym więdną róże lub narcyzy — i rozpoczyna się nasza zwykła wieczorna pogawędka. Opowiadam mu dziwne rzeczy, którychbym może nikomu nie powiedział, mówię różne bajki ucieszne: o młodości, która już przeszła, o siłach, co miały słońca zapalać i rozeszły się gdzieś, niewiadomo jak, o wierze, o takiej prostej dziecięcej wierze i o pamięci niepotrzebnej i o szczęściu, które było raz... blizko... i poszło w świat...

Mówię mu to wszystko i wiele, wiele innych rzeczy zabawnych, a on słucha cierpliwie, stojąc na szkatułce z dawnemi listami, przyciska bezstrunną gitarę do płaszcza dziurawego i tak się śmieje, tak śmieje się szczerze, serdecznie!..

II.

Zbudziły mnie ranne dzwony kościoła *Santa Maria della Consolazione*.

Otwieram okno szeroko. Cicha, poranna mgła leży na Forum. Białe, spokojne jezioro, z którego sterczą tylko wyższe kolumny zadumane, senne. Późne jesienne słońce jeszcze nie wzeszło, ale niebo pali się już ogromną łuną poranną, i na tem purpurowo-złotem tle odrzynają się tem ostrzej czarne sylwetki pinji i cyprysów na Palatynie i pierzaste, delikatne zarysy palm. W dali, do granitowej turni nad białem jeziorem sterczącej podobne mury Koloseum, a za nimi wązkiem, złoto obrzeżonem, ciemno szafirowem pasmem znaczy się na błękitnem niebie łańcuch albańskich wzgórz. Za chwilę, gdy słońce wzejdzie, znikną te wzgórza jak sen, roztopią się w świetle i błękicie, ażeby

znów o zachodzie zalśnić czerwienią i fijoletem na pobladłem niebie.

Ulice zaczynają się budzić; na odgłos przekupniów, rozwożących nabiał i pieczywo, otwierają się okna w sąsiednich domach, od kościołów rozlega się dźwięk sygnaturek, zwołujących na ranną mszę...

Siadłem w oknie i patrzę. Kocham Rzym. Niema drugiego miasta na świecie, któreby w sobie tak wszystko łączyło: ogromną dawną sławę nieprzebrzmiałą i współczesne ruchliwe życie wielkomiejskie, nieprzebrane pamiątki starej kultury i ożywcze źródło nowej, piękność i powagę, zadumę i śmiech, spokój i ruch zarazem. Na tych kilkunastu kilometrach kwadratowych, jakby w olbrzymiej księdze o kamiennych kartach, wypisana jest historja dwudziestu kilku wieków co najmniej. Stare, przedhistoryczne nekropole na miejscu późniejszego Forum, resztki murów królewskich, które dawne „siedmiowzgórkowe" miasto otaczały, i pomniki republikańskiej chwały, wiek po wieku, z pokolenia w pokolenie nagromadzone, i świątynie, i bazyliki, i tryumfalne łuki imperatorów, i to palatyńskie wzgórze, ruinami jeszcze o dawnym przepychu cezarów świadczące, i łaźni i cyrków olbrzymie zwaliska —

i posągi, posągi, posągi, dziesiątkę muzeów dziś szczelnie zapełniające, spiż, granit, marmur...

A tam, za bramami miasta, wśród słońcem spalonej Kampanji, przy drodze grobami znaczonej—katakomby ciche, jednocześnie ze wspaniałymi pałacami powstałe a rozrastające się ciągle w nieprzebytą, w niezmierzoną sieć ganków i kaplic... I oto w zwaliska pałaców i świątyń pogańskich — zwaliska najdawniejszych chrześcijańskich kościołów: ceglanymi murami połączone stare marmurowe kolumny, a we wnętrzach półmrocznych freski blade, zatarte, nieudolne, jakby z katakomb żywcem tu przeniesione... Ale tuż obok już wspaniałe, już złocone, już lasem własnych filarów pełne, własnemi błyszczące barwami pierwsze bazyliki papieskie, rówieśne tym burgom śniedniowiecznym, w które rzymscy baronowie zamieniali dawne mauzolea i łuki tryumfalne i resztki cyrków potężnych opustoszałego i upadłego miasta.

A potem—nowy rozkwit, nowe zmartwychwstanie. Nad odrodzonym Rzymem rosną kopuły setki kościołów, wznoszą się nowe pałace, nowe gmachy, wille, pomniki, czyste zrazu i szlachetne w swojej klasycznej prostocie, z czasem coraz wspanialsze, coraz więcej olbrzymie, potwor-

nem cielskiem kościoła świętego Piotra uwieńczone.

Walą się wprawdzie stare zabytki chrześcijańskie i pogańskie zarówno, łupią się mury amfiteatrów, kruszą się na budulec ostatki marmurowych pałaców imperatorskich, ale to nic: „nie o to chodzi, co było, lecz o to, co będzie!“ — jak powiedział raz do mnie Wyspiański, myśląc o Wawelu. Niebezpieczne hasło, to prawda; w imię jego złupano Septizonium Sewera, starą św. Piotra bazylikę i tyle innych zabytków przecudnych a niepowetowanych... Lecz jest w tem także nadmiar mocy, jest bujna młodzieńcza wiara Odrodzenia, że większe i bardziej nieśmiertelne rzeczy utworzy... I znowu pałace, kościoły, fontanny, pomniki i wille. I posągi, posągi, posągi, zaledwo miejsce obok tamtych dawnych znajdujące, spiż, granit, marmur. I tak dalej—wiek po wieku, z pokolenia w pokolenie— aż po dzień dzisiejszy, aż po bronzowy pomnik wyswobodziciela Italji tam, na Gianicolo, kędy niegdyś Cezar miał ogrody; aż po olbrzymi, na stokach Kapitolu od dziesiątka lat budujący się dopiero monument pierwszego króla Włoch zjednoczonych.

Rzym cezarów, Rzym papieży, a teraz Rzym

trzeci, nowy... Dawne odkopał ruiny, place swoje zakreślił półkolistymi dziedzińcami łaźni cesarskich albo hipodromów obszarem i poznaczył je starymi obeliskami i krzyżem wieńczonemi kolumnami z dawnych gigantycznych budowli, i rośnie wciąż—młody, potężny, piękny, dookoła tych kościołów i pałaców, w których żyje nieśmiertelny duch Odrodzenia. Wieczny, wieczny Rzym!...

A ponad Rzymem śmieje się niebo szafirowe, słoneczne, a pośród ruin i w dziedzińcach renesansowych pałaców kwietne, zielone ogrody, kolumny palm obok marmurowych kolumn, około cichych kościołów ulice pełne gwaru i ruchu; fontanny tęczami tryskają na placach, śmieją się czarne oczy i wiśniowe usta kobiet—i takie, złote wino sprzedają w osterjach!

Włóczyłem się po Europie od Kijowa po Paryż, od Niemna i morza Północnego po błękitny brzeg Adrjatyku; lata całe w alpejskich krajach spędziłem; znam wielkie stolice Wschodu i Zachodu i różne miasta ciche, z przeszłości, zda się, wyrwane, nad zapomnianymi rozsiadłe traktami, i wioski różne i góry, i wybrzeża, i wyspy i osady, ale nigdzie, nigdzie na świecie niema miejsca, gdzieby mi tak dobrze było, gdziebym tak pragnął żyć, jak tutaj. Chyba

tam—nad Wisłą, w tem najpiękniejszem i ukochanem mieście mojem u stóp Wawelu, kędy teraz zimny śnieg pewno prószy... Dziwna! kocham tylko te dwa miasta, z których w jednem—cudzoziemiec, obcy jestem i samotny, a w drugiem...

Eh, co tam! Na bezrok, jeśli dożyję, na złość wrogom moim w Krakowie osiądę, a tymczasem—dobrze mi tutaj!

Nieprawdaż, mój grajku, że mi tu dobrze? Nie pragnę niczego, za niczem nie tęsknię... i nic mi nie żal...

— Czemuż się śmiejesz, gliniana potworo! Trudno już z tobą wytrzymać. Rozbiję cię pono, albo sam z domu ucieknę przed tobą...

I tak będzie najlepiej. Dzień jest cudowny, a w pokoju, mimo jesień i ranną porę—słońce już zbyt dogrzewać poczyna.

Pójdę na Forum. Mam z Ministerstwa oświaty „permesso di entrata gratuita“, — rozumiesz, ty grajku gliniany,—i jako osoba uczona i uprzywilejowana nie potrzebuję nawet płacić zwykłego za wstęp obola. A pora jest wczesna i będzie jeszcze pod każdą kolumną stało dla dekoracji trzech niemców i dwóch anglików z baedekerami pod pachą.

— Czemu się śmiejesz, drabie jeden, że

chowam czerwono oprawny tom do kieszeni?— To nie Baedeker, to Huelsen, archeolog poważny... Mówisz, że wszystko jedno?—Nie rozumiesz się na tem, mój drogi, ale jeśli o to idzie, niech będzie — mogę pozostawić książkę w domu. Te ruiny bez tego znam na pamięć.

Forum jest jeszcze puste naprawdę. Dozorcy tylko, z powodu rannego chłodu w płaszcze owinięci szczelnie, błądzą wśród ruin, oczekując przybyszów. Słońce przedziera się dopiero przez zieleń drzew na Palatynie i rozprasza resztki porannej mgły, w której jeszcze wyższemi wydają się kolumny osamotniałe, jeszcze więcej olbrzymimi sklepienia bazyliki Maksencjusza, później imieniem uzurpatora Konstantyna przezwanej. Oparłem się o kamienny cokół, dźwigający trzy ostatnie filary świątyni Kastorów, i patrzę na te łuki ogromne, pod którymi kilka kościołów mogłoby znaleść miejsce. Jakby wyglądał Rzym dzisiaj, gdyby inaczej wypadła była owa bitwa pamiętna, tam — przy Ponte Milvio, gdzie chytry bizantyńczyk Konstantyn, zatknąwszy krzyż na sztandarach, zwyciężył bohaterskiego cezara Maksencjusza i wielkość jego złupił? Może Rzym byłby i nadal pozostał wówczas stolicą? Nie byłoby mo-

że tutaj tych ruin, tak smutnych, nie rosłyby cyprysy na gruzach złotych domów na Palatynie, nie padłyby były w proch potężnych bazylik sklepienia, ani z wyłupanych u ścian Koloseum głazów, z kradzionych pomnikom marmurów nie stawianoby owych pałaców, kopuł, kościołów...

Spojrzałem poza siebie: z wązkiego przejścia między murami ponad sadzawką świętą Juturny patrzy na mnie ziona̧ca, na wzrost cyklopów mierzona brama Bibljoteki Augusta — czy też przedsionka z Palatynu aż tu spadających pałaców Kalliguli?—a przez nią wyzierają tajemnicze, aż groźne w pierwotnej prostocie i surowości freski kościoła Santa Maria Antica, w ruinę ongi wbudowanego i z kolei opuszczonego już także od wieków. Wykopano go z pod ziemi, z pod gruzów sypiącego się nań z góry Tyberjuszowego pałacu, z pod rozburzonego kościołka Matki Bożej Zbawicielki, który stanął na miejscu dawnej, zasypanej i zapomnianej świątyni... Idę dalej.

Na Via Sacra zielenią się wawrzyny, operlone rosą, kwiatów trocha kwitnie wśród murawy, modrych i czerwonych, a ze stoków Palatynu zwieszają się palmy, agawy i pomarańcze.

Brzóz tylko kilka, które niewiadomo po co tu zasadzono, drży na wietrze nagiemi, bezlistnemi prętkami: nie wystarczyło im żarkie słońce Italji, przeczuły, że tam — w ojczyźnie ich — na północy, zima już jest i śnieżne zamieci po szerokich łanach hulają. Głupie brzozy! jakże żałuję, że nie przyniosłem wam mojego glinianego grajka w kieszeni! Tożby się śmiał! tożby się śmiał...

Siadam na ulubionem miejscu, na ruinach domu, gdzie niegdyś westalki mieszkały... Dookoła obszernego atrjum z trzema czworokątnemi, dziś jeszcze źródlanej wody pełnemi sadzawkami, stoją resztki ścian, krzewami i bluszczem obrosłe, — na marmurowych cokółach poustawiano napowrót posągi przełożonych tego świętego zakonu strażniczek ognia wiecznego. Przy odgrzebywaniu tych miejsc znaleziono je wszystkie zwalone na jeden stos, z poobijanemi rękoma: przeznaczone już snadź były do pieca, w którym ze starożytnych marmurów w średnich wiekach wapno wypalano!

Przypedek jakiś czy zapomnienie uratowało je od zagłady — i stoją znów na dawnem miejscu, jeno że pomieszano im postumenty i niewiadomo teraz, do której z tych poważnych

i smutnych postaci które należy imię i który napis, sławę czystego życia głoszący...

Na jednym z cokółów w pochwalnym napisie wyskrobano imię; pozostała tylko pierwsza litera C... — Stare podania mówią, że to imię przeniewierczyni, która świętego odbiegała ognia i nowemu, niebo przyobiecującemu Bogu się pokłoniła... A gdzie jej posąg? który z tych pokaleczonych, co stoją tutaj?...

Myślę nieraz, jaki dziwny był los tych dziewic. Nie poświęcały się one dobrowolnie życiu zakonnemu, bo wybierano je na służbę zniczowi dzieweczkami jeszcze, między szóstym a dziesiątym rokiem życia, a wybierano z co najurodziwszych i z najdostojniejszego rodu pochodzących. I tak rosły od dziecka na twardej bożej posłudze, we czci wielkiej, ale zamarłe zupełnie dla bujnego pogańskiego świata, na który codziennie żywemi patrzyły oczyma. Tuż nad ich domem wisiały przepyszne cezarów pałace; w ciche krużganki dolatywał gwar zebranego na forum ludu; przed oknami ich ciągnęły tryumfalne pochody zwycięzców albo przewijały się w pląsach i ze śmiechem do cyrków zdążające weselne orszaki winogradem uwieńczonych mężczyzn i kobiet, z różami na

półnagich łonach, z różami w rozplecionych włosach. Rozkosz i miłość były około nich, to jedyne szczęście starożytnego świata, a im — młodym i pięknym—nie wolno było sięgnąć po nie pod grozą zakopania żywcem w czarnej ziemi za bramami miasta... Dokoła nich Rzym zwyciężał, władał i szalał, a one jedne patrzyły na to, jak teraz z tych marmurowych piedestałów patrzą na ruiny: spokojną i poważną twarzą—i czuwały bezsenne, aby ogień wieczny nie wygasł, Rzymu świętość największa, zadatek mocy jego i siły.

Co się dziać musiało w tych sercach dziewczęcych, żywych i może gorących a nieukołysanych żadną obietnicą mistyczną, żadną nadzieją pośmiertnej nagrody i jeno twardym obywatelskim obowiązkiem i wielką narodową dumą do surowego wyrzeczenia się nakłonionych?... Około cystern na opuszczonem atrjum rosną teraz przy ziemi drobne, ognisto-purpurowe róże, tak do zastygłych wielkich kropli krwi podobne; czy nie są to w kwiat po wiekach zamienione pragnienia i tęsknoty próżne tych dziewic, które tu ongi przy świętym ogniu życie trawiły?

Słońce wyszło już wysoko i rojno się zaczyna robić na forum. Zjawiają się grupki opa-

słych niemców w hawelokach i niemek z cielęcemi oczyma, którym najemni przewodnicy monotonnym głosem tłumaczą znaczenie ruin. Niemcy słuchają; nie rozumieją wprawdzie nic szczególnej, włoskimi wyrazami przetykanej niemczyzny cicerona, ale kiwają głowami z wielką powagą, pojrzą i idą znów dalej, byle prędzej. Tam znów jakiś pan, chudy, z rękoma w kieszeniach, biegnie po Via Sacra, świszcząc przez zęby, potyka się na kamieniach, ale nie pominie niczego, zagląda sumiennie w każdy otwór, za każdy załom muru, jak gdyby szukał kogoś pośpiesznie. Minął mnie już, widzę go jak pędzi koło świątyni Juljusza Cezara... A ówdzie znów kilka młodych kobiet. W jasnych sukniach, z czerwonemi parasolkami, śmieją się wesoło przed poszarzałymi starymi freskami bizantyńskimi w zwaliskach Oratorjum 40-tu Męczenników, — przeszły, wchodzą teraz tutaj, do domu westalek... Jedna ma dziwne miedzianozłote włosy. Twarzy nie widzę, jeno smukłą kibić, strzeliste ramiona... Zerwała krwawą różę z nad basenu (drży jak drobny płomyk w jej dłoniach...) i teraz rozmawia coś wesoło z towarzyszkami, uderzając z lekka końcem parasolki o marmurowy posąg westalki...

Szarańcza padła na ruiny. Pełno jest ludzi pod kolumnami świątyń, pod sklepieniami łuków tryumfalnych, w bazylikach i na mównicy, na Forum, na Via Sacra. Uciekam przed tym nowym najazdem barbarzyńców. Dozorcy pozwalają mi wyjść od strony łuku Tytusa, przez barjerę zwykle zamkniętą przy murze kościoła Santa Francesca Romana.

Mijam rozpalone w słońcu mury Koloseum i przez łuk Konstantyna, wielkim przezwanego, wychodzę na ocienioną drogę św. Grzegorza. Po prawej ręce mam jeszcze wschodni stok Palatynu; ponad murem ulicznym widzę resztki akweduktu i zwaliska najpóźniejszych cesarskich budowli. Jakieś dziwne, słoneczne, słodkie lenistwo ogarnia mnie całego... Bez myśli prawie skręcam na lewo i wlokę się w stronę ruin łaźni Karakali, wielkich jak miasto — tam, ku bramie św. Sebastjana... Minę groby Scypjonów i jeden jeszcze tryumfalny łuk— Druzusa— i wyjdę na Via Appia, na tę dziwną i wiecznie cichą drogę, grobami wśród pustej Kampanji znaczoną...

Tam, za kapliczką Quo vadis?, za katakumbami św. Kaliksta i odwiecznym kościołem San Sebastjano, za grobowcem rzymskim

Cecylji Metelli, który w średnich wiekach Kaetanim służył za warownię, tak że wrzawa bojowa lub pijany krzyk żołdactwa nieraz wieczny spokój prochom mąciły, — tam, za ostatniemi osterjami przydrożnemi, gdzie poganiacze mułów na krótki odpoczynek stoją: cisza już jest i pustka zupełna.

Zielone trawniki rozłożyły się szeroko po obu stronach opuszczonej drogi, na której rzadko tylko zabłąka się chłopski wóz o dwóch kołach przez muły leniwe ciągniony,—a poza trawnikami—dwoma nieprzejrzanymi rzędami w dal biegnące groby, groby i groby, rozwalone już i bezimienne, zielskiem porosłe i okwiecone drobnymi grudniowymi fjołkami rzymskiej Kampanji.

Z lewej strony wśród spalonej słońcem postaci widać łuki dawnych wodociągów—„samarytanki z próżnymi dzbanami na głowie“, — w oddali przede mną błękitna ściana gór Albańskich, a na nich wśród winnic i lasów kasztanowych bielą się murowanymi domami „castelli romani“ Marino, Frascati, Grotta Ferrata... A przy drodze — rzadka pinja czasem się tylko nadarzy i trochę pod nią cieniu, czasem zwaliska jakiejś zamiejskiej willi cezarów, gdzie niegdyś pijane wśród róż i marmurów brzmiały

okrzyki, — zresztą nic, prócz grobów. Drobne zwinne jaszczurki wygrzewają się w południowem słońcu—i za zbliżeniem się istoty ludzkiej nikną jak strzała wśród głazów i zielska zeschłego. Skowronek wzbił się gdzieś w niebo i zadzwonił mi nad głową—jak u nas—na wiosnę.

A dalej niema już nic.

Szedłem raz tą drogą do końca aż do Albano, gdzie się łączy z nowym wygodnym traktem od Rzymu, co dalej już dawnym biegnie torem... Była wiosna wtenczas i noc. Ślady drogi zacierały się coraz bardziej,—potem już tylko po nizkich okopach i na wykrot leżących ogromnych brukowcach można było poznać, że tędy niegdyś tętniało życie, rozlewające się z miasta na południowe kraje Italji. — Szliśmy wówczas we trzech; nogi nasze brodziły po kolana w rośnej, puszystej trawie. A kiedy świt się poczynał robić na niebie, spotkaliśmy tam kosiarza, jak szerokim rzutem rąk kładł pokosy na dawnej rzymskiej drodze...

Ale teraz jest grudzień i zima, choć słońce południowe dogrzewa... Położyłem się na wznak na grobie jakimś, miękką wysłanym murawą; przez powieki przymknięte widzę jeszcze blask czerwony, — blask mojej brwi czy słońca? —

Szeleszczą—zda się bez bez wiatru—przydrożne zeschłe burzany i trzcina pożółkła, w rowach pod miedzą rosnąca. Sen schodzi na mnie cichy, tak do upojenia się słońcem podobny, — sen, co wśród grobów czeka tu na wędrowca i serce mu smutne, znużone serce pieści, ciszy, ukaja...

III.

I o niej jeszcze muszę napisać.

Mieszka na Kapitolu i jest najpiękniejszą kobietą na świecie. Zakochałem się w niej, kiedym ją pierwszy raz zobaczył—i odtąd, ilekroć powracam do Rzymu, drżę już naprzód z tęsknoty i radości, że ją ujrzę znowu, przepiękną, nieskazitelną, zawsze jednakową i wieczyście młodą... Z zamkniętemi oczyma przechodzę przez korytarze, wiodące do jej pokoju, aby żaden inny obraz nie wpadł mi pod powieki i nie zamącił źrenic, widoku jej marmurowego ciała głodnych i tylko tego jednego spragnionych widoku! Ale ona nie wie, nie chce wiedzieć o tem, choć tyle razy gorącym szeptem mówiłem to do niej, gdyśmy w popołudnie upalne byli razem i sami w tym do kaplicy podobnym purpurowym pokoju, kędy ona króluje. Nie słucha, nie wi-

dzi nawet moich rozkochanych spojrzeń, co z taką pieszczotą ogromną i czcią świętą zarazem po obnażonem ciele jej spływają. Cóż ją to obchodzi? Kochało się w niej już tak wielu, tak wielu, ale ona dla wszystkich jest jednakowa: wszystkim pozwala boską nagością swą się upajać, lecz sama zimna jest dla wszystkich—i dlatego tak wiecznie młoda. Zrzuciła odzież, pochyliła lekko zsunięte ramiona, prawą nogę do kroku już wznosi — a jedną dłonią łono przysłania, drugą piersi białej dotknęła i uśmiecha się tym dziwnym, tajemniczym uśmiechem, co błądzi po jej pełnych, nieco rozchylonych wargach już z górą dwa tysiące lat... Z Hellady go z sobą snadź przywiozła, ten uśmiech, z nad morza co najbłękitniejszego, z co najwonniejszych gajów, gdzie stać ongi musiała w jakiejś białej świątyni, słuchając o wschodzie słońca pieściwego szumu niedalekich fal i hymnu, przez dziewice i chłopięta na cześć jej śpiewanego.

Ona jest jedna—Wenus Kapitolińska—i żadna snadź żywa kobieta, żaden inny posąg marmurowy z pięknością jej nawet równać się nie może. Czemże jest wobec niej ta przechwalona Milońska w Luwrze, o zbyt tęgim, niesymetrycznym torsie, z taką pychą wyzywającą w tył prze-

gięta? — albo Medycejska z Florencji, zalotna, o męskich barkach szerokich, w bezwstydnym ruchu baletnicy upozowana? Żadna z nich nie ma tej harmonji niesłychanej, tej doskonałej subtelności członków. Chyba jedna Knidyjska stanąćby mogła obok niej, ale to dziewczę dopiero, pączek rozpękający wobec tej w przecudną różę rozkwitłej kobiety.

Praksytel rzeźbił ją pono, aleć to nie jest pewne. Co na tem zresztą zależy, jak się ów grek nazywał, który zdziałał ten cud? Wiem tylko tyle, że kimkolwiek on był, kochać musiał ten marmur, któremu duszę swą dawał i pieścił go twórczemi rękoma tak, jak się dłonią rozmiłowaną żywą pieści kobietę. Ten posąg zrodzony jest z tęsknoty; tylko tęsknota i ból tak kochać zdołają, a tylko miłość tak stwarza.

Zdaje mi się czasem, że znam tego greka, że byłem z nim gdzieś razem, w jakiejś odległej ateńskiej pracowni pod oliwnemi drzewami... Ostatnia bujna młodość jego już przeszła, skończyła się — dziś? wczoraj? przedwczoraj może, w chwili jakiegoś rozstania, jakiejś nagłej i niespodziewanej śmierci ostatnich kwiatów... Siedzi w pustej pracowni, na głazie, który miał być bogiem i — zapomniany, już ze śladami bóstwa

a jeszcze z bezkształtu bryły niewyzwolony, potworny w tej dwoistości swojej, wala się teraz wśród okruchów. ...Rzeźbiarz wsparł brodę na dłoni; po skroniach, wśród bujnych czarnych włosów już pierwsze srebrne nitki się wiją, drgają mu dziwnie, gorzkiego śmiechu pełne, zmysłowe usta—a z oczu, z poza przygasłego blasku wczorajszej mocy wyziera okrutne, śmiertelne znużenie... Prawą rękę bezwładnie opuścił na kolana. Rzeźbił niegdyś bogów i bohaterów, rzeczy wielkie w kamień zaklinał i do wielkich rzeczy chciał wieść — w tych dniach pełnej, hucznej, jasnej radości życia... Cóż go dzisiaj bogowie obchodzą? co bohaterowie?—nie wierzy w nich. A zresztą ta pustka, pustka... złamało się coś, zepsuło i nawet dłoń już dzisiaj nie zdoła...

Wpatrzył się bezmyślnie w biały, od dawien próżno tu stojący głaz marmurowy.

I naraz zdało mu się w zapadającym różowym zmroku, że marmur prześwietlać poczyna i z wnętrza wyłania się w kamieniu czy w duszy jego uwięziona postać jakaś przedziwna, nabiera kształtów i miękkości ciała kobiecego, żyje... Oto głowa królewska z długiemi w dal zapatrzonemi oczyma i z zagadkowym na namiętnych wargach uśmiechem, oto małe trój-

kątne wgłębienie pod szyją; z lekka spadziste, krągłe a subtelne ramiona, spływające temi rękoma, co są do dwóch cudów podobne, miękkie, utoczone, o dłoniach z długiemi giętkiemi palcami... Oto pierś, dojrzała już w słonecznym żarze rozkoszy, a zwarta i drobna, wiecznie dziewczęca,—oto nieskazitelne, między krągłemi biodrami cudnie zasklepione łono; pełne i silne, a jednak smukłe uda; suche, zwięzłe, rytmiczne kolana i stopy wązkie, białe, które tak często całował... Naga jest, — głowę w bok zwróciła, mimowolnym, nieświadomym odruchem wstydu dłońmi się osłania, ale za chwilę te dłonie podniesie, nad odrzuconą w tył głową zaplecie i—przegięta—wezbraną pierś do pocałunku mu poda...

Dreszcz go przeszedł dziwny. Widzi: fala bujnych włosów pozłoconych spływa jej po ramionach... Nie! precz te włosy odrzucić, związać je, niech nic jej piękności jedynej nie kryje! niech widno będzie te barki doskonałe, i grzbiet sprężystym łukiem od karku wygięty, i te wązkie, strzeliste plecy, wykwitające jak lilja z rozłożystego krzyża, na którym się znaczą dołki dwa przesłodkie...

Wyciągnął ręce, dłuto stalowe pochwycił...

Posypał się okruch marmuru i biały pył z pod kującej dłoni, chciwej jak najprędzej wyłuskać kształt, w kamieniu widziany. I odtąd co dnia wschodzące słońce do pracy rzeźbiarza budziło i zmierzch mu gęsty narzędzie z ręki wytrącał. I tak co dnia brał posąg życie swoje z niego i rósł i wcielał się i dojrzewał — aż pewnego dnia pojrzał żywymi oczyma z tym zagadkowym na okrutnych ustach uśmiechem na słaniającego się bez sił u marmurowych stóp stworzyciela... Venus semper vincens!

I stoi ona dzisiaj na Kapitolu rzymskim. — Z dalekiej Grecji pod imieniem Afrodyty przywieziona, ale jest więcej niż boginią, jest kobietą—i żywą. Rzeźbiarz z taką miłością utoczył i wypieścil jej członki niezrównane, pod olśniewająco białą marmurową skórą rozciągnął sieć żył i nerwów, i tyle jej z ducha i z krwi swojej dał, tak ją tęsknotą swoją ożywił, że czasem lęk mnie ogarnia, gdy sam z nią jestem w tym różowym półmroku ośmiobocznej salki muzealnej, i zdaje mi się, iż drgnie i ruszać się pocznie za chwilę, że usta marmurowe rozchyli i wyciągnie białe ramiona — i cofam z mimowolną bojaźnią rękę, którą podniosłem już był, aby obrócić ruchomy krąg, na którym posąg

ustawiono. Nie doznawałem nigdy wobec żadnej rzeźby na świecie tego dziwnego uczucia podziwu, miłości i onieśmielenia zarazem. Naprawdę uważam ją za żywą istotę i płonię się czasem wstydem a gniewem, gdy bezmyślna gawiedź „bedekerowców“ napełni jej małą czerwoną komnatę i kala jej boską nagość świętokradzkiemi spojrzeniami...

Kim była ta kobieta, której ów nieznany rzeźbiarz helleński, niezdolny własnego imienia wydrzeć zapomnieniu, z taką królewską szczodrobliwością nieśmiertelność podarował? Może to była dostojna i szanowna niewiasta — i gdy zoczyła ciało swe marmurowe i ubóstwione, w świątyni światu pokazane, oburzyła się na dawnego kochanka, że dobrą sławę jej w niwecz obrócił i tak na całą wieczność... skompromitował? Ach, nie! to było w Grecji... A więc może heterą była i śmiała się, patrząc, jak ludzie przed jej obrazem palą kadzidła, i dumna była, że teraz już wszyscy piękność jej widzą?... A czem była dla niego? jaką serdeczną krew z żył jego wypiła? jakie złamała w nim siły, które nie wątpię — po raz ostatni w tym hymnie na cześć jej ciała wybłysły?

Nie wiem. A zresztą co na tem zależy? Piękna była.

Tak zawsze spragniony i taki niesyty jestem jej widoku, że zapragnąłem chociaż podobiznę jej mieć w domu, aby wciąż móc na nią patrzeć—i chodziłem po rzymskich sklepach rzeźbiarskich, szukając dobrej kopji marmurowej... Ale kopje wszystkie są do niej tylko podobne, i znienawidzieć je można za to właśnie, że są do niej podobne, a nie są nią samą. Chodzę więc po staremu na Kapitol oglądać ją—niemal codziennie—i chłonę ją oczyma i nigdy jej nie mam dość, choć znam ją tak dobrze, że nawet, gdy przymknę powieki, widzę każdy jej kształt, każdą linję jej ciała. I gdy wychodzę z muzeum, mam jeszcze źrenice tak pełne jej cudu, że długo stać muszę na progu, nim się przyzwyczaję na nowo do widoku słońca i ludzi.

A zieleń palm jest przede mną—i trzy michelangelowe trzech pałaców fasady i starożytny posąg Marka Aureljusza, co stoi tutaj na Kapitolu, jak słup graniczny na dwóch światów rozdrożu. Tam, za nim, za pałacem Senatorów, co strojny od przodu renesansową fasadą, czerni się z tamtej strony odwiecznymi murami Tabularjum—leży stary Rzym, ruiny, łuki tryumfato-

rów, świątyń filary, Forum, Palatyn i Koloseum; tutaj, w kierunku wyciągniętej ręki spiżowego cesarza—szerokie schody spływają ku nowemu Rzymowi.

Mimowolnie, bez myśli, z oczyma jeszcze marmurowej kochanki mojej pełnemi, schodzę tam zwolna, opierając się dłonią na kamiennej poręczy... Cola Rienzi, „ostatni trybun rzymski", patrzy z pod palm, z marmurowego, ze starych w kamieniu rytych napisów zbudowanego cokółu... Mijam kaskadę stopni, spływających tam z góry, od ceglanej fasady kościoła Santa Maria Aracoeli i rosnący w niebo nad szczyt Kapitolu monument Wiktora Emanuela i surowy, z głazów Amfiteatrowi Flawjusza wykradzionych stawiany Pałac Wenecki, i rozpoczynam zwykłą, błędną po ukochanym Rzymie wędrówkę. Koło pałaców przechodzę olbrzymich, o najszlachetniejszych linjach i wymiarach, około kościołów, na wielkich placach, albo w zacisznych ulicach pokrytych, koło fontan, całemi rzekami przeczystej wody tryskających, marmurem lub bronzem wieńczonych,—a z za węgła czasem w wązkiej uliczce błyśnie mi kolumna wpół zagrzebana jakiejś pogańskiej świątyni, w nowy, ubogi dom wbudowana,—czasem cyprys, palma lub pozło-

cone drzewo pomarańczowe wyjrzy z dziedzińca albo ogrodu śródmiejskiej willi magnackiej. Słońcem zalana Piazza Navona, co obszar dawnego hipodromu Domicjana zajmuje, cicha jest, jak zawsze: „forestieri" rzadko tu zachodzą; około kamiennych ławek i ocembrowania egipski obelisk dźwigającej fontannyБерniniego dzieci małe igrają i snują się rzymskie mieszczanki o czarnych oczach i ustach, jak pożar gorących.

Przechodzę około Panteonu (cudnie się tam światło o tej porze, wprost z nieba spływające, szczytowym otworem rozlewa!) — mijam gwarny i ruchliwy zawsze plac pod kolumną Marka Aureljusza i idę dalej — przez Via Tritone i sieć wązkich uliczek, aż do pomnika Niepokalanego Poczęcia, olbrzymim z Maksencjuszowej pogańskiej bazyliki wyłupionym filarem pod niebo wzniesionego. Na Hiszpańskim Placu, na schodach, piętrzących się ku Santa Trinita de' Monti i ustawionemu przed kościołem obeliskowi, kupiłem sobie u kwieciarzy całą wiązkę purpurowych róż—niewiadomo poco i dla kogo? Obrywam je bezmyślnie i rzucam na bruk, idąc zwolna przez cichą, pracowni rzeźbiarskich i antykwarskich sklepów pełną Via Babuino. Na Piazza del Popolo znowu wśród fontanny

obelisk i cztery granitowe lwy około niego... Kocham ten plac; jest najpiękniejszy ze wszystkich, jakie w życiu widziałem. Po obu bokach potężnej Porta del Popolo dwa kościoły — jeden z nich umiłowany niegdyś Juljusza II. — dwa kopułami nakryte kościoły między rozbiegającemi się po przeciwległej stronie trzema ulicami. Od wschodu i zachodu zatacza się mur ogromnymi półkręgami, — po jednej stronie nad murem dziwnie piękne, czarne pinje i widna z dala kopuła świętego Piotra, po drugiej piętrzą się, marmurowych posągów, palm i cyprysów pełne tarasy ogrodów na Monte Pincio.

Pełno tam teraz przed zachodem słońca — w palmowych i kwietnych na Monte Pincio ogrodach. Powozy wytworne długim szeregiem stromą drogą wjeżdżają,—nad kamienną barjerą najwyższej terasy widzę zdołu tłum strojnych kobiet, do barwnych motyli w słońcu pod ciemnemi i zachodem pozłacanemi drzewami podobnych.

Za bramą del Popolo, w parku willi Borghese, pusto jest zato prawie zupełnie. Zresztą na ogromnej, pinjami, wawrzynem i wiecznie zielonymi dębami zarosłej przestrzeni giną i liczni nawet przechodnie. Błądzę alejami, na które gęsto opadł zżółkły liść szlachetnych kasztanów

i jaworów—i po trawnikach wśród dziwnie smutnego lasu czarnych pinji nad hipodromem... A potem w górę idę, kwietnym ogrodem, nad staw, między gąszczem zielonych krzewów i drzew ukryty... Usiadłem na ławce kamiennej,—lekki wiatr przynosi mi z poblizkiego Pincio dźwięki muzyki, dziwne, echowe, w gałęziach drzew pogubione — do jakichś niewołanych, niewiadomo skąd przybyłych, bolesnych wspomnień dawnego wesela podobne... Szeleszczą po palm liściach pierzastych, po kwiatach, co tutaj kwitną czerwone, po cichych nad wodą laurach, śmiechem się zanoszą i płaczą lub marzą i idą ku mnie po tafli jeziora stalowej — razem z tem słońcem czerwonem, co przed zachodem jeszcze przez liście dębów się przedziera... Po smudze złotej, migotliwe znacząc brózdy za sobą, płyną białe łabędzie—tam od marmurowej kaplicy Asklepjosa na brzegu, któremu greccy mędrcy dziękczynną za uzdrowienie składali ofiarę, z życiem się żegnając...

Noc już była, kiedym się znalazł z powrotem na Corso. Hej! za długom snadź siedział, z parku wyszedłszy, w tej chłopskiej osterji na Via Flaminia przy złotem, serce człowiecze radującem winie! Złoty mi się teraz świat wi-

dzi, i rad jestem tak zginąć w tym barwnym roześmianym, ruchliwym tłumie pod zapalonemi lampami elektrycznemi! Środkiem ulicy płyną powozy nieprzerwanym szeregiem, — na chodnikach i między pojazdami tłoczą się przechodnie, mężczyźni i kobiety, strojni, rozbawieni, niczem nie zakłopotani. Światło bucha z poza wielkich szyb wystaw sklepowych, gwar zmieszanych głosów dobiega z ogromnych, otwartych na rozcież kawiarni,—krzyżują się w ciepłem, wiosennem prawie powietrzu słowa, uśmiechy, spojrzenia... Krzyk jakiś powstał; w ściśniony tłum ludzi wpadli roznosiciele wieczornych dzienników,—na głos wywołują tytuły, rzucają wokół—na ulicy i w kawiarniach—świeżo zadrukowane płachty papieru... Wre i tętni bujne, wieczorne życie Rzymu młodego...

Za Placem Weneckim cisza mnie dopiero nagła ogarnia. Pustemi, słabo oświetlonemi uliczkami idę na Kapitol, wracając do domu,—na szerokich stopniach kamiennych głucho dźwięczą moje kroki,—w powietrzu jest jakiś dziwny, upojny zapach okwitających krzewów jesiennych...

W pokoju okno szeroko otwarte. Księżyc wyszedł był właśnie z za czarnych drzew na Palatynie—i lśni upiorną białością na najwyższych

kolumnach, sterczących z zawalonej gruzami kotliny Forum Romanum, srebrzy się na poszczerbionych murach Tabularjum, na dalekich kościołów kopułach i wchodzi do mnie przez okno i pada wązką strugą światła na rozwieszone na ścianie fotografje... Wznosząc się na niebie, przesuwa się po nich zwolna i pokazuje mi je po kolei, głowy stare i młode i dziecięce, głowy rodziny mojej i przyjaciół i kobiet różnych, — takich, dla których ja dobry byłem, choć one ból mi tylko obficie dawały, i takich, które były dobre dla mnie, gdy ja nie zasługiwałem na to... I każda głowa, księżycem pokazana, opowiada mi jakąś historję, przywodzi jakieś wspomnienie, tkliwe i serdeczne albo bolesne, wesołe lub smutne, pamięć jakiegoś przeżytego dnia wskrzesza, pamięć szczęścia, upojenia, wyrzutu, grzechu lub żalu—i tak powoli samotna izba moja w tem wiecznem mieście napełnia się upiorami przebrzmiałych godzin młodości...

Teraz pas miesięcznego światła padł na dużą, przybladłą, z dnia na dzień coraz bardziej na ciemnem tle niknącą fotografję: widzę śmiało zarysowany, dziwny, subtelny profil,—w dal wytężone, jak gdyby zjawy jakiejś czekające oczy,—

usta do modlitwy złożone czy do pocałunku, — złota na bujnych włosach przepaska — i piersi odkrytej rąbek się wyłania.

Na stole moim zanosi się wieczystym śmiechem grajek gliniany,—jeno, że w martwej księżyca poświacie tak dziwnie ten śmiech do spazmatycznego, na wieczność zastygłego skrzywienia bólu podobny...

Hej, grajku! grajku mój gliniany...

DWA DNI W ALPACH

1907

I.

Lasy się już skończyły. Poniżej ścieżki czepiały się jeszcze bystrych stoków świerki strzeliste, szeroko dołem rozgałęzione, chwytajac w zawęźlenia palczastych korzeni głazy, sterczące z pośród przedziwnego górskich kwiatów ogrodu. Nad ścieżką — wyżej — już tylko trawy bujne i puszyste, woniejące zioła górskie na wapiennym podłożu, gęstwa badyli i liści szerokich, poranną rosą usrebrzonych, i kwiaty, jedyne na świecie kwiaty: o barwach, jak światło błyszczących, morze całe dzwonków polnych i gorczyczki, ogromne białe anemony, jaskier i złotogłów, mlecze purpurowe,—strzępiaste, duszące wonią górskie goździki i konwalja, która w dołach dawno już przekwitła... A na każdym głazie wynioślejszym, białą głową z rozszalałej powodzi barw sterczącym—ogrody całe czerwo-

nego rododendronu, pod ludową nazwą „róży alpejskiej“ sławnego. Wyżej, w szczelinach i załomach, ociekłych wodą skał, czepia się przyziemna saxifraga, tworząc delikatne kobierce, których świeża zieleń ginie prawie pod przepychem różowego kwiecia.

Usiedliśmy wszyscy troje na różach alpejskich, na jakimś sterczącym nad ścieżką kamieniu. Wilgotny, kwieciem i żywicą wonny cień od gór był nad nami, ale słońce wzeszło już było na świecie i oświetlało czerwono szczyty i stoki naprzeciwległe, zsuwając się po nich zwolna ku stalowo-błękitnej toni jeziora Brienzkiego, co błyszczało tam, w dole, równo tysiąc metrów pod nami...

Ciemno było jeszcze, gdyśmy, wstawszy przededniem, mijali ciche, tu i ówdzie zaledwie żółtą latarnią naftową rozświetlone wiejskie uliczki Iseltwaldu; ciemno było, kiedy wchodziliśmy w lasy, pnące się ku górze po stokach Furggehornu, nad szumiącym gdzieś w głębokiej rozpadlinie strumieniem. I tam dopiero, w lasach, przyszedł do nas pierwszy, szaro-srebrzysty brzask poranny, przesiewając się nieśmiało przez wonne żywicą gałęzie jodeł, co ciemniały wciąż na coraz jaśniejszem a później zlekka ozłoconem tle nieba.

Szliśmy w górę ku blaskowi i blask szedł z nieba ku nam. Już ścieżka widniała jaśniejsza pod nogami naszemi i już okiem można jej było szukać, nie tylko stopą, jak dotąd; już paprocie pierzaste wykwitały z gęstego cienia pod drzewami, nabierając zwolna w rodzącem się świetle szaro-zielonej barwy... Za progiem lasu czekał nas dzień, z całym przepychem barw i kolorów i uderzył na nas nagle, gdyśmy tylko ostatnie jodły minęli.

Teraz patrzyliśmy już w pełnym blasku na Iseltwald, wyglądający nad brzegiem ogromnego jeziora, jak dziecinna zabawka: maleńkie domki drewniane i drzewka z pomalowanych na zielono patyków. Była niedziela i w wiosce budzono się tam później niż zazwyczaj. Przez szkła widziałem, jak się pośród domów ludzie ruszać poczynali—na ulicę wylegały grupki dzieci i odświętnie ubrane kobiety—gdzieś pod kasztanami zabłysła czerwona suknia poranna jakiejś letniczki, z kominów snuły się wolno sinawe pasma dymu... Ktoś wyjechał w łódce na jezioro i zdążał ku poblizkiej małej wysepce: wyglądało to z dala, jakby drobny, czarny żuczek, wywijając szeroko rozstawionemi łapkami, ślizgał się po perłowej tafli... Środkiem toni, srebrną za sobą

znacząc smugę, wlókł się pierwszy ranny parowiec w stronę Brienz, co widniało z dala za jeziorem u stóp Rothornu, słońcem już oblanego... U samego szczytu góry obłok się jakiś biały uczepił i wiał z podmuchem wiatru lekkiego, jak olbrzymie skrzydło w przepaścistym błękicie nieba.

I naraz jakiś dźwięk przedziwny, coś, czego głosem prawie nazwać niepodobna, pieśń jakaś metaliczna, czysta, głęboka a uchem zaledwie pochwytna—niewiadomo: z głębi lasów czy ze słońcem trąconej toni jeziora? powietrze-to złote zadrgało, czy głos dają harfiany rozwieszone na skałach wodospady?... A jednak ucho chwyta w tych dźwiękach coś niezmiernie swojskiego i znanego—z dawnych lat—od dzieciństwa, przypominają się łany skoszone, zapach święconych ziół i świec woskowych... powieki mimowolnie się przymykają... Cicho, tak cicho — tylko po kwiatach, po lasach zielonych—gdzieś od jeziora płyną, z Brienz czy z Interlaken niedzielne dzwony poranne, ku górze, ku górze, ku górze...

Słońce było już wysoko, kiedyśmy się w dalszą drogę puścili. Nie śpieszyło nam się wcale. Na szczyt Faulhornu, gdzie mieliśmy przenocować, można było zajść z tego miejsca za cztery lub pięć godzin, to jest około południa, ale... po

co? Czyż to nie cudownie mieć taki piękny, pogodny dzień przed sobą i wlec się po halach słonecznych i iść przez czarne turnie, nie spiesząc się nigdzie, do nikąd? A zresztą następnego dnia czekały nas dzikie bezdroża, a następnych jeszcze lodowce i wiecznym śniegiem pokryte szczyty; dobrze więc było dzisiaj po wygodnej ścieżce iść powoli, oszczędzając sił na dzień jutrzejszy.

Droga zwracała się teraz na wschód; szliśmy ciągle u stóp Litschenburgu, wspinając się czasem na wyższe piętra bystro w zakosy bieżącą ścieżyną albo wązkiemi pólkami wśród turni wapiennych, bujną różą alpejską obrosłych... A potem znowu hale ogromne ponad czarnemi w dole lasami, pokrajane wyschniętemi łożyskami strumieni, co się tylko do słońca głazami wapienia bieliły. Widok na jezioro zasłaniały nam już skaliste wyniosłości od północy, ale za to — po okrążeniu Litschenburgu — mieliśmy już wciąż przed sobą czarną piramidę tatrzańskie szczyty wysokością przenoszącego Faulhornu. Na prawo sterczał w grani bliższy, do ostrego kła podobny Schwabhorn; ku wschodowi, nad wałem wzgórz i skał, błyszczał w słońcu wiecznym śniegiem z tej strony ubielony szczyt Schwarzhornu,

cel jutrzejszej naszej wycieczki. Nad ścieżką ukazywały się już płaty śniegów, coraz rozleglejsze.

Południe zastało nas gdzieś na halach Fängis-Alp. Skorzystaliśmy z pełnego wody strumienia, aby ugotować buljon i herbatę i dopiero po długiej dwugodzinnej prawie sjeście puściliśmy się w dalszą drogę, zdążając wprost pod ząb Schwabhornu, skąd już graniami wygodna ścieżka na Faulhorn wiedzie. Szliśmy teraz znowu w kierunku zachodnim. Wapień się skończył od dawna; z pod skąpych trawników i coraz liczniejszych płatów brudnego śniegu wyzierały czarne pokłady łupkowe, łupkiem też czerniła się cała piramida Faulhornu, widna już stąd od szczytu do podstawy. Potok, od stóp Schwabhornu płynący, zbiera z niej wody, rzucające się w niego szeregiem kaskad z prostopadłej ściany łupkowej, na przestrzeni blizko trzech kilometrów nad doliną wyciągniętej. I doprawdy jest to jeden z najciekawszych a dziwnie smutnych widoków: ta długa, zielona dolina, czarną ścianą zamknięta, ponad którą piętrzą się niewypowiedzianie dzikie w swej martwocie turnie Faulhornu i niższych szczytów łupkowych, długiem pasmem ze Schwarzhornem go łączących.

Ale nie traciliśmy już wiele czasu na po-

dziwianiu tego jedynego w bezbrzeżnej melancholji swej widoku, mgły bowiem popołudniowe czepiać się szczytów poczynały, tak żeśmy już prawie żałowali straconych przed południem godzin. Z grani pod Schwabhornem i z ostrego szczytu, dokąd w kilkanaście minut po wązkim pasku bystrego trawnika dostać się można, stojąc nad zionącą zewsząd otchłanią patrzyliśmy jeszcze swobodnie na ukazujące się w drodze po raz ostatni jezioro Brienzkie, na lasy i rozległe, przed południem przebyte hale Bätten-Alp, na dziką dolinę Sägis i ukryty w niej staw bez ujścia, blizko 2,000 metrów nad powierzchnią morza leżący, na skały i na turnie,—ale gdyśmy na grań powrócili, mgła nas gęsta owionęła i w mgle już szliśmy na szczyt Faulhornu.

Hotel tu stoi pod samym szczytem, dwa tysiące sześćset ośmdziesiąt kilka metrów nad powierzchnią morza, z kamienia zewnąrz zbudowany, z drewnianemi przepierzeniami wewnątrz, na wysokim cokole, otoczony ogromnemi cysternami dla zbierania wody deszczowej. Z Grindelwaldu i z Schynige-Platte wiodą do niego ścieżki wygodne, któremi i konno można wyjechać. Dziwne to jest uczucie, gdy się inną i dziką drogą na szczyt pieszo przybyło i zrzu-

cając ciężki worek z zapotniałych pleców — widzi się w sznurówki wystrojone turystki i Niemców grubych z parasolami, którzy się tu dostali na grzbiecie konia, za uzdę przez przewodnika prowadzonego. Towarzyszka nasza wstydziła się już nawet wśród tych „dam“ swoich ostro podkutych butów i do kolan zaledwie sięgającej na spodenkach sukni. Pocieszyłem ją jednak rychło, mówiąc, aby zaprosiła te panie w dalszą z nami wycieczkę i po jednym lub dwóch dniach niech ocenia różnicę w stroju, na czyją korzyść wypadnie... Ale naprawdę jest nieprzyjemna ta zgraja spacerowiczów, bez trudu na szczyt wywieziona—i hotel nawet drażni, chociaż, nocując w nim, uznaje się całą jego dogodność... Szczęściem, że Alpy są wielkie i zawsze dość będzie szczytów, gdzie żadna robiona droga, żadna w skałach łamana kolej nie sięgnie...

Przed zachodem widok począł się znów otwierać. Mgły poszły w górę, rozbiegły się i skłębiły na krańcach widnokręgu w przedziwne, o perłowo-zielonej barwie obłoki, otwierając nad naszemi głowami szeroki szmat błękitu. Śnieżnych Alp nie było jeszcze widać. Czernił się tylko przed nami sąsiedni Simelihorn i ciemny, ukryty prawie za nim Rötihorn; dalej były już

tylko białe chmury, tak dziwnie z białymi szczytami zmieszane, że nawet, gdy je wiatr nieco rozsłonił, trudno było oku rozróżnić, na co patrzy: na obłok dalszy, na śnieżne pole, czy na lodowiec. Z zachodniej strony, pod słońce, tonęła już w cieniu dolina Sägis, a za nią, za uwolnionemi już z mgieł łańcuchami niższych szczytów, widniała szeroko szaro-sina powierzchnia Brienzkiego jeziora, a dalej znowu góry i grzbiety, jedne nad drugiemi, spiętrzone i coraz to dalsze, aż po kraniec widnokręgu, nikłą linją Jury zaznaczony. Nad górami, wśród złotych i purpurowych chmur, zachodzące słońce.

Staliśmy na samym szczycie Faulhornu. A przed nami działo się widowisko tak czarodziejskie i niesłychane, że zapomnieliśmy o wszystkiem, nawet o przykrem towarzystwie Niemców, którzy, wyszedłszy z hotelu, w koce przed chłodem poowijani, zbili się w hałaśliwą grupę o kilka kroków poniżej. Nie słyszałem jednak, co mówili, później nie słyszałem już nawet, że mówią... Słońce opadało powoli na pociemniałe góry, szło na dół ogromne, purpurowe po ognistej, na połowie nieba zażegniętej łunie. Obłoki naokół świeciły, mieniły się barwami, na które w ludzkim języku niema określe-

nia. Było to złoto żywe i kapiące z czarnych lub ciemno-szafirowych smug, był żar rozkrwawiony na śnieżnych mgłach, róż od snu delikatniejszy, jak pył po srebrnej wełnie rozwiany, i amarant na zielono-szarych i popielatych tumanach... A wszystko to świeciło i płonęło i mieniło się ciągle, a wszystko to biło w oczy i w piersi niemal tak bajecznym przepychem, takiem szaleństwem blasku, kształtu i barwy, że oddech prawie w gardle zamierał...

Odwróciłem się od słońca ku Alpom. Chmury spadły niżej, skłębiły się na reglach zielonych i bujną falą zwełnioną turnie kamienne pokryły — a nad niemi, na ciemnym błękicie olśniewająco biały szczyt Jungfrau, tak wysoko na niebie, tak nieprawdopodobnie wysoko, iż oczy przerażone rzeczywistości tego zjawienia uwierzyć nie chciały! Nad szczytem i wkoło niego, na obłokach w toni szafirowych rozwianych — anielski sen przyćmionych, uśmiechniętych barw: róż, z jakichś motylich skrzydeł strząśnięty, — konchy perłowe, stare czarodziejstwem jakiemś prześwietlające, w powietrzu rozdęte złoto i seledyn niepojęty, w zetknięciu z czerwienią aż w szaro-błękitną zieleń przechodzący. I znowu płynęły kształty i kolory przed oczyma mojemi,

jak w fantastycznem marzeniu... Popielaty obłok zasłonił na chwilę płonącą się już zachodem Jungfrau, a obok wytryskały ponad zwał chmur szczyty inne, ogromne, śnieżne i coraz to dalsze, aż hen... po wschodnie krańce berneńskiej wysoczyzny...

Słońce zachodziło tymczasem... Kiedym spojrzał znów na nie, wisiało nad samym nieboskłonem, w pasie najdalszych, popielato-amarantowych oparów, samo bez blasku już i krwawe, przez załamanie promieni wydłużone jak lampjon olbrzymi, już nie do kuli, lecz raczej do krągło zakończonego walca podobne. Walec ten ciemno-purpurowy topniał od dołu i tajał, rozpływał się i ginął w jakiemś sinem zamroczu, pozornie najdalszej linji widnokręgu nie dotykając... Już tylko krwią ociekła, odwrócona czara pod żażegniętemi chmurami płonie, już skrawek tylko — mniej jeszcze błysk ostatni... Obłoki ciemnieją, bledną, w głąb nieba zapadają. Alpy wyszły już z mgieł całe; srebrzystą szarością zmierzchu od szafirowego nieba się odcinają.

Poniżej, na platformie przed hotelem, płatny parobek szwajcarski zadął w długi róg alpejski. Zadął chrapliwie i niezbyt czysto—i urwał. Ale

natychmiast echo poczęło mu odpowiadać. Odrzucił naprzód prostą melodję Simelihorn poblizki, powtórzył ją za nim bliźniaczy Rötihorn już czystszą, jęknął metalicznie daleki Schwarzhorn nad śniegowemi polami zgarbiony, a potem już szedł dźwięk nieprzerwany, orkiestra cała, zmieszana a rostrojona, tony czyste, od śnieżnych czół i lodów najwyższych szczytów odbite, dzwony jakieś potężne, jasne, srebrnemi sercami we wnętrzach gór bijące, echowe: śpiewała Jungfrau, śpiewał Mnich i Eiger, Schreckhorn, Wetterhorn, Finsteraarhorn — i dalej... i dalej...

I znowu krótki dźwięk dmącego w trąbę pastucha — i odkrzyk gromki bliższych szczytów i znów ta, językiem ludzkim niewypowiedziana, przeczysta — dźwiękiem lodowców brzmiąca orkiestra.

Płaszczem przed dotkliwym chłodem owinięty patrzyłem na te śpiewające szczyty, które tymczasem coraz upiorniej, coraz srebrzyściej bielały na gwiazdami zachodzącem tle nocnego błękitu. Ostatnie dźwięki rogu dawno już przebrzmiały i niemcy pokryli się w hotelu, a ja nie ruszałem się z miejsca; dobrze mi było, szeroko i cicho. I nie wiem, przez jakie dziwne i nie-

wytłumaczone skojarzenie myśli przyszedł mi na pamięć przesłoneczny dzień, kiedy—przed dwoma laty — tam na południu wstępowałem na szczyt Wezuwjusza od strony zmarłego miasta Pompei i w ogromnej powodzi słońca, ponad białe chmury, jak wyspy na tle morza pływające, patrzyłem na tę jedyną w świecie zatokę i na szczęśliwe, w błękitnej śreżodze zatopione miasto... Jakieś echo melancholji, która wówczas po świecie mnie wiodła i gardło spazmem żalu wobec najpiękniejszych widoków dławiła, cień jakiś szerokoskrzydłego smutku, który odegnałem już był od siebie, padł mi przelotną chwilą na duszę...

Nad białemi Alpami tysiące wyiskrzonych gwiazd błyszczały, w niezmierzonej ciszy słychać tylko było głuchy łoskot skaczących gdzieś w dole ze skał potoków.

II.

Noc jeszcze była, gdyśmy wstali nazajutrz. Długa droga nas tego dnia czekała. Układając w domu wycieczkę według znakomitych map szczegółowych szwajcarskiego instytutu topograficznego, postanowiłem spróbować przejścia z Faulhornu na Schwarzhorn wązką Kurzą Dolinką (Hühnertäli), ciągnącą się na wysokości z górą 2,300 metrów między podwójnym pasem grani łączących te oba szczyty. Średnia wysokość grani, od południa ją zamykającej, przenosi 2,600 m., z północy—wał znacznie niższy, opada w jednem miejscu nawet do poziomu doliny, dając ujście odpływowi trzech stawów, w niej ukrytych, z których ostatni i najwyższy Hexensee „staw czarci", leży już u stóp Schwarzhornu 2,476 m. nad poziomem morza.

Otóż po okrążeniu tego stawku mieliśmy się

przedrzeć oznaczoną w mapkach szczerbą na południową stronę grani, a potem już zwyczajna drogą na szczyt.

Nie wiedziałem i nie wiem dotychczas, czy przejście to jest używane, zazwyczaj bowiem — jak wnosić mogłem z opisów w drukowanych przewodnikach—schodzi się z Faulhornu, obierając drogę znacznie dalej na północ i niżej położoną, łączącą się ze ścieżką, która z hal Tschingelfeld na wieczne śniegi pod Schwarzhornem prowadzi. Nie wiedziałem zwłaszcza, jak nam się uda przejść wspomnianą szczerbą w południowej grani; wedle mapy, spodziewać się należało z tamtej strony bystrych krzesanic, należało nam tedy wyjść jak najwcześniej z noclegu, aby, w razie niepodobieństwa lub zbytniej dla towarzyszki naszej trudności przejścia, mieć czas do odwrotu i szukania innej drogi. W razie pomyślnym mieliśmy się spuścić ze Schwazhornu na południe i w Grosse Scheidegg pod Wetterhornem lub w Grindelwaldzie zanocować.

Więc ciemno było, kiedyśmy z hotelu wychodzili. Późny i niecały księżyc stał nad Alpami i oświetlał nam drogę, zrazu wygodną, gdyż postępowaliśmy ubitą ścieżką, z Faulhornu wiodącą. Dopiero minąwszy Simelihorn, nie do-

chodząc do leżącego ustóp jego stawu, wzięliśmy się na lewo, przedostając się po zupełnem bezdrożu na wał, zamykający z zachodu początek naszej doliny... Świt zastał nas na przełęczy dwa tysiące czterysta kilkanaście metrów nad powierzchnią morza. Przed nami, w kotlinie ku północy nieco pochylonej, leżał największy z trzech wspomnianych stawów—Gradowy (Hagelsee), lodem jeszcze pokryty. Cała kotlina śniegiem też była zasłana (wina to ostatniej, zbyt ostrej zimy), nad śniegiem czerniły się tylko pionowe wanty południowej grani, a na wschodzie błyszczała zielonym trawnikiem ku słońcu podana zbocz buli, zamykającej przed naszem okiem właściwą Kurzą Dolinkę.

Spuściliśmy się po śniegach bystro ku jeziorku, a zaczerpnąwszy w manierki wody, co brzegami z pod lodu wypływała, błękitną otęczą zamarzły staw od białych śniegów oddzielając, szliśmy dalej chyżo na ową bulę zieloną. Stamtąd widać już było całą Kurzą Dolinę, po brzegi śniegami zawaloną i czarny, pochylony nad nią, ogromny szczyt Schwarzhornu. Barania Grań (Widderfeldgrätli), zamykająca dolinę od południa, z poziomo na sobie ułożonych i prostopadle ściętych warstw łupku utworzona, wyglądała

jak mur niedostępnej twierdzy. W dali tylko, jakby strzelnice, widniały w tej ścianie dwie głębokie szczerby; drugą z nich mieliśmy się właśnie pod szczyt przedostawać.

Ale tymczasem trzeba było zejść w Kurzą Dolinkę, co się dość trudnem okazało. Śnieżysty stok z pod naszych stóp spadał zbyt bystro ku małemu, całkowicie pod lodem pogrzebanemu stawkowi, a ponieważ nieprzezornie nie wzięliśmy raczków ze sobą, więc trzeba było szukać innej drogi.

Można było wprawdzie zwyczajem naszych tatrzańskich górali zjechać po śniegu, ale to wydało mi się niebezpiecznem, zwłaszcza dla mało wprawnej naszej towarzyszki, gdyż pochyłość opadała tu bezpośrednio ku wyrwie w północnej grani i kończyła się nad przepaścią, w którą z pod śniegów potok rzucał się spienioną kaskadą.

Spuściłem tedy oboje moich towarzyszy na linie, a następnie zszedłem sam po urwistych, wolnych od śniegu krzesanicach nad ową przepaścią. Z maleńkiej łączki, co tu pod niebem wśród skał wisiała, przeszliśmy wązkim pasem przykrego piargu nad samym wodospadem i wydostaliśmy się znowu na śniegi, które nas od-

tąd aż do szczeby w Grani Baraniej miały wieść. Dzień był już duży.

Zaczęła się monotonna, nużąca droga w górę. Szliśmy tedy w palącem słońcu, pod ciężkiemi workami zgięci, patrząc z przymkniętych i oślepiającem lśnieniem śniegów rażonych oczu na szerokie, białe pola przed nami, wydętą falą ku górze się wznoszące. Początkowo spadek był dość nieznaczny, gwoździami podkute podeszwy i ostre końce czekanów wystarczały, aby się utrzymać na pochyłości, ale po okrążeniu zamarzłego Czarciego Stawku (Hexensee) gdyśmy się poczęli do szczerby dobierać, trzeba już było rąbać w śniegu stupaje.

Zwał śniegów aż po samą szczerbę podchodził; dostaliśmy się do niej względnie łatwo; z południowej strony widać było wcale niezły kominek, który umożliwiał zejście aż na upłazy pod Schwarzhornem, śniegiem znowu zasłane. Do południa było wprawdzie jeszcze daleko, jednakże uspokojeni już co do dalszej drogi, rozłożyliśmy się tutaj na obiad, nie wiedząc, czy później gdzie odpowiednie miejsce dla odpoczynku znajdziemy. I tu, co prawda, niewiele mieliśmy, przestrzeni, w każdym razie między sterczącym brzegiem zwalonych ku północy śniegów

a turnią, w samym karbie, znalazło się tyle miejsca, żeśmy wszyscy troje mogli usiąść wygodnie. Przydała się teraz woda, z Gradowego Stawu w manierkach wyniesiona: mogliśmy na maszynce spirytusowej ugotować buljon i herbatę.

Po godzinnym blizko postoju puściliśmy się w dalszą drogę. Zejście owym kominkiem nie było tak łatwe, jak się to na pozór z góry wydało, zwłaszcza że kruchy łupek mało dawał pewnych punktów oparcia dla rąk i nóg; w jednem miejscu wypadło nam nawet znowu liny użyć, ale ostatecznie dużo znam w Tatrach trudniejszych przejść, które się bierze bez pomocy liny, garścią jeno, jak mówią górale. Spuściliśmy się w ten sposób około pięćdziesięciu metrów na dół, poczem natrafiliśmy na zachodzik, umożliwiający trawers ku wschodowi pod grań Schwarzhornu. Minąwszy z trudem czarne, wodą ociekłe krzesanice, trawersowaliśmy dalej po bystro ściętych pokładach łupkowych, aż wreszcie dostaliśmy się znowu na śniegi, olbrzymiemi polami niezmiernie stromo się wznoszące. Teraz w górę brać się należało. Śnieg, rozmiękły na powierzchni od słońca, głębiej twardy był i zmarzły, tak że czekan szczękał po nim za każdem uderzeniem, jak po lodzie. Rąbaliśmy obaj z to-

warzyszem moim na zmianę — bo ręce mdlały od roboty, — posuwając się skośnie w ten sposób wciąż ku górze.

Dziwne to jest uczucie kiedy się tak, po godzinie mozolnego rąbania, stanie na chwilę i spojrzy naokół. Dopóki uwaga cała zajęta jest wybijaniem stopni w twardym śniegu, lub stawianiem nóg w ślady, ostrzem czekana zaznaczone, nie wie się nawet doprawdy, gdzie się jest. Stanąwszy jednak, spostrzega człowiek nagle, że jedynem jego oparciem są te dwa stopniegu wyrąbane, w które się wrył ostro podkutymi butami, i że na tych dwóch stopniach wisi poprostu w przestrzeni. Naokół śniegi, tak bystre, że, stojąc, bez nachylania można się dłooprzeć powyżej, śniegi w nieskończoną otchłań od stóp spadające, rozelśnione i drgające, prawie rozfalowane w tym słonecznym blasku. Po chwili nogi się zdają pod człowiekiem uginać, ma się wrazenie, że śnieg taje pod stopami i lada chwila trzeba będzie spłynąć w dół z tą ruchliwą falą—i oko z dziwnem utęsknieniem szuka nadbrzeżnych turni, i nogom pilno czuć już twardy grunt pod podeszwami... Dosyć! nie patrzmy! Czekan znowu zazgrzytał, zapomina się o wszystkiem krom tego, że trzeba rąbać i iść dalej.

Wreszcie pola śniegowe były już za nami. Z prawdziwą ulgą chwytaliśmy się zwietrzałej turni łupkowej, pnąc się kocim sposobem po głazach, aby się dostać na wyższe, grubym piargiem zasłane piętro. Trawersując śniegi, oddaliliśmy się nieco z pod samego szczytu, tak że mieliśmy teraz nad sobą poszarpaną grań, wyciągniętą między dwiema przepaściami wprost ku południu. Wiatr nas owiał zimny, gdzieś od grindelwaldskich lodowców lecący, kiedyśmy wreszcie stanęli na grani. Stąd mieliśmy już tylko niespełna dwieście metrów wzwyż do przebycia. Droga była pewna, szło się wprawdzie, a raczej wspinało się po głazach wciąż nad przepaściami, ale twardy łupek, tworzący wązką, zębatą grań, dawał doskonałe oparcie dla rąk i nóg. W pół godziny mniej więcej byliśmy na szczycie; blizko trzy tysiące metrów nad powierzchnią morza, a dwa tysiące czterysta nad Brienzkiem jeziorem, któreśmy poprzedniego dnia opuścili. Było właśnie samo południe.

Pierś oddychała lekko czystem i rozrzedzonem powietrzem; nad głową rozciągało się pogodne, ciemno-błękitne niebo, żadną chmurką nie zamącone. Towarzysz mój i towarzyszka rozłożyli się na dobrze zasłużony odpoczynek na

samym szczycie, pod niewielkim kopcem z kamieni, w którym berneński „Alpenclub“ umieścił blaszaną szafkę z termometrem, barometrem i księgą do zapisywania nazwisk; ja poszedłem nieco dalej, na ostatni cypel północny, zagięty jak orli dziób nad otchłaniami. Gdym się przechylił, widziałem tuż pod sobą wieczne śniegi, jak biały płaszcz od północy na Schwarzhorn narzucone (od strony południowej, na drodze, którą wychodziliśmy, po inne lata śniegów nie bywa); od wschodu bystro ścięte krzesanice opadały niemal pionowo ku szerokim halom w dolinie Reichenbachu. Dziesiątek małych stawów na zieleni łąk i widne z wyżyny żółte drożyny między szałasami pasterskimi;—stada krów wyglądały, jakby kto szczyptę płowego piasku zrzadka po zielonym suknie rozsypał...

A dalej — hen po krańce widnokręgu — rozfalowane morze szczytów—aż gdzieś po Jezioro Czterech Kantonów, przebłyskujące zdala wśród gór stalowo-sinem zwierciadłem. Z południa oko odbijało się od niebotycznej, granitowej ściany Wetterhornu, pod którą dwa tysiące metrów wysoki grzbiet Grosse Scheidegg wyglądał jak mały, podłużny kopczyk zielony, dziecięcemi rękoma urobiony dla zabawki. Dalej na prawo od

tej skrzesanej turni straszliwej wrzynała się w błękit białymi zębami potrójna piła Schreckhornu, a między niemi pod olśniewająco srebrnymi śniegami wisiał jak chmura nad czarną gardzielą wąwozu olbrzymi modro-szary lodowiec. Jedna jego odnoga, jak wąż błyszczący, schodziła niżej, spadając kaskadą nieprawdopodobnie błękitnych, spiętrzonych kłów lodowych aż w samą zieloną Grindelwalską dolinę. Dalej — znowu białe szczyty i lodowce, turnie posrebrzone, widziane tam, gdzie się zazwyczaj niebo tylko widzi, aż po błyszczącą w słońcu przejasną Jungfrau w oddali. A pod tem wszystkiem, na tle ciemno-zielonej doliny, jakby drobnych trochę kamuszków nad błękitną wstążką, rozsypane wśród lasów i łąk domy Grindelwaldu...

Około ośmiu kilometrów w powietrznej linji dzieliło nas od śnieżnych szczytów, ale dzięki nadzwyczajnej czystości atmosfery, przestrzeń ta znikała niemal zupełnie i trzeba było dopiero przebiec okiem równinę, policzyć lasy, łąki i potoki, aby sobie zdać sprawę z odległości... Każdą grań i turnię widać było tak dokładnie, każdą zawieszoną w jakiś nieprawdopodobny sposób na pionowych ścianach lawinę, wszystkie szczeliny w lodowcach, wyglądające stąd, jak drobne

zmarszczki na lśniącej powierzchni... A kiedy wiatr powiał, to zdawało się, że bezpośrednio, przed sekundą dopiero odbił się od tych gór ubielonych—i pierś wciągała go z dziwną, dziką rozkoszą, bo pachniał jeszcze przestrzenią, śniegiem i rozwieszonymi pod niebiem wodospadami.

Spojrzałem na dół. Tam w Grindelwaldzie mieliśmy nazajutrz wziąć przewodnika i iść ponad ten modry lodowiec, po skałach tych i przez te śnieżne pola na szczyt Wetterhornu, a potem, jeśliby pogoda sprzyjała, może i dalej, przez lodowce, na drugą stronę, do błogosławionej doliny Wallis, gdzie młody Rodan pośród winnic i brzoskwiniowych płynie ogrodów. Mimowoli patrzyłem po błyszczących lodach, jakby drogi przez nie szukając. I przypomniała mi się wycieczka moja na Jungfrau, coś dwanaście lat temu, kiedy jeszcze jako student w Bernie szwajcarskim bawiłem; przypomniały mi się przejścia przez lodowce błyszczące i zawrotne drogi nad przepaściami, rzeźwy wiatr od szczytów, smagający spalone czoło, i młode siły moje, i uczułem nagle, wiatrem i wspomnieniem pijany, tę dawną, zagubioną, wielką, młodą, szumną radość życia... Pierś mi się wzdęła dawnym, szerokim okrzykiem, wyprężyłem ramiona — tam —

ku górom, ku górom! silny, radosny, szczęśliwy i wolny tak po dawnemu! A słońce południowe grało tymczasem po śniegach i rozświetlało wszystkie szczyty na błękitnem niebie aż gdzieś w dal nieskończoną!...

Poczułem się wolnym, naprawdę wolnym w tej chwili.

NA GEMMI JESIENIĄ

1907

Jakaś nieodparta, nagła żądza samotności wygnała mnie w góry o tym czasie, kiedy już pasterze dawno zeszli z hal a w dżdżyste poranki śnieg regle okurza... Ale, gdym o świcie wyjeżdżał z Bernu w stronę Alp, pogoda była przecudna: słońce czerwone wychodziło gdzieś z za lasów, pozłoconych światłem i jesienią; poczynał się jeden z tych chłodnych a jasnych, przepięknych dni ostatnich październikowych, jakie prócz Polski znają chyba tylko kraje alpejskie...

Nie wiedziałem jeszcze, dokąd pojadę. Kupiłem bilet do Thun, bilet trzeciej klasy naturalnie, gdyż w pełnym alpejskim rynsztunku, z ciężkim czekanem, z żelaznymi raczkami na wyładowanym plecnym worku, w zniszczonej bluzie pod serdakiem i w butach, kutych za-

dzierżystymi gwoździami tyrolskimi—trudno się rozsiadać na suknem obciągniętych kanapach wagonu—i, patrząc przez otwarte okno na słońce wschodzące, myślałem dopiero, jak sobie dzień urządzić. Pociągała mnie jazda w jesiennem słońcu przez Thuńskie i Brienzkie jezioro myślałem o Meiringen i drodze przez Grimsel śladami młodej, hucznej Aary na drugą stronę aż do źródeł Rodanu, ale żal mi się zrobiło czasu, którybym w takim razie musiał jeszcze przesiedzieć w wagonie czy na statku, i wybrałem ostatecznie bliższą drogę, doliną Kandery w górę aż pod przełęcz Gemmi... A potem — jak czas i pogoda pozwolą.

Kolej żelazna, odbijając się w Spiez na południe od brzegów Thuńskiego jeziora, kończy się we Frutigen, mniej więcej w połowie dwadzieścia kilka kilometrów długiej doliny, którą szumiąca Kandera w wodospadach przepływa. Wyjechałem z domu bez planu, pociągi źle mi się składały, tu i ówdzie czekać musiałem, tak że było już po dziesiątej, gdy we Frutigen wysiadłem. Można, a nawet należało było dla oszczędzenia sił i czasu wziąć tutaj powóz lub pocztą się udać do Kandersteg, gdzie dolina się kończy, olbrzymiem piętrem gór-

skiem zaparta. Zbyt mnie jednak nęcił ruch na świeżem, jesiennem powietrzu, wwaliłem więc worek na plecy i ruszyłem w drogę piechotą.

Zboczyłem z bitego gościńca i szedłem bocznemi ścieżkami, przecinając często budujący się właśnie tor kolejowy, który ma wieść z Frutigen do Kandersteg, a potem dalej, tunelem popod Lötschberg na włoską stronę w dolinę Rodanu. Włoscy robotnicy, mimo niedzieli, pracowali tu i ówdzie około nasypu, na którym po tymczasowo założonych szynach toczyły się już leniwe pociągi z kamieniami i żwirem. Na łąkach, ponad potokami obrosłymi żółknącą leszczyną i berberysem o czerwonych jak krew jagodach, zberczały nieustannie dzwonki bydła, z górnych hal na zimę w doły już spędzonego...

Minąłem wioskę Kandergrund, a potem Felsenburg, dziwną, jakby z bajki ruinę zamku, na skalnym cyplu wśród alpejskich sosen uczepioną, i lasem począłem się piąć bystro w górę na najwyższe piętro doliny. Gościniec zatacza tu liczne serpentyny; ja szedłem ścieżką tuż nad brzegiem w bujnych wodospadach z hukiem skaczącej Kandery. Pnąc się tak w górę

po wilgotnych, oślizgłych głazach w leśnem półzmroczu, miałem chwilami wrażenie, że się znajduję w Tatrach, gdzieś w dolinie Roztoki lub Zimnej Wody... Jesienny, górski chłód zalatywał od spienionego strumienia i z głębi lasu, niosąc zapach zeschłych liści i butwiejącego igliwia.

Poprzez gałęzie drzew, wysoko na niebie czerniły się jodłą porosłe regle, a nad niemi, obok łysych skalistych czół, wisiały pożółkłe hale, czekające już tylko na pierwszy zimowy śnieg... Poglądałem mimowoli, czy na stromej ścieżce przedemną nie ukaże się smukła postać w serdaku i obcisłych białych holeśniach i nie zagadnie tak po naszemu: Dobre połednie! — a kany to idom?...

Złudzenie pierzchło jednak rychło, gdy tylko z lasu wyszedłem. Szeroka, płaska równina, między płotami łąki zielone, kasztany i włoskie orzechy około schludnych domków szwajcarskich, obok gościńca murowane kamienice, hotele... A nad tem wszystkiem urwista, zębata piła szczytu Birre, wysoko ponad czarne lasy stercząca. Dochodziłem do Kandersteg, najdalej na południe wysuniętej osady w dolinie, leżącej z górą 1,200 metrów nad powierzchnią morza.

Świat tu już plecami o najwyższe góry oparty, przez które, oprócz błędnych szlaków po lodowcach, jedna tylko ścieżka wiedzie — na przełęcz Gemmi i potem w dolinę Rodanu. Świeży nasyp kolejowy przechodzi tutaj dwukrotnie Kanderę tymczasowymi mostami z okrąglaków i na prawym brzegu kończy się nagle pod skałą, jakby głową w mur uderzył. Liczne baraki rozsiadły się tutaj, i założono już ogromne świdry, elektrycznością pędzone, które mają górę przewiercić...

Była dość wczesna godzina popołudniowa, kiedy, minąwszy do miasteczka podobną wieś, dochodziłem do ostatnich hoteli, położonych w samym końcu doliny tuż pod bystrą zboczą gór. Jeden z nich był już zamknięty na zimę, drugi świecił pustkami po skończonym letnim sezonie, oczekując gości zimowych, którzy się zjadą dopiero z nartami i saneczkami, kiedy śniegi puszyste pokryją całą dolinę...

Mogłem się był tego dnia jeszcze puścić na Gemmi, licząc na nocleg w schronisku nad stawkiem Schwarenbach w połowie drogi na przełęcz; nie wiedziałem jednakże, czy schronisko jeszcze otwarte, a ponieważ na spędzenie nocy pod gołem niebem byłoby stanowczo

za zimno, wolałem w Kandersteg pozostać. I tutaj dopiero, siedząc przy szklance czerwonego wina, którą mi czarnooka włoszka podała, zacząłem układać plan zamierzonej włóczęgi.

Miałem początkowo zamiar, przeszedłszy przez Gemmi, iść w górę doliną Wallis, a potem przez przełęcz Grimsel do Meiringen nad Aarę, okrążając w ten sposób całą Berneńską wysoczyznę; ale zapachniał mi zanadto zblizka ostry wiatr od lodowców i białe szczyty nad nimi, abym mógł ten „ceperski" plan wykonać. Spacer na Gemmi żal mi było opuścić, postanowiłem jednakże, nie przechodząc na włoską stronę, powrócić stamtąd i iść przez lodowiec Kandery i na Mutthorn do Lauterbrunnen...

Opętane szesnaście godzin drogi!.. Przewodnika wynaleziono mi w hotelu. Przyszedł umówić się ze mną pan Müller, będący zarazem nauczycielem wiejskim, z górą pięćdziesięcioletni niewielki człowieczek o siwych, bystrych oczach i szerokiej brodzie. Przyprowadził ze sobą syna, ogromne, gołowąse chłopisko, którym się teraz coraz częściej wyręcza w oprowadzaniu po górach turystów. Umówiliśmy się tedy na wtorek (było to w niedzielę); w razie

pogody miał Herr Müller junior przyjść po mnie o trzeciej rano, a raczej w nocy, do hotelu... Tymczasem ojciec radził mi, abym się nie męczył i nie gonił, idąc na Gemmi... Przyrzekłem uroczyście zastosować się do jego rady.

W poniedziałek wyszedłem mało co po szóstej rano. Ścieżka, a raczej drożyna wznosi się tuż za hotelem bystro w górę, wiodąc w licznych skrętach, „in den Kehren“, na wyższe piętro doliny, o siedemset metrów ponad Kandersteg wyniesione. Pnąc się tymi zakosami wśród lasu z sosny i modrzewia, uwieszonego na nieprawdopodobnie stromem urwisku, dziwiłem się, jak taką drogą stromą, w ostre kąty połamaną i wijącą się wciąż, jak wąż, nad przepaściami, mogą chodzić konie! A przecież chodzą rzeczywiście, nie tylko w jukach i pod siodłem, ale nawet w zaprzęgu, ciągnąc maleńkie, dwukołowe wózeczki, które posiadają osobną nazwę: Gemmiwägeli. W każdym razie nerwowym damom nie radziłbym tej jazdy próbować.

Około siódmej widno już było na świecie. Dzień się poczynał jesny, cudny. Mgły zwaliły się w dół i płynęły doliną Kandery gdzieś ku Thuńskiemu jezioru, odsłaniając zwolna zielone

łąki, tem żywiej od pożółkłych zboczy gór odbijające. W lesie na ziołach dawno przekwitłych rosa leżała bujna, ciężka, srebrnym tumanem pod wstający świt się błyszcząca. Świeżość była dziwna w powietrzu, niemal wiosenna, a jednak czuć było w każdym oddechu, nawet na żółte trawy nie patrząc, że to już jesień...

Jesień, która z najwyższych szczytów gór, idącej zimy zwiastunka, powoli spływa po halach zielonych i złotem je maluje, płynie po lasach, strąca z nich liście i ponad szerokiemi dolinami z mgłą się cichą już waży... Jeszcze kwitną nikłe, liljowe ziemowity, poglądając ku niebu blademu poprzez ogołocone z liści gałęzie drzew, jeszcze po kępach traw złotego słońca jest trochę, ale tam w górze—na szczytach, na lodach, zima już nabrzmiewa, zawisła na krawędzi skał i czeka, gotowa stoczyć się w dolinę...

W dwie godziny niespełna wydostałem się na tak zwane „piętro“ (Stock), gdzie droga przeciska się wązką galerją między przewieszonemi krzesanicami Gellihornu, a wąwozem Czarnego Potoku (Schwarzbach). Przepaść poczyna się tuż pod nogami, a ponad nią, ponad wierzchoł-

ki jodeł, cudem jakimś uczepionych u pionowej skały, otwiera się szeroki widok na wnętrze doliny Gastern i lodowe szczyty w oddali. Szary blask leżał tam dopiero między turniami, na zielonych lasach i przebłyskującej wśród nich srebrnej strudze Kandery.

Zrobiłem tutaj ze ścieżki parę zdjęć fotograficznych, wszystkie jednak słabo wyszły z powodu niedostatecznego światła, które nie podkreślało jeszcze cieniami rzeźby gór, znacząc zaledwie szerokiemi plamami ciemny płaszcz lasów na pobielonych dniem i śniegiem skałach.

To wnętrze doliny alpejskiej, jakby czarodziejstwem jakiem na skręcie ścieżki pokazane, znikło za chwilę, zakryte turniami, na których się wspiera olbrzymi Altels, kolos z granitu i lodu... Jak gdyby po kolanach tego siedzącego olbrzyma, ciągnęła się teraz przede mną dolina, wiodąca aż pod przełęcz. Dziwna dolina, w przedniej części płaska prawie zupełnie i pusta, zasypana drobnym odtokiem, po którym płynie leniwo potok kilkoma ramionami. Gdyby nie ta pustka straszliwa, jesienią jeszcze wzmożona, i gdyby nie lodowce, gdzieś pod niebem wiszące, miałoby się wrażenie, że

się jest gdzieś w Podkarpaciu, nad spokojnie rozlanym po kamykach strumieniem.

Zazwyczaj w lecie spotyka się tutaj całe gromady turystów i kupców, idących z nad Rodanu, teraz byłem zupełnie sam na całej ogromnej przestrzeni. Wązka, bita drożyna wiodła mnie po kamieniach albo pod niewysokiemi ścianami skalnemi, co sterczały z gruzu i zwietrzałego drobnego piargu...

Dopiero na wysokości tysiąca dziewięciuset metrów zobaczyłem znowu las i zieleń, smutną, jesienną zieleń alpelskiej hali, co niedawno dopiero wyszła z pod śniegu i ledwie miała czas okwitnąć wszystkimi kwiatami swoimi, a żółknie już od chłodu, nim nowy śnieg ją zawieje. Kilka szałasów stało tu, już opuszczonych, a nad nimi, na niewysokiej skalistej wyniosłości, przedziwny las z czarnych limb i płomienno-żółtych jesienią modrzewi... Ułożyłem się nieopodal na odpoczynek, w jasnem, ale mało grzejącem już słońcu.

Widok ku górze zamykało mi nowe skalne piętro; ku dołowi za to, za zieloną Spitalmatte (tak się owa hala nazywa) i za rozstępującymi się garbami gór błyszczała przede mną wspa-

niała grupa Oeschinen z białą Wdową (Witwe, 2,865 m.) pośrodku. Chmury zbierały się tam zwolna nad szczytami, skłębione białe obłoki, które zrywający się wiatr zwijał, to znowu rozpędzał... W wietrze chłód dojmował coraz dotkliwszy, lasy również poczęły sypać złotemi iskrami uwiędłych cetyn modrzewiowych. Czas było iść dalej, bo lada chwila mogły się zebrać mgły i nakryć przełęcz nieprzeniknionym tumanem.

Droga wznosiła się teraz bystro w górę. Wązkim przesmykiem między olbrzymimi, spiętrzonymi głazami wydostałem się ponad stawek Schwarenbach, a raczej nad lejkowatą, trójkątną kotlinkę, z której wodę wypiły do dna jesienne posuchy. W murowanem, piętrowem schronisku nad kotliną okna już były po większej części deskami na zimę zabite, ale mieszkał tu snadź ktoś jeszcze, bo z pod progu przywitało mnie zajadłem szczekaniem ogromne, wpółzdziczałe w samotności psisko. Widocznie serdak mój, kudłami do góry wdziany, tak psa rozdrażnił, że z wielką trudnością tylko zdołałem mu się opędzić. Biegł za mną jeszcze kawałek drogi, szczekając, a gdym przystanął, zatrzymywał się i śledził ostrożnie złemi, za-

krwawionemi oczyma ciężki czekan w mojej ręce...

W niespełna godzinę byłem już na ostatniem, najwyższem piętrze... Tutaj pod samą przełęczą, w niesłychanie dzikiej i martwej kotlinie, pomiędzy wiszącymi już blizko na skałach lodowcami, na wysokości dwóch tysięcy dwustu przeszło metrów rozlewa się ogromne i ciche jezioro Daubensee... Do połowy leżał na niem jeszcze stary, przeszłoroczny lód, w którego brudnej powierzchni wody potoków, spływających z gardzieli Jagnięcego Lodowca (Lämmergletscher), wyżłobiły szerokie brózdy. Miałem wrażenie, że znajduję się w jakiejś podbiegunowej okolicy...

Ogromne głazy siedzą tu nad cichem, wpółzamarzłem jeziorem, już tak blizkiem szczytów śnieżystych, tuż pod skrzelami wiecznych lodowców rozlanem. Zieleni nigdzie ani śladu, skąpe trawy, które słońce w szczelinach między kamieniami wywołało, zeschły już snadź od jesiennych przymrozków, i wiatry przelatujące tędy od morza Północnego na Adryatyk, dawno już proch ich po świecie rozwiały... Śniegi za to, nowe śniegi słać się już tutaj zaczynają.

Nad wodą skały jeszcze czarne, ale dwadzieścia, trzydzieści metrów wyżej srebrzą się już turnie, srebrzy się już grzbiet sino-szarego lodowca, każda szersza i od słońca słabego odwrócona powierzchnia lodu czy skały okwita białym, drobnym, iskrzącym się puchem, który, im wyżej, tem śmielej i gęściej kontury gór osłania, aż wreszcie pod niebem zlewa się z nieprzeniknioną, wieczystą śniegów oponą...

Odwróciłem się. Poza mną była cała przebyta górna dolina, rozległe, olbrzymie cmentarzysko spiętrzonych głazów, wśród których, jak kępka mchu, sterczały w dali czarne wierzchołki limbowego lasu, tu i owdzie, jakby kwiatami, złotem wiednącem modrzewi przeplatane... A dalej jeszcze zalśnił mi jakiś zakręt potoku, już prawie przed samą bramą doliny, z poza której, nad białym tumanem wstającej mgły, sterczało potrójne czoło górskiej grupy Oeschinen...

Droga moja wiodła teraz na lewo od jeziora, wznosząc się po kamienistem zboczu zwolna ku przełęczy. Tuman mgły przewiał koło mnie, lecąc z gór gdzieś ku dołowi, zwalił się na jezioro, u stóp mych leżące, i zatarł na chwilę brzeg jego północny, czyniąc z górskiego

stawu dziwną arktyczną zatokę niezmiernego morza, z którego odległe szczyty sterczały, jakby ostrowy kamienne... Nim jednak stanąłem na przełęczy, było znów jasno...

Minąłem ogromną gospodę, hotel, na samem siodle postawiony, tuż pod podwójnym zębem skały, nad przełęczą górującej... Żywy duch się nie ozwał, nawet szczekanie psa mnie nie przywitało. We wszystkich oknach pozamykane okiennice, drzwi zaparte na żelazne wrzeciądze,—pustka zupełna...

Stanąłem na samej przełęczy, pod nogami memi znagła otwarła się — przepaść! Miałem to wrażenie, jak kiedy w Tatrach wchodzi się od strony spiskiej na Przełęcz Międoszuwiecką i znagła staje się nad otchłanią, ku Podhalu otwartą. Jeno tutaj, zamiast błyszczącego Morskiego Oka w dole i wyciągniętej poza niem Doliny Białki, patrzyłem z urwiska na ukryte wśród lasów, dziewięćset metrów poniżej mych stóp leżące Loèche-les-Bains i na błękitną wstęgę potoku Dala, wpadającego przed oczyma memi do Rodanu. A za Rodanem, za zieloną, o jesieni jeszcze nie więdnącą doliną Walizyjską, tam, gdzie stojącemu na przełęczy Międuszowieckiej wykwitałoby nikłe pasmo Pienin,

dalekim widnokręgiem przewyższone, tam rosły przede mną największe olbrzymy alpejskiego lądu, od Mont Cervain aż po Mont Blanc na zachodzie... Słońce stało nad temi górami, jesienne południowe słońce, rozświetlające opalowo dalekie lodowce, w lekkiej spowite śreżodze. Cisza była niepojęta na świecie...

Niepodobieństwem się wydaje, aby jakaś inna droga, oprócz karkołomnej ścieżki, mogła wieść z tej przełęczy w dolinę Rodanu, a przecież spada tutaj z pionowej niemal skały w wężowych zakrętach w kamieniu po większej części kuta, stara drożyna, nie tylko dla pieszych, lecz także dla koni i wspomnianych już „Gemmiwägeli" dostępna. Kusiła mnie ta droga i białe domy Loèche-les-Bains z góry widziane i zielona dolina Rodanu, i kto wie, czy mimo umowy z przewodnikiem nie byłbym się spuścił na tamtą stronę, gdyby mi w słońcu, kiedym stał już na pochyłości, nie był zaświecił z poza szczerbatych turni blizki, falą zimnego światła rozlany Lodowiec Jagnięcy... Orły krążyły gdzieś nad nim dwa, ogromne i krakały, ważąc się w powietrzu i blasku słonecznym...

Podszedłem, pnąc się wzwyż po skałach z godzinę, pod sam zrąb jego olbrzymi, ale stąd

trudno się już było dalej zapuszczać. Żałowałem, żem w Kandersteg zostawił raczki, bo dnia było jeszcze dosyć i można było od biedy wpełznąć jeszcze na lśniący grzbiet olbrzyma, chociażby nocą potem przyszło powracać... Stare, wychłechtane podkucia butów jednak ślizgały mi się już po omarzłych skałach nad przełęczą, bez raczków niepodobna się w nich było puszczać na lody... Pocieszałem się więc tylko, wracając, myślą o następnym dniu...

Tymczasem ten następny dzień nie zapowiadał się zbył świetnie. W powrocie już, ledwo minąłem Daubensee, chwycił mnie wiatr i dął bez przerwy całe popołudnie. Nad szczytami gromadziły się wilgotne, postrzępione chmury, nie wróżące nic dobrego. Jakoż zaledwie zaszedłem do mego hotelu w Kandersteg, gdy począł padać drobny, zimny deszcz. Ustał wprawdzie przed wieczorem i w nocy wypogodziło się nieco, ale wiatr zerwał się znowu, przysłaniając księżyc na chwilę kłębami chmur.

Kiedy wstałem nazajutrz o trzeciej z rana, wicher halny szalał nad Alpami. Wobec takiej pogody zamówiony przewodnik nie przyszedł i mnie nic nie pozostawało, jak zdrzemnąć się jeszcze... Nie mogłem jednak spać i zaledwie

dzień począł świtać, zarzuciłem worek na ramiona i ruszyłem w dół...

Około siódmej z rana pogoda poprawiła się nieco, nastała nawet chwila względnej ciszy. Nie łudziłem się, aby miała trwać długo, w każdym jednak razie trzeba było wyzyskać tę przerwę, aby nie tracić zupełnie dnia, ostatniego już może przed zimą...

Skręciłem więc z powrotnej drogi na prawo, aby za biegiem potoku, u stóp wspomnianej już Birry do Kandery wpadającego, dostać się nad jezioro Oeschinen, rozlane tuż pod skrzesanemi pionowo turniami, na których się piętrzą lodowce Blümlisalp, jak płaszcz, ze stoków Białej Pani i Dzikiej Pani spływające. Stąd możnaby było znaną mi już drogą wzdłuż północnej krawędzi lodowca przedostać się na podniebną przełęcz Hochtürli między granią Oeschinen a Dziką Panią (Wilde Frau), a potem w dół, w lesistą dolinę Kienthal... Jednak nie było mi już widać sądzono dotknąć w tym dniu nogą śniegów wieczystych...

Początek drogi miałem cudowny. Nad jezioro wiedzie z Kandersteg ścieżka wygodna wśród lasów i młodych zagajników z nieznacznem tylko wzniesieniem, wiatr był ustał chwi-

lowo, słońca wyglądało z za obłoków, gdzieś wysoko ponad szczytami płynących... Jakaś dziwna uroczysta poświętność była w powietrzu, jesienna i słoneczna zarazem, i cisza, przerywana jeno monotonnym szumem spadających z pod Doldenhornu wodospadów...

Niedługo to jednak trwało. Zaledwie stanąłem na skalnym wale, trzymającym jak grobla staw Oeschinen na uwięzi, gdy nagłe uderzenie wichru załomotało wśród konarów odwiecznych smreków nad wodą. Widne białe szczyty na niebie poczęły się w oczach ćmić mgłą, niewiadomo skąd powstającą... Zaledwie miałem czas, korzystając z chwilowej przerwy między uderzeniami wichru, zrobić zdjęcie fotograficzne, gdy niemal cały świat zatonął w szarym tumanie...

Wcisnąłem się gdzieś pod korzenie smreka, z omszałego głazu zwieszone nieopodal szczękającego w wietrze pustego schroniska i przeczekałem tak pierwsze, najgwałtowniejsze uderzenie burzy. Po jakimś czasie uspokoiło się nieco, i góry, dziwne, groźne i ogromne, poczęły znów przez mgłę majaczyć. Owinąłem się szczelnie gumową peleryną, stary, od paru lat po górach ze mną latający tyrolski kapelusz naci-

snąłem na oczy i ruszyłem w górę ścieżką, pnącą się po skałach na północnym brzegu stawu. Przecinałem żleby, świeżą wodą deszczową huczące, szedłem popod zawieszonemi nad głową turniami, mając prawie ciągle tuż pod stopami zmąconą powierzchnię jeziora, przebłyskującą za każdym krokiem niżej pomiędzy gałęzie uczepionych na pionowej skale świerków. Czasem miałem wrażenie, że idę po galerji, jak balkon, w wysokości jakichś dwustu metrów nad wodą wysuniętej, to znowu wchodziłem na małe pólka piargu, pomiędzy czarne i w tył cofające się skały wciśnięte.

W miejscach zakrytych i na załomach skał czekał na mnie wiatr. Spotykałem się z nim, jak z czatującym wrogiem; napadał na mnie nagle, znienacka i z całą dziką zawziętą potęgą targał za płaszcz nad przepaścią, uderzał w twarz i w piersi, rzucał się zmiennym, niespodziewanym ciężarem na wyładowany worek na plecach i trzeba było mocno nogi rozstawiać, chylić się i całe ostrze czekanu wbijać w skalisty grunt, aby podołać jego naporowi i nie zlecieć tam w dół, gdzie z rykiem a chichotem przewalał się po odartych wierzchołkach drzew ku zamglonej toni wody.

W dolinie potoku, z lodowca Blümlisalp spływającego, szerzej mi było i zaciszniej. Minąłem pożółkłe, nieco wyżej świeżym śniegiem już przyprószone hale i szałasy Oeschinen i wzdłuż potoku począłem się wydostawać na skalny zrąb ponad lodowcem, kiedy nowe a od wszystkich poprzednich gwałtowniejsze uderzenie wichru rzuciło mną niemal o głazy. Przysiadłem na ziemi, wczepiwszy się palcami w szczeliny lodowatej skały, zapomniałem już prawie, gdzie i po co idę, to jedno tylko mając na myśli, że trzeba się trzymać, bo jedna chwila nieuwagi to śmierć na tych błyszczących lodach pode mną. A wicher halny hulał tymczasem po świecie. Oderwane gdzieś w górze głazy załomotały w skalistym żlebie, zdawało się, że turnie drżą pod nogami, i ucho dziwnem złudzeniem chwytało niemal szczęk łamiących się pod naporem wichru lodowców. Kilkakrotnie próbowałem jeszcze powstać i iść dalej w górę, ale po pewnym czasie musiałem dać w końcu za wygraną. Zabrałem się do odwrotu, korzystając z chwilowych przerw w nawałnicy, aby się posuwać jak najszybciej ku dołowi. Na galerji ponad jeziorem miałem jeszcze ciężką przeprawę z wiatrem, który mi się walił całą mocą na plecy

i uginał nogi, na oślizgłych głazach wsparte, ale były to już ostatnie jego wysiłki.

Kiedy minąłem staw i począłem schodzić ścieżką ku Kandersteg, wicher ustał, a natomiast puścił się drobny, przejmujący, ze śniegiem zmieszany deszcz. Gór nie było widać zupełnie, drzewa w zaledwie widocznych zarysach majaczyły przez tuman jesiennego dżdżu. Zaniosło się na kilka dni, na kilka tygodni może. Trzeba było wracać do domu.

TARANTELLA

1908

Są pewne wspomnienia, które prześladują pamięć w tak dziwny i uporczywy sposób, że sam człowiek nie może zrozumieć, co im tę nadzwyczajną moc trwania nadaje, tę jakąś młodość wieczystą, iż powracają ciągle jednakowo żywe, a nawet w miarę upływu czasu żywsze, niźli były w pierwszych dniach... I to dziwna, że są to czasem rzeczy przypadkowo przeżyte, bez znaczenia na pozór, bez żadnego zgoła związku z resztą życia, który mógłby im nadać tę trwałość wyjątkową. A jednak nie giną, choć tyle ważniejszych zdarzeń i wypadków w toń zapomnienia pada, chociaż mgłą oddalenia pokrywa się tak wiele z tego, co niegdyś wydawało się wieczystem i niezapomnianem: szczęście, ból, miłość...

I dzisiaj niejasno już tylko uprzytomniam sobie w szczegółach ten stan psychicznego roz-

stroju, z obłędem prawie graniczący, który gnał mnie przez parę lat po Europie, każąc mi szukać w wiecznym niepokoju jakiejś Ziemi Obiecanej, nierzeczywistego jakiegoś kraju Lotofagów, gdzieby człowiek zapomniał o własnem istnieniu. Mam tylko wrażenie, że jest poza mną jakiś sen ciężki, duszny i gorączkowy, w którym wszystko, co było, we wspomnieniu w dziwny chaos się stapia... A jednak mam kilka wspomnień z owego czasu, nie wiadomo dlaczego tak żywych i jasnych.

Na przykład jeden dzień spędzony na Capri. Nawet pół dnia właściwie i nocy część...

Był to czas, kiedy, wyjechawszy z Neapolu, włóczyłem się piechotą w okolicach Wezuwjusza i po półwyspie sorrentyńskim. I pewnego ranka, mając oczy jeszcze pełne umarłego miasta Pompei i z góry, ze szczytu krateru widzianego morza, po którem białe obłoki pływały na równi z wyspami, znalazłem się w Sorrento, tak prawie przypadkowo, jak liść wiatrem rzucany pada na gościniec, albo na łąkę, lub w ogród kwiecisty...

Przyszedłem drogą od Castellamare di Stabia, wśród kasztanowych lasów i winnic nad morzem się wijącą i siedziałem w jakiejś osterji

przy szklance ognistego wina. Tam — gdzieś — na świecie jesień już pono była późna, pono śnieg już prószył w ojczystym kraju moim; tutaj słońce paliło gorące i jeno po złotych liściach winogradu poznać było można spóźnioną porę. Na morzu cichem leżała jakaś nieuchwytna śreżoga, pełna blasku słonecznego, złota, błękitu i zadumania, niby sen jasny, spowijający świat, iżby się jeszcze piękniejszym wydał oczom tęskniącym.

Miałem się w Sorrento zatrzymać dni kilka, ale przyszła mi nagła ochota jechania na Capri. Nie czekałem statku; nawinęła się barka z dwoma wioślarzami: kazałem im się wieść przez ten błękit wód i powietrza ku siniejącej wyspie w oddali...

Było około południa — może później nieco, kiedym wylądował w Marina Grande i nie zwłócząc, jezdną drogę ominąwszy, puściłem się w górę stromą ścieżką wśród winnic ku miastu... Słońco stało właśnie nad Monte Solaro gorące,—rozpalone na błękicie słońce południowe, od Afryki kędyś żarem bijące, w którem złocił się liść winogradu i lśnił barwami drogich kamieni.

Na placu, przed schodami kościoła San

Stefano, kupiłem fig nieco dojrzałych i grono winne o jagodach złotych jak słońce, a tak obfite, że w dłoni rozwartej zmieścić mi się nie mogło i opadało między palce toczonemi z bursztynu perłami.

To było moje śniadanie. Strach mnie przejmował na myśl, że aby się posilić, trzebaby teraz wejść pod dach, do dusznej izby i mówić z uśmiechniętym, wypomadowanym służącym we fraku...

Minąłem miasteczko i ruszyłem prosto w stronę na fort zamienionej Certozy, na drugi brzeg morski. Zalśniła mi znowu w oczy szafirowa zatoka z kilkoma suwającemi się po niej sennemi łodziami w stronie Marina Piccola, co widniała w dole, poza ruinami zamku na Castiglione... Droga pode mną była biała, zapylona; tu i ówdzie z małych ogródków przed domami strzelały wśród szarych oliwek mięsiste, kolczate liście agaw i opuncji. Zeszedłem na ścieżkę jakąś, ledwie znaczną miejscami, co wiła się po krawędzi skał tuż ponad morzem, rozlanem tam nizko w dole cichą płaszczyzną.

Sam byłem zupełnie. Cząbry spalone w słońcu pachniały i kępki pożółkłej, rzadkiej trawy o ostrej woni macierzanki. Wlokłem się tak

przez pewien czas, bez myśli, bez celu, rozkoszując się po prostu tem, że żyję, że słońce pali i morze lśni i pachną na skałach zioła zeschnięte... Miałem dziwnie radosne uczucie lekkości i swobody: nie było mi pilno do nikąd, nie chciałem niczego. Czasem jeno—na jedno mgnienie oka — przypominał mi się ból mój, który mnie wygnał bezdomnego szukać po świecie niezniszczalnych ukojeń, ale wspomnienie to przemijało rychło, roztapiając się w nastroju dziwnej beztroski.

Czasami łzy mnie w gardle dławiły, ale Bóg świadkiem, że były to jedyne łzy w mojem życiu nie z żalu za szczęściem straconem, czy nie osiągniętem, ale gdzieś z głębi słońcem ukołysanej duszy bijące — jeno dlatego, że świat jest tak piękny i morze tak szerokie i taka dobra, złota cisza jest na świecie, na morzu, na duszy... Chłonąłem blask i barwy oczyma, tak jak usta wino chłoną najsłodsze i czułem, że oczy moje stają się pijane.

Nie wiem jak ani którędy dostałem się po pewnym czasie na przylądek Tragara. Ptaki jakieś białe obsiadły w dole dwie wyniosłe skały z morza sterczące, sławne Faraglioni, które są tak piękne, że obrzydzić ich człowiekowi nie

zdołają nawet liczne ich obrazy i kartki z widokami, do naprzykrzenia wszędzie pokazywane. Woda była szafirowa, cicha, głęboka, zaledwie widoczną srebrną pianą u stóp skał obrzeżona. Słońce nachylało się już zwolna ku zachodowi i złociło gorącym blaskiem pionowe ściany tych dwóch turnic, rzucając poza nie granatowy cień na morze.

Znużony już byłem skwarem i pragnienie poczynało mi dokuczać; nie chciało mi się jednak piąć w górę do gospody na szczycie przylądka stojącej.

Zeszedłem już był dawno ze zwykłej drogi, którą forestjerzy chodzą; teraz posuwając się dalej południowo-wschodniem wybrzeżem, pogubiłem nawet te niewyraźne ślady kozich perci, które mnie dotąd wiodły po skałach. Mogłem mieć złudzenie, że znajduję się w jakimś kraju niezamieszkanym, na dziwnej pustyni, złożonej ze skał nagich i zmorza, co okazywało się co chwila tam w dole oczom moim między załomami czerwonego kamienia, wśród dziwnie spiętrzonych turnic, w wyrwach pionowo opadających. Czasem wawrzyn o lśniących liściach wystrzelił z głazu przed oczyma mojemi, a czasem przypominała mi o blizkości ludzi jakaś nędzna

oliwka, pracowicie między kamieniami ogrzebana, lub łódź, przesuwająca się po szafirowej zatoce, z góry do maleńkiego chrząszcza o długich ruchliwych nogach podobna.

W pewnem miejscu szeroki zielony wąwóz opadał w dół aż ku morzu. Nie myślałem zrazu o tem, dokąd wiedzie, ale pragnienie dręczyło mnie już tak straszliwie, że postanowiłem zejść nim i szukać, czy tam gdzie pod puszystą trawą nie znajdzie się kropla słodkiej wody. — Oliwki i wawrzyny gęsto wąwóz zarastały, a był on tak stromy, że, idąc, między gałęziami najbliższych, poniżej stojących drzew widziałem już morską toń szafirową. Ten ciągły widok wody — dalekiej — potęgował tylko we mnie palące uczucie pragnienia...

Obłoki tymczasem lekkie poczęły z morza wychodzić na niebo i rozsypywały się po niem ubarwionemi nizko już chylącem się słońcem piuropuszami. Poglądałem ku nim łakomie, myśląc o deszczu, któryby odświeżył wargi moje spieczone. Źródła bowiem nigdzie nie było. Miałem już tedy po próżnych poszukiwaniach nawrócić w górę z powrotem, gdy naraz i niespodziewanie znalazłem się przed wejściem do groty, kędy niegdyś stał ołtarz

Mithry, poświęcony bogu słońca niezwyciężonemu...

Wilgotny, głuchy cień pod kamiennem sklepieniem, na gruzach rozsypanych filarów... Stopni znać jeszcze kilka, po których się ongi pono ku tronowi jasnego boga wstępowało, co przybył ze Wschodu i stał tutaj promienną twarzą ku wschodzącemu słońcu zwrócony, patrząc na morze srebrne i błękitne i na majaczący brzeg sorrentyńskiego półwyspu w oddali. Ziela nieco bujnego rosło u wejścia do groty: liść jakiś akantowy i zeschłe, szeleszczące w powiewie badyle.

Rzuciłem się tutaj na wilgotną ziemię, korzystając z cienia i chłodu i leżałem tak długo— z oczyma pełnemi blasku morza, zlekka teraz rozkołysanego. Cisza ogromna osiadła na świecie, jakaś odludna, boska cisza niezmierzona, w którą człowiek zasłuchany po chwili zapomnienia pyta się znagła, jakby ze snu się budząc, skąd się tu wziął? i czy to prawda, że był wczoraj gdzieindziej? czy to prawda, że w ogóle było jakieś wczora i może być jutro? Wczora— z całym bólem życia, z gryzącym żalem za niepowrotnemi rzeczami, z troską, ze smutkiem?— i to jutro zawsze blizkie i dalekie i zawsze nieznane? — A potem już nawet myśleć się prze-

staje, traci się nieszczęśliwą zdolność człowieczą odczuwania zmian, czasu, przestrzeni. Wszystko jednością jest i zakrzepłą na wieczność chwilą... O, Mithro...!

Mędrcy na Wschodzie bogostanem nazywają ten zachwyt duszy.

Aż owad przelatujący zabrzęczy, zaszeleści liść wiatrem rzucony, kamień stuknie kędyś ze skały spadając—i w jednym momencie świat zastanowiony w ruchu swym na nowo krążyć poczyna, zębate koła chwytają się znów nawzajem, prężą się pasy i liny na mozół życia bezsensowny a wieczny...

Kiedy z groty, bóstwem osieroconej, wychodziłem nareszcie, deszczyk srebrny, światłem przepojony mżyć poczynał z jakiegoś przelotnego obłoku, niezdolnego nawet słońca zasłonić. Zdjąłem kapelusz i rozpiąłem koszulę na piersi, poddając się pieszczocie drobnych, ciepłych kropel.

Trwało to jednak tylko chwilę. Tam w dali, w stronie Sorrento, widziałem jeszcze tuman dżdżu perłowy, ale nad głową moją obłok już przepłynął i słońce zachodnie znowu piec poczynało, kiedym z wąwozu zielonego wyszedł znów na skały.

I nagle, po kilkudziesięciu czy paruset kro-

kach, zobaczyłem jawiącą się niespodziewanie przede mną kobietę. Stara była i wśród tych turni nadmorskich zgoła do czarownicy podobna. Siwe, splątane kosmyki włosów wysuwały się z pod ognisto żółtej chustki,—wsparta na kosturze peruszała bezzębnemi szczękami z przerażającem skrzywieniem, które miało pono uśmiech naśladować. Przeląkłem sią w pierwszej chwili i chciałem zupełnie odruchowo uciekać. Staruszka jednak powstrzymała mnie czarodziejskim, w rozpaczliwym pośpiechu rzuconem słowem:

— Signòr! vino!

W jednej chwili wydała mi się dobrą wróżką, ba! najlepszą z wszystkich wróżek na ziemi! Poczułem znowu, że pić mi się chce, jak wielbłądowi, który właśnie przebył Saharę! I teraz dopiero, podążając okiem za wyciągniętą ręką wróżki-czarownicy, dostrzegłem między skałami coś w rodzaju szałasu, zakrywającego wejście do płytkiej pieczary. Ciągnął się tędy widocznie szlak turystów i starowina czatowała z winem na forestjerów, „che hannno sempre danari“...

Nim zdążyłem usiąść na skleconej przed szałasem ławie, już wychyliłem duszkiem całą flaszę boskiego wina z Capri o niewinnym, przeźroczystym kolorze wody, a tęgiego, jak ogień.

Obok mnie postawiła staruszka drugą flaszkę wraz z wyszczerbioną szklanką. I z tą nie bawiłem się długo. Od południa nie miałem w spieczonych ustach ani kropli płynu...

I naraz—nie było to upojenie, zwykłe upojenie, które oczy mgli i głowę zawraca,—owszem, uczułem jakąś niesłychaną bystrość myśli i wzroku, jakąś moc nagłą w mięśniach znużonych, jak gdyby krew poczęła tańczyć i śpiewać w mych żyłach. Świat mi się wydał złotym i godnym miłości,—złota, uśmiechniona radość życia pierś mi rozpierała. Z pod wpół przymkniętych powiek patrzyłem na skały, ostatniem, zachodzącem już słońcem malowane i na morze, po którem barwy rozmaite teraz chodziły. O parę stajań przede mną wznosił się przedziwny łuk z jednego czerwonego głazu — a r c o n a t u r a l e — niby reszta jakiejś gigantycznej i w gruz upadłej gotyckiej świątyni... Na oparach ponad morzem rozwiesił się łuk drugi: tęcza siedmioma błyszcząca kolorami.

Wcisnąłem pięście między zęby, bo zebrała mnie nagła tęsknota, jak gdyby burza niespodziewanie w krwi się rodząca: żal jakiś potworny, bezbrzeżny, że sam tu jestem i patrzę na te cuda, nie mogąc ująć w dłoń dalekiej a nade-

wszystko pożądanej dłoni, że jest blask słońca nade mną złoty i złote w żyłach mych wino, a niema włosów od słońca i wina złocistszych a wonnych, któreby można zsypać sobie na oczy i śmiać się z poza nich światu złotemu. Chciało mi się rzucić na ziemię i krzyczeć w bezradnym, gryzącym bólu powracającego wspomnienia, co czyha w ciszy i rzuca się na serce, gdy ono jeno żywiej zabije...

Słońce tymczasem zachodziło poza mną i staruszka dotknęła mego ramienia, wzywając, abym za wino zapłacił, gdyż ona, nie spodziewając się już tutaj więcej przechodniów, wraca na noc domu.

Ocknąłem się i naraz śmiać mi się ze siebie zachciało. Po co człowiek bierze pamięć ze sobą w drogę, kiedy na światy wyjeżdża, które są takie piękne, że same obstaną za wszelki ból żywota, za wszystkie smutki i zawody? — Niech pozostaje w tyle i wpada w głąb to, co minęło, — nie warto rąk wyciągać po mgły nieuchwytne, póki winograd złoty jeszcze poi i kiedy są usta czerwone w kwietnych ogrodach po drodze, gotowe jeszcze całować...

Idąc oliwnym gajem ku osielu, zacząłem rozmawiać z towarzyszącą mi staruszką. Miałem

ochotę jeszcze tego dnia spojrzeć na morze z ruin tyberjuszowego pałacu i pytałem ją, czy niema w domu jakiego chłopca, którzyby mnie tam zawiódł najprostszą drogą na przełaj?

— No, signor, ragazzo non c'è, ma una ragazzina solo...

— Tem lepiej! niech będzie i dziewczyna! — zaśmiałem się.

Przystanęliśmy podle murowanych zabudowań. Staruszka zajrzała w ogromną sień, gdzie cała rodzina zajęta była tłoczeniem dojrzałych oliwek i poczęła wołać, że jest „signor forestiere“, gotów dać „una mancia“ temu, kto go do ruin zawiedzie. Wybiegła dziewczyna, lat może dwunastu w drewnianych sabotach i w krótkiej czerwonej spódniczce na białej koszuli. Uśmiechnęła się do mnie ustami dziecięcemi i czarnemi oczyma kobiety—i zrzucając saboty, była gotowa do drogi. Zdziwiło mnie to, gdyż u nas ludzie obuwają się właśnie, wychodząc z domu, ale jej widocznie lżej było bosemi nogami biec po pachnących ziołach.

Słońce już zaszło i mrok szybki padać zaczynał, kiedyśmy się puścili przez ogrody jakieś, winnice i łączki kamieniste w stronę zwalisk.

Droga nasza wznosiła się ciągle w górę; dziewczyna biegła raźno przede mną, błyskając mi w oczy z pod czerwonej spódniczki ogorzałemi łydkami, co miały bujną, złotą barwę dojrzewającego owocu.

Zarysy drzew coraz rzadziej roztapiały się już w cieniu i trawa czerniała pod stopami, — świeciły na niej tylko ciągle, niby dwa ostatnie słońca promienie, te dwie biegnące, uciekające wciąż przede mną nóżki dziewczęce.

I powoli, powoli głazy po pustym wygonie rozsiane poczęły się zmieniać w mych oczach. Tu i ówdzie, obok łysiny skalnej z ziemi sterczącej, zaświecił kawał marmuru, dłutem wyrobiony, zwornik jakiegoś łuku lub część utrąconej kolumny. Kapitele białe wyzierały z pomiędzy czarnych badyli ziół,—noga uderzała o węgły ścian rozwalonych. Teraz za każdym krokiem rosły tu zwaliska, niespodziewanie tak zjawione, jak gdyby czarodziejską mocą nocy przemieniła się w nie łąka, zwykłemi zasuta kamieniami... Ściany stały coraz wyższe; tu i ówdzie wisiał jeszcze na powietrzu łuk lub sklepienia ceglanego ułamek, trwaniem wieków w lity głaz sklejonego. Szliśmy już po ciemku jakiemiś korytarzami; przez dziedzińce do małych łączek

podobne i sale bez pował, na których czarne wawrzyny pod gwiazdami dumały...

Naraz przewodniczka moja stanęła.

— To tu, panie...

Zaledwie zdążyłem rzucić jej pieniądz, zniknęła tak nagle, że dotąd myślę, czy nie była po prostu duchem, starej wiedźmie służącym, który zawiódł mnie tutaj po nocy.

Zostałem sam pośród ruin, — najzupełniej sam. Odruchowo zwróciłem się w stronę, skąd blask jakiś białawy dochodził — i po kilkunastu krokach znalazłem się na platformie, wznoszącej się z górą trzysta metrów ponad morzem, tuż pod nogami w dole szumiącem.

Oparłem się o kamienną balustradę i patrzyłem w dal—ku Sorrento. Obrzask był białawy na niebie i morzu, oddzielonem czarną linją wybrzeża od nieboskłonu: księżyc pono miał wkrótce wschodzić. Jakoż po pewnym czasie zaczęły się srebrzyć brzegi chmur i na wodzie grały blaski srebrzyste. Wybuch białego wulkanu; zorza śnieżna, wstająca nad morzem — promienista, szeroka! A na jej tle skłębione cielska potworów dziwnych,—aksamit i srebro i znowu białe, snem o tęczy przetkane puchy...

A potem dysk złoty, olbrzymi, tryumfalnie z wód i chmur wychodzący.—

Czarodziejstwa i cudy działy się przede mną niewysłowione na morzu i na niebie—a na ziemi ruiny zmieniały się w gród jakiś dziwny, na poły czarny i srebrny na poły... Straciłem poczucie miejsca i czasu; księżyc wyszedł już wysoko i pobielał, a ja stałem jeszcze bez ruchu. W tem dzwonek jakiś cichy, srebrzysty—niewiadomo skąd pośród zwalisk tej willi rozkosznej cezara...

— Laudetur Jezus Christus...

Dojrzałem w miesięcznym blasku stojącego obok mnie zakonnika. Wyszedł z kościołka Santa Maria del soccorso i patrzał na mnie badawczemi oczyma.

— In saecula saeculorum...

Kaplica Najświętszej Marji Panny Pomocnej na tych ruinach zbrodni, wyuzdania, pychy...

Daleko, daleko gdzieś wiary mojej dziecęcej odbiegłem, ale pozostała mi na zawsze snadź duma, że w katolickiej wierze zostałem wychowany, jedynej, która swoją cudną mistyczną głębią na miano religji boskiej zasługuje. I teraz zląkłem się—nie wiem dlaczego,—aby mnie ten księżyna za luterańczyka jakiego nie poczytał

i zacząłem mówić szybko, niepytany, że jestem polak i katolik i proszę go, aby mi pozwolił na chwilę wejść do kościoła.

Popatrzył na mnie bystro i zwrócił się ku kapliczce, której nie dostrzegłem był początkowo. W oknach czerwienił się odblask wiecznej lampy przed ołtarzem.

Zakonnik zazgrzytał kluczem w zamku i pchnął drzwi przed sobą. — Mrok, słabo skaczącym płomykiem oliwnej lampy rozświetlony; na ołtarzu błyskają w dziwnem półświetle złocenia, — woń kadzideł i wosku topionego snuje się jeszcze w powietrzu od wczora... Kaganek zabłysł żywiej; wyjrzała z cienia na chwilę twarz Marji Panny Pomocnej,..

Cofnąłem się szybko z progu, pytając mnicha, którędy najprostsza droga wiedzie ku miastu.

Nie okazał wcale zdziwienia. Zamknął kaplicę i wskazał mi ręką przejście między zwaliskami:

— Diretto e sempre avanti!

Chciałem go jeszcze o coś pytać, ale on odszedł już — tak niespodziewanie, jak się był pojawił. Puściłem się tedy ku miastu; księżyc mi drogę oświecał.—Ruiny, mur jakiś ogrodowy, potem winnice i domki rzadkie wśród nich ukryte—i puste znów pole...

Biegłem szybko, jakby przed czemś uciekając, byle prędzej i dalej...

Już w pobliżu miasta dostrzegłem przy drodze szopę kamienną, wewnątrz oświetloną. Stały przed nią w łunie od drzwi bijącej trzy tancerki w barwnych strojach narodowych — z bosemi nogami, ale w chustkach opiętych na głowie i ze sznurami korali i mosiężnych krążków na szyi.—Mimo spóźnioną porę czekały snadź tutaj jeszcze zarobku: wedle taksy, umieszczonej we wszechwiednym Baedekerze, tarantella kosztuje franka jednego.

Jakoż zoczywszy mnie, poczęły wołać, czy nie zechcę na taniec ich popatrzeć. W pierwszej chwili chciałem już odmówić, ale przyszła mi dzika po prostu ochota patrzyć na taniec, byle najszaleńszy. Wbiegłem szybko do szopy i rzuciłem im naprzód parę srebrnych monet na ręce. Dziewczęta, ucieszone nieoczekiwaną widocznie hojnością, zaczęły rozpalać oliwne lampy i czynić do tańca przygotowania...

Szopa była obszerna, łukiem kamiennym na dwie części przedzieloną. W pierwszej, gdzie światła się paliły, podłogę miała ceglaną, na której stało kilka krzeseł drewnianych, słomą wyplecionych i jakaś stara kanapa z wysokiem

oparciem i sterczącemi ze środka sprężynami. W drugiej części panował mrok i chaos. W niepewnem świetle lamp widziałem tylko majaczące fantastyczne zarysy jakichś sieci rybackich, stągwi, pak i rolniczych narzędzi... Było w tem wszystkiem coś dziwnie tajemniczego—zwłaszcza w tej późnej godzinie i dla oczu moich, przez cały dzień do przestrzeni morza i nieba przyzwyczajonych.

Zabrzmiały dźwięki muzyczne; najstarsza z tancerek usiadła na ziemi z gitarą w ręku, tamte poczęły tańczyć. Rzuciłem się na niegościnną kanapę i patrzyłem. Dziewczęta były młode i zgrabne. Bose obie — okręcając się w tańcu pokazywały nagie jędrne kolana, z pod żółtych, jedwabnych spódnic błyskające. Usta ich uśmiechały się słodko, oczy poglądały zalotnie, ciała przeginały się w ruchach lubieżnych, ale znać było, że to, co czynią, czynią za pieniądze i radeby spocząć raczej w tej chwili...

Zawołałem na nie, aby taniec przerwały.

Przybiegły do mnie obie, zakłopotane prawdziwie.

— Lei non è contenta, signore?

Nie ruszając się z kanapy, sięgnąłem do

kieszeni i wygrzebałem wszystką srebrną monetę, jaka się tam znajdowała.

— Chcę, żebyście tańczyły, rozumiecie? Przynieście wina i tańczcie!

Zaśmiały im się czarne oczy:

— Dobrze, panie! Będziemy tańczyły! Ballaremo!

W mgnieniu oka znalazło się kilka gąsiorów z młodem, jeszcze mętnem winem kapryjskiem i zadźwięczała na gitarze znowu tarantella. Tancerki poruszały się teraz żywiej; wino zagrało im w żyłach, ciała prężyły się gibkie i smukłe, z nową jakąś, radosną swobodą. Czułem, że zaczynają tańczyć nie dla mnie, ale dla siebie. Na sofie rozciągnięty, patrzyłem na nie z pod spuszczonych powiek, sącząc wino ogniste...

I nie wiem nawet, kiedy szopa poczęła się zapełniać. Przyszły jeszcze dwie tancerki,—potem było ich więcej, siedm czy ośm. Kazałem im przynieść jeszcze wina; tańczyć zaczęły wszystkie, nie czekając mego rozkazu. Owszem, znać było, że zapominają po prostu o mojej obecności.

Krew im snadź południowa w żyłach zapłonęła, młode mięśnie same zadrgały. Nie patrzyły

zgoła na mnie. Wybiegały po dwie z barwnej gromady, okręcały się na bosych nogach i w jakiemś coraz dzikszem zapamiętaniu rzucały w tył głowami, wyginając grzbiet i prężąc piersi wyniosłe. W palcach klaskały im kastanietty, z ust na wpół rozwartych wydzierał się czasem okrzyk tłumiony, namiętnością nabrzmiały!

Oto padają już znużone; jedna z nich, dziewczę może szesnastoletnie, o ruchach młodej pantery, rozciągniona na ziemi nachyla sobie gąsior wina do ust... Nowa para wybiegła. Gonią się, zwijają, łączą. Kastanietty słychać ciągle, wybijające takt gitarze. Chwyciły się rękoma, wysoko nad głowy wzniesionemi: szalona wyuzdana pantomina miłosna! Jedna z tancerek osuwa się na kolana, niby mdlejąca, druga w opętańczym wirze krąży około niej, ręce ku niej wyciąga. Zerwała się. Padły sobie na pierś i odtrąciły się, jak dwie kule bilardowe, — słychać suchy, histeryczny śmiech, krążą znowu, wirują, gną się i przechylają—a nowa para już się do tańca podrywa.

Wkońcu wir się zrobił ogólny, szalony. — Obłędne koło rozognionych, ruchliwych ciał, piersi dyszących, błyskających oczu i białych zębów, pośród krwawych, uśmiechem rozchylo-

nych warg. Z cieniów, które mimo kilku lamp oliwnych po kątach zalegały, jawiły się nagle w świetle prężące się ciała i przebiegały w wirze zawrotnym przed moimi oczyma. Suchy dźwięk kastaniettów i krótkie chrapliwe okrzyki, rzucane z piersi zadyszanej, zagłuszyły już prawie gitarę; taniec zamienił się na jakąś orgję ciał, barw i ruchu. Wkońcu widziałem już tylko wzniesione w górę nagie ramiona, z opadłych rękawów koszul powysuwane, łona falujące i zarumienione twarze pod chmurą rozwianych czarnych włosów. I oczy... Białka oczu lśniące a błędne.

Śmiech mnie porwał straszliwy, dławiący— i bił w mojej piersi, nie mogąc się nawet głosem przez ściśnięte gardło na zewnątrz wydobyć.

— Oto jest życie! oto jest życie! —huczało mi w uszach w takt warjackiej tarantelli. Leżąc bez ruchu na sofie, pijany winem i widokiem tańca rozszalałego, miałem wrażenie, że tańczę— ja sam, że świat cały tańczy gdzieś na krawędzi skał ponad morzem, niedbały o wszystko, co było wczoraj, jutra nie pomny i wyzywający jeno od bogów wysokich chwili takiego szaleństwa, aby już bez wiedzy i bez pamięci runąć w otchłań wieczystą.

— Oto jest życie! oto jest życie! oto jest życie, treść i koniec wszystkiego!

Tancerki znużone poczęły już padać bez sił na ziemię... — —

Nie wiem dlaczego, ilekroć pomyślę o owym okresie w mojem życiu, staje mi przed oczyma wspomnienie tego dnia na Capri, zakończonego pijanym, wściekłym wirem tarantelli. Jestże to przypadkowe, czy też istotnie jest jakiś związek lub podobieństwo między temi rzeczami, którego ja jeno odkryć nie umiem, czy... nie chcę?

LIST SENEKI
DO LUCYLJUSZA

PRZEKŁAD

Dokądkolwiek się zwrócę, starości swej widzę świadectwa. Przybyłem oto do podmiejskiej siedziby mojej i swarzyłem o wydatki skróś rozsypującego się domostwa: rzecze mi włodarz, nie jest winą niedbalstwa jego; on wszystko czyni, ale dom jest już stary. Ten dom wzrósł pod moją ręką... Cóż mnie pozostało, jeśli zwietrzałe już są głazy, rówieśniki moje? Rozgniewany nań, pochwytuję najbliższą sposobność zrzędzenia. Widzi mi się, rzekę, iż się tu zaniedbuje one jawory; zgoła nie mają latorośli: jakże koślawe i obeschnięte są konary! jak smutne i omszałe pnie! Nie padłoby to na nie, gdyby je kto był okopywał, gdyby je był podlewał! Klnie się na gienjusza mego, że wszystko czyni ani troski w czem skąpi, ale drzewa są już stare. Niechaj to między nami zostanie: jam-ci je sadził, jam-ci pierwszy ich liść widział... Zwróciwszy się ku wrotom: Któż jest, rzekę, ów

strupieszalec i słusznie u wyjścia postawiony? precz mu się już iść patrzy. Kędyś nalazł takiego? cóż cię skusiło, obcego trupa tu zwłóczyć? Aliści ów: Nie poznajesz mnie? pry, jam jest Felicjo, któremu zwykłeś był kukły przynosić; jam jest Filozyta, włodarza twego syn, twój ulubieniec. Zaprawdę, rzekę, on bredzi. Już-ci się gawiedź mieni moim ulubieńcem! A zresztą być to może,—owo mu zęby co zwiększa wypadują...

Winienem to wiejskiej siedzibie mojej, iż mi starość ma, dokądkolwiek się zwrócę, na oczach staje. Przyjmijmyż ją z otwartemi rękoma i miłujmy; rozkoszy-ć jest pełna, jeśli umiesz jej zażywać. Najwdzięczniejszy jest owoc, gdy spada, — chłopięcych lat urok nawiętszy, skoro uchodzą—miłośników wina cieszy upojenie ostateczne, ono, które pogrąża, które oszołomieniu pośledni wieniec nasadza. Co najsłodszego rozkosz wszelaka ma w sobie, na koniec swój odkłada: najsłodszy jest wiek skłaniający się już, a nie zapadający jeszcze, i jakkolwiek na ostatnich przystawa postojach, sądzę, iż ma swoje rozkosze, a przynajmniej to jedno następuje w miejsce rozkoszy: zgoła ich nie łaknąć. Jakże słodko jest żądze prześcignąć i ostawić! Przykro jest, rzeczesz, śmierć mieć przed oczyma?

Naprzód ona tak młodzieńcowi przed oczyma stać winna, jako i starcu; boć nas nie z listy wołają,—powtóre nikt nie jest tak stary, aby się nieprawie dnia jednego spodziewał. Jeden dzień zasię stopniem jest żywota,—wiek cały z części utworzon, a kręgi ma określone większe mniejszemi. Jest-ci taki, co wsze inne obejmuje i zawiera; ten sięga od narodzin po dzień ostatni,—jest inkszy, co lata młodzieńcze wyklucza,—jest, który całe dzieciństwo w zakres swój ściąga, jest wreszcie rok sam, wszystkie w sobie mieszczący czasy, z których pomnożenia życie się składa. Miesiąc ciaśniejszem zakreślony kołem; najkrótszy jest obieg dnia, lecz i ten od poczęcia ku końcowi zmierza, od wschodu ku zachodowi. Przetoż Heraklitus, któren gwoli mów niejasności przydomek wziął Skotinos, powiedział: Jeden dzień rówien wszystkim. Inny to zasię inaczej ujął, mówiąc, jako jest równy godzinami,—a nie skłamał. Bo jest-li dzień czasem dwudziestu czterech godzin, konieczna jest, by równe były wszystkie dni między sobą: noc bowiem dostaje, co dzień utraca. Inszy równym być dzień mieni wszystkim z podobieństwa; nic bowiem niema czasu przeciąg najdługszy, czegobyś w dniu jednym nie nalazł: światło i cie-

mności i kolejne świata przemiany. A noc ona jednostajniejsza to je ukróca, to wydłuża. Owoż tak dzień każdy urządzić należy, iżby streszczał w sobie dni cały szereg i wchłaniał a wypełniał życie. Pakuwjus, co przez los był Syrją zawładnął, kiedy winem i owemi stypami święcił sobie objaty, tak od biesiady w łożnicę bywał noszony, iż mu wśród oklasków pacholąt w zgodne to śpiewano głosy: βεβίωκε, βεβίωκε — i tak się żadnego dnia w grób składać nie zaniedbywał. Co ze złego tenże czynił sumnienia, w dobrem my czyńmy, a do snu iść mający, mówmy weseli i niezatroskani: V i x i e t q u e m d e d e r a t c u r s u m f o r t u n a p e r e g i. A jeśli nam Bóg dzień jutrzejszy dorzuci, weseli przyjmiemy. Ów-ci jest najszczęśliwszy i samego siebie posiadacz bezpieczny, kto jutra bez niepokoju wygląda. Ktokolwiek powiedział: Przeżyłem, — do niespodzianego codziennie zysku się budzi.

Aliści pora mi list już zakończyć. Tak, rzeczesz, bez nijakiego dla mnie gościńca przybędzie? Nie obawiaj się, przynosi-ć nieco z sobą; jakoż rzekłem: nieco? — wiela. Cóż przedniejszego bowiem nad ten głos, który mu k'tobie zanieść poruczam: Źle jest żyć pod przymusem,

ale pod przymusem żyć, niemasz przymusu. A co, jeśliby się jaki nalazł? stoją-ć zewsząd otworem liczne drogi do wolności, krótkie, łatwe. Bogu niech będą dzięki, iż nikt przy życiu zatrzymanym być nie może; zdeptać godzi się przymus. Epikurus to, rzeczesz, powiedział; co-ć z tem, co cudze? Co jest prawdziwe, jest moje; i Epikura nie poniecham ci przywodzić, aby owi, którzy radzi klną się na słowa a cenią nie to, co jest powiedziano, lecz przez kogo, poznali, że co doskonałe, dobrem jest powszechnem.

JERZEGO ŻUŁAWSKIEGO

POEZJE:

POEZJE, wydanie w 4 tomach, Lwów 1908.
XIĘGI ŻYDOWSKIE (przekłady z Biblji), Lwów 1905.

PROZA:

NA SREBRNYM GLOBIE, powieść, wyd. III, Lwów 1912.
ZWYCIĘZCA, powieść, wyd. II Warszawa 1914.
STARA ZIEMIA, powieść, Kraków, 1911.
KUSZENIE SZATANA, (Opowiadania prozą), wyd. III Warszawa 1914.
BAJKA O CZŁOWIEKU SZCZĘŚLIWYM, opowiadania, wyd. II Warszawa 1914.
SZKICE LITERACKIE, Warszawa, 1913.
PRZED ZWIERCIADŁEM PRAWDY, Warszawa 1913.
LAUS FEMINAE, powieść, część I. Powrót — Warszawa 1913.
PROFESOR BUTRYM, część II. cyklu Laus feminae — w druku.
UMARŁE MIASTA, opowiadania — w druku.

DRAMAT:

DYKTATOR, wyd. II. Lwów 1907.
WIANEK MIRTOWY, wyd. II. Lwów 1912.
EROS I PSYCHE, wyd. IV. Lwów 1909. (na wyczerpaniu.)
IJOLA wyd. III. Lwów 1912.
GRA. tryptyk sceniczniczny, wyd. II. Lwów 1912.
DONNA ALUIKA (La Bestia), wyd. II. Warszawa 1914.
„ZA CENĘ ŁEZ", Kraków 1910.
KONIEC MESJASZA, Lwów 1911.
GRÓD SŁOŃCA, Lwów 1911.
TERAKOJA (przekład), Lwów 1907.

#3 O

PLEASE DO NOT REMOVE
CARDS OR SLIPS FROM THIS POCKET

UNIVERSITY OF TORONTO LIBRARY

PG 7158 Z8B3

Zuławski, Jerzy
Bajka o człowieku szcześliwym